

wi, biedni i najmocniejsi, wzięli i miernoci
iżę pociś sobie umawiac, że namom udzią, coś
tego zrobić, to cudo się stanie. Precież cudo
gdzby istniały, to by już wreszcie coś się
zrobiło. Bo tyle już tego było i jest cudo
cudo, gdzby istniały, że mogły coś dobrego zrobić
by z pewn DOBRZE JEST POSIADAĆ
włkie, które są DOM POD ZIEMIĄ...
i umet już nie będzie miał kto cępieć
w tydzień minął, już
Binorkę. Dział już nie
postam podzły dom, z
wzięta w gomeinschaftu, gdzie jest

Losy kobiet
ocalałych z Zagłady
w okolicach
Dąbrowy Tarnowskiej

BIBLIOTEKA
SWIADECTW
ZAGŁADY



Strona tytułowa

SZCZĘŚCIE POSIADAĆ
DOM POD ZIEMIĄ...

Losy kobiet ocalałych z Zagłady
w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej

Redakcja naukowa i wstęp
Jan Grabowski

Warszawa 2016

Strona redakcyjna

Copyright © for this edition by Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów

Wydanie pierwsze

Redakcja merytoryczna, wstępy i opracowanie przypisów:
Jan Grabowski

Redaktor prowadzący: Jakub Petelewicz

Praca naukowa finansowana w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa

Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” i w latach 2014-2017



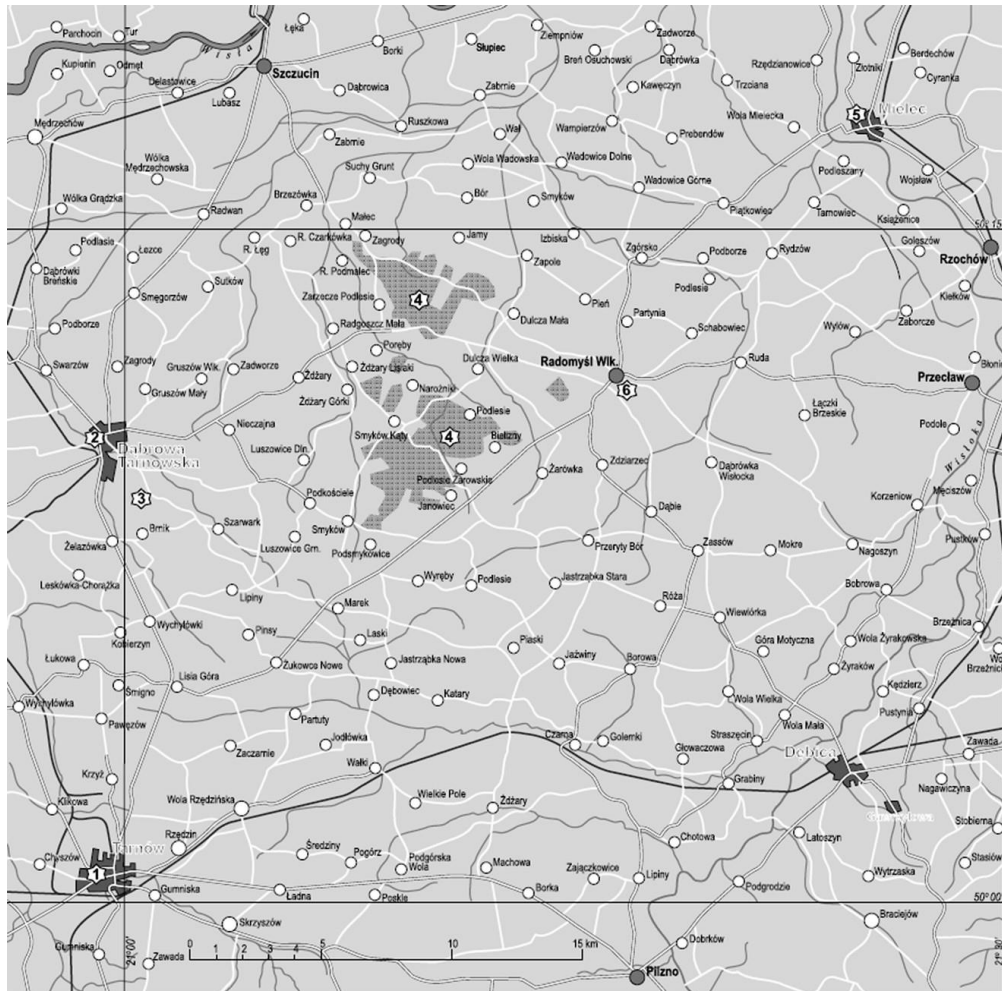
NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI



Stowarzyszenie
Centrum Badań
nad Zagładą Żydów

Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów
ul. Nowy Świat 72
00-330 Warszawa

ISBN: 978-83-63444-45-7



1
Getto w Tamowie
miejsce przebywania
Chai i Abrahama Rosenblatów
lato 1942 – wiosna 1943

2
Getto w Dąbrowie Tarnowskiej
miejsce pobytu:
Melani Weissenberg
wiosna 1940 – wrzesień 1942
Chai i Abrahama Rosenblatów
lato 1942
Rywki Schenker
lato 1942

3
Miejsce ukrycia
Melani Weissenberg
wrzesień 1942 – styczeń 1945

4
Las dulecki
koło Dulczy Małej i Dulczy Wielkiej
kryówki leśne (bunkry) Żydów
miejsce schronienia:
Rywki Schenker
październik 1942 – listopad 1944
Chai Rosenblatt
wiosna 1943 – listopad 1944

5
Getto w Mielcu
miejsce pobytu
Chai i Abrahama Rosenblatów
wiosna 1943

6
Radomyśl Wielki
miejsce pobytu
Chai Rosenblatt i Rywki Schenker
1939 – lato 1942

Mapę opracowano na podstawie
mapy topograficznej
Wojskowego Instytutu Geograficznego
w skali 1:300 000
z 1938 roku

Preambuła Biblioteki Świadectw Zagłady

Wbrew oczekiwaniom, wbrew potocznym wyobrażeniom, wbrew regułom prawdopodobieństwa pisanych świadectw z czasów Zagłady ocalało dużo. Ci, którzy nadludzkim wysiłkiem podejmowali próbę pisania o katastrofie podczas trwania katastrofy, najczęściej adresowali swoje zapiski „do przyszłego czytelnika”. Chcieli, aby świat ich usłyszał. Nie możemy pozwolić, aby ich świadectwa pozostały nieme – przysypane kurzem archiwów.

BIBLIOTEKA ŚWIADECTW ZAGŁADY zrodziła się z przeświadczenia, iż pomimo różnych inicjatyw edytorskich wciąż zbyt mało tekstów, w stosunku do istniejących zasobów archiwalnych, zostało opublikowanych i udostępnionych czytelnikom. Zbyt mało wobec potrzeb badawczych i czytelniczych zainteresowań, a także wobec obecnych niemal w każdym ocalałym zapisie apeli, nakładających na nas wszystkich moralną powinność lektury.

BIBLIOTEKA ŚWIADECTW ZAGŁADY skupia się na prezentacji dzienników, zapisów pamiętnikarskich, relacji pozostających w kręgu form autobiograficznych i spisywanych *hic et nunc*, tzn. w gettach bądź w ukryciu poza murami, ale jeszcze w czasie trwania wojny i okupacji. Teksty są publikowane w ich kształcie integralnym, według jednolitych zasad edycji krytycznej. Korzystamy przede wszystkim z zasobów Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie oraz Archiwum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Preambuła Biblioteki Świadectw Zagłady

Wstęp

I. Melania Weissenberg

Wprowadzenie do dzienniczka Melanii

Dziennik Melanii Weissenberg, 1942–1945

Fotografie do dziennika Melanii Weissenberg

II. Chaja Rosenblatt

Wprowadzenie do wspomnień Chai

Wspomnienia Chai Rosenblatt

Fotografie do wspomnień Chai Rosenblatt

III. Rywka Schenker

Wprowadzenie do wspomnień Rywki

Wspomnienia Rywki Schenker

Fotografie do wspomnień Rywki Schenker

Wstęp

WSTĘP

Na książkę składają się trzy teksty, napisane przez trzy niezwykle kobiety, którym przyszło żyć w strasznych czasach. Chaja Rosenblatt i Rywka Schenker urodziły się na początku lat dwudziestych i w wojnę weszły jako młode, lecz już dorosłe kobiety, Melania Weissenberg natomiast była od nich znacznie młodsza – w 1939 r. miała zaledwie dziewięć lat. Chaja i Rywka spisały własne wspomnienia wkrótce po wojnie, a Melania prowadziła swój dzienniczek na bieżąco, od wiosny 1942 aż do wyzwolenia w styczniu 1945 r. Melania pochodziła z Krakowa, a Rywka i Chaja – z małego małopolskiego sztetla. Rodziny Rywki i Chai były głęboko religijne, Melania zaś dorastała w domu stosunkowo dobrze zasymilowanym. Mimo różnicy wieku i odmiennych typów narracji trzy prezentowane teksty łączą się i uzupełniają na wiele sposobów oraz na wielu płaszczyznach.

Przede wszystkim losy Chai, Rywki i Melanii spięli wspólną klamrą Niemcy, którzy skazali je – wraz z resztą polskich Żydów – na śmierć. Łączyła je też geografia – w momencie gdy rozpoczęto likwidację skupisk żydowskich na terenie Generalnej Guberni, wszystkie trzy znalazły się w getcie w Dąbrowie Tarnowskiej, małym miasteczku położonym kilkanaście kilometrów na północ od Tarnowa. W obliczu nadciągającej Zagłady każda z nich obrała inną strategię przetrwania. Być może zresztą mówienie o świadomym „obieraniu strategii” jest przesadne – rodziny podejmowały te decyzje wspólnie, a los dzieci i młodzieży był zazwyczaj wypadkową rozstrzygnięć dokonywanych przez rodziców. Chaja ratowała się ucieczką do innego, nadal istniejącego getta, Rywka wraz z grupą żydowskich rozbitków zdecydowała się ukryć w kryjówkach wykopanych w pobliskich lasach, a Melania przeszła na aryjską stronę i ukryła się u miejscowych chłopów. Mówiąc dokładniej – zesła pod ziemię, do skrzyni wkopanej pod klepiskiem stodoły należącej do ratującego ją gospodarza. Przez kolejne lata trzy autorki stoczyły rozpaczliwą walkę o przetrwanie na niewielkim terenie, jakim jest obszar powiatu dąbrowskiego.

Tak niewielkim, że ich losy się przeplatały. W pewnym momencie, już pod koniec okupacji, Rywka i Chaja trafiły do tej samej kryjówki i razem wpadły w ręce Niemców, a Melania (nadal mieszkająca w swej podziemnej kryjówce) usłyszała o ich aresztowaniu i odnotowała ten fakt w dzienniczku.

Elementem łączącym zamieszczone tutaj teksty jest też wszechobecny strach, który potęgowała wciąż narastająca fala zagrożeń. Strach stał się codziennym towarzyszem autorek od samego początku okupacji, ale śmierć po raz pierwszy zajrzała im w oczy latem 1942 r., podczas likwidacji gett w Radomyślu Wielkim, Dąbrowie i Tarnowie. To wtedy Chaja, Rywka i Melania zobaczyły Niemców w całej grozie, w czasie brutalnych akcji likwidacyjnych, kiedy to zginęła ogromna większość ich bliskich, przyjaciół i sąsiadów. Niektórzy byli mordowani w masowych egzekucjach podczas akcji na ulicach gett, a inni – spędzeni do pociągów – stracili życie w komorach gazowych Bełżca. Nieco później, kiedy nadszedł czas ukrywania się, zmienił się kształt strachu, zmieniły się rodzaje zagrożeń. Choć Niemcy nadal byli siłą sprawczą żydowskiego cierpienia, to największe niebezpieczeństwo dla Melanii, Chai i Rywki stanowili odtąd ich polscy sąsiedzi. To nagle, niespodziewane niebezpieczeństwo mogło przybrać postać księdza, który okradł Chaję ze wszystkich powierzonych jego pieczy dóbr, chłopów przeczesujących lasy w poszukiwaniu kryjówki Rywki czy też czujnych sąsiadów, liczących, ile wiader wody wyciąga ze studni gospodarz Melanii. O ile mordercze działania Niemców były czymś oczywistym, niejako wpisanym w charakter okupacji, o tyle zdrada, wrogość czy pazerność polskich znajomych, czasem szkolnych kolegów i koleżanek, rodziły bolesny zawód, były trudne do pojęcia i jeszcze trudniejsze do wybaczenia.

Inną wspólną cechą łączącą trzy autorki jest ich nieprawdopodobna wręcz wola przeżycia. Była to siła, która determinowała ich postawy w chwilach, dniach, miesiącach i latach, gdy ludzie o mniejszym hartcie ducha poddali się rezygnacji. Trzeba tu dodać, że hartem ducha i wolą walki o życie musiały wykazywać się codziennie, bez przerwy, aż do samego końca wojny. Szczególnie trudno było im z pewnością przyjmować ciosy spadające na nie pod koniec okupacji, gdy wyzwolenie wydawało się bliskie, uchwytne wręcz na wyciągnięcie ręki, tak jak latem 1944 r., kiedy to ofensywa Armii Czerwonej zatrzymała się dosłownie kilka kilometrów od ich kryjówek, co skazało Melanię, Chaję i Rywkę na kolejne pół roku morderczych niebezpieczeństw. Podobnie było w styczniu 1945 r., zaledwie kilka dni przed początkiem ofensywy zimowej, kiedy to chłop, u którego ukrywała się Melania, doszedł – po raz kolejny – do wniosku, że ma jej już dość. Czy też w zimie 1945 r., gdy Chaja i Rywka przemierzały kolejne kręgi piekieł, których granice wyznaczały takie nazwy, jak Płaszów, Montelupich, Auschwitz, Bergen-Belsen czy Ravensbruck.

Koniec wojny dla całej trójki okazał się zarazem początkiem kolejnej tułaczki w poszukiwaniu bezpieczeństwa, którego na próżno było szukać wówczas w Polsce. Rozbitków żydowskich wracających do swoich domów witały groźby, a nierzadko śmierć. Chaja wspominała Polskę i Polaków z trwogą, nigdy nie zdecydowała się powrócić do domu i resztę życia spędziła w Paryżu. Rywka i

Melania, stwierdziwszy, że wszyscy najbliżsi zginęli w Zagładzie, wyjechały z Polski do Niemiec, a w końcu trafiły do Kanady. Choć obie się nigdy nie spotkały, to dziś – otoczone dziećmi, wnukami i prawnukami – mieszkają w Toronto, stolicy prowincji Ontario, oddalone od siebie o parę zaledwie ulic.

* * *

Przy opracowaniu tekstów zamieszczonych w książce przestrzegałem zasad obowiązujących przy wydawaniu źródeł, tj. ograniczałem zakres ingerencji edytorskich do koniecznego minimum. Uwspółcześniona została interpunkcja i ortografia, poprawiono też oczywiste błędy. Zdecydowałem się natomiast pozostawić zwroty przestarzałe, nietypowy zapis nazw własnych i błędy językowe, by oddać specyfikę tych narracji. Przypisy zawierają niezbędne informacje historyczne i wyjaśnienia rzadziej spotykanych terminów.

W nawiasach kwadratowych wstawiono opuszczone omyłkowo wyrazy, które udało się odgadnąć, i wszelkie uwagi redaktorskie. Treści w nawiasach okrągłych pochodzą od autorek.

Jan Grabowski

maj 2016 r

I. Melania Weissenberg

I

MELANIA WEISSENBERG

Wprowadzenie do dzienniczka Melanii

WPROWADZENIE DO DZIENNICZKA MELANII

Dziennik Molly trafił do moich rąk zupełnym przypadkiem. Na jesieni 2012 r. prowadziłem na Uniwersytecie Ottawskim w Kanadzie seminarium magisterskie poświęcone zagładzie polskich Żydów. Jason, jeden ze studentów biorących wówczas udział w zajęciach, wspomniął mimochodem, że jego babcia podczas wojny ukrywała się w Polsce i na gorąco notowała swoje przeżycia. Na moją prośbę przesłał mi skany pożółkłych karteczek wstrząsającego, napisanego świetną polszczyzną dziennika. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że autorka nie tylko spędziła dwa lata pod ziemią – i to wcale nie w przenośni – lecz przetrwała okupację na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, któremu poświęciłem wydaną rok wcześniej książkę.

Zapiski Melanii – bo tak w Polsce nazywała się autorka dzienniczka – są dokumentem z wielu powodów wyjątkowym. Zacząć należy od tego, że dziennik jako forma zapisu źródłowego ma dla historyków szczególne znaczenie. W odróżnieniu od świadectw spisanych *ex post* dzienniki (zwłaszcza zaś dzienniki osobiste, intymne – a taki właśnie jest dzienniczek Melanii) wolne są od „korekt pamięci”, poddających zmianom najczęściej ten wymiar naszych doświadczeń, z którego jesteśmy najmniej dumni, który chcielibyśmy ukryć przed innymi. Ponadto, o czym dobrze wiedzą historycy Zagłady, zachowało się niewiele dzienników prowadzonych przez dzieci – wystarczy tu wspomnieć wyjątki:

dzienniki Dawidka Rubinowicza, Rutki Laskier, Reni Knoll czy też zapiski nieco od nich starszego Dawida Sierakowiaka. Melania zaczęła prowadzić dzienniczek jako dwunastoletnia pensjonarka, a skończyła jako czternastoletnia, ciężko naznaczona Zagładą kobieta. Pamiętnik, prowadzony w latach 1942-1945, kolejnych sześćdziesiąt siedem lat spędził w szufladzie. Dzieci autorki, nieznające języka polskiego, nie przywiązywały do dzienniczka większej wagi, a sama autorka nie była skłonna dzielić się nim z innymi.

Melania Weissenberg urodziła się w Krakowie w 1930 r., w rodzinie kupieckiej. Jej ojciec Chaskiel prowadził niewielki sklep galanteryjny przy ul. Kopernika 36. Umarł w 1938 r., a matka Melanii Salomeą (zwana też Sarą) tuż przed wojną wyszła powtórnie za mąż za Ignacego Kellera, polskiego Żyda wysiedlonego niewiele wcześniej z Niemiec. Sara pozostała jednak przy nazwisku Weissenberg – ze względu na markę kupiecką i renomę sklepu. Matka Melanii mówiła piękną polszczyzną, a dbałość o język polski okazała się dziedzictwem i kapitałem na trudne czasy, które Sara przekazała swojej córce. Kilka miesięcy po wybuchu wojny Melania wraz z matką, ojczymem i młodszym o cztery lata bratem Zygmuntem (pieszczotliwie zwanym Zygą) zostali wyrzuceni przez władze okupacyjne ze sklepu oraz z mieszkania i zmuszeni byli przenieść się do gorszego lokalu. Widmo głodu wpłynęło już niebawem na decyzję o wyjeździe z Krakowa do Dąbrowy Tarnowskiej, małego miasteczka położonego na północ od Tarnowa, gdzie mieszkała siostra Sary i gdzie Weissenbergowa z rodziną liczyła na oparcie u dalszych krewnych. Sytuacja Żydów Dąbrowy nie była jednak lepsza od sytuacji Żydów w Krakowie, a uległa dalszemu pogorszeniu z chwilą utworzenia getta.

„Żydowska dzielnica mieszkaniowa” w Dąbrowie powstała na początku 1941 r. we wschodniej części miasta, dokąd spędzono zarówno Żydów mieszkających w miasteczku, jak i tych z pobliskich wiosek. W latach 1940-1942 w getcie przebywało od 2500 do 3200 ludzi, stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, wystawionych na głód i narastające represje niemieckie. Przewodniczącym Judenratu został miejscowy adwokat Eliezer Weinberger, a komendantem Służby Porządkowej (Ordnungsdienst, OD), zwanej potocznie policją żydowską, niejaki Kalman Fenichel, który już niebawem miał się okryć niesławą. Radę Żydowską powołano oficjalnie do życia 25 stycznia 1940 r., a wkrótce potem utworzono żydowskie ambulatorium, prowadzone przez dr. Teufela. Równocześnie zaczęto rozbudowywać struktury Żydowskiej Samopomocy Społecznej (ŻSS); jej zadaniem było zorganizowanie posiłków wydawanych dla najuboższych oraz sprowadzanie lekarstw z większych ośrodków. W okresie od stycznia do grudnia 1941 r. kuchnie finansowane przez Radę Żydowską wydawały codziennie średnio czterysta posiłków. Getto w Dąbrowie Tarnowskiej było gettem półotwartym: w części zostało otoczone parkanem, a w części drutem kolczastym. Przeto – jak stwierdził jeden z ocalałych – dość łatwo można się było zeń wydostać na stronę aryjską.

Problem, jak we wszystkich innych, zarówno otwartych, półotwartych, jak i zamkniętych gettach, polegał na tym, jak przetrwać po aryjskiej stronie, wśród Polaków.

Późną wiosną 1942 r. do dąbrowskiego getta zaczęły dochodzić coraz bardziej uporczywe i niepokojące pogłoski o brutalnej likwidacji skupisk żydowskich oraz o deportowaniu ich ludności w nieznanym kierunku. 28 kwietnia w getcie pojawili się gestapowcy z Tarnowa i Mielca, uzbrojeni w listy proskrypcyjne. Zaaresztowano wówczas i rozstrzelano kilkudziesięciu przedstawicieli miejscowej inteligencji żydowskiej. Niebawem z okolicznych wiosek dosiedlono do getta resztę Żydów, którym aż dotąd udało się pozostawać poza Dąbrową. Władze niemieckie oraz polskie władze miasta zażądały równocześnie od Żydów uregulowania wszelkich zaległych płatności. Wszystkie te kroki stanowiły prelude do nadchodzącej akcji likwidacyjnej. Pierwsza wielka akcja nastąpiła 17 lipca 1942 r., a jej echo znajdujemy w jednym z pierwszych wpisów Melanii, która (tak jak liczni inni mieszkańcy) bojąc się powtórzenia tych działań, spędzała wówczas noce w kryjówkach na terenie getta. To właśnie wtedy, w atmosferze wzbierającej trwogi i paniki, wielu Żydów zaczęło szukać ratunku po aryjskiej stronie – wprawdzie dla dzieci, a potem dla siebie. Wśród nich znaleźli się też rodzice Melanii, którzy nawiązali kontakt z Wiktorem Wójcikiem, prowadzącym niedaleko miasteczka gospodarstwo. Razem z Wójcikiem mieszkała jego owdowiała siostra Emilia Kułaga z kilkorgiem dzieci. W zamian za niewielką opłatę Wójcik zgodził się przyjąć pod swój dach (lub raczej do swojej stodoły) Melanię oraz jej sporo starszą kuzynkę Helenę. Schronienie miało być chwilowe, a wszyscy nadal oczekiwali uspokojenia się sytuacji i ewentualnego powrotu do getta.

Wyjście na aryjską stronę oznaczało przede wszystkim rozstanie z ubóstwianą starszą przyjaciółką, dwudziestoletnią Sabiną Goldman, która dla Melanii stanowiła centrum duchowego świata. Szok rozstania już niebawem przyćmiły jednak groźne wieści nadchodzące z Dąbrowy. Tak się bowiem złożyło, że Melania wraz z Heleną trafiły do Wójcika tydzień przed drugą akcją. 18 września 1942 r. getto zostało ostatecznie zlikwidowane, a jego mieszkańców zapędzono do wagonów bydlęcych zmierzających do obozu zagłady w Bełżcu. Sara z mężem i siedmioletnim Zyga zdołali uciec przed pogromem – wprawdzie schronili się w getcie w Tarnowie, a pod koniec października dołączyli do Melanii i Heleny, które nadal chowały się w stodole u coraz bardziej niespokojnego gospodarza. Widok tak wielu Żydów wprowadził Wójcika i jego siostrę w panikę; oboje żyli w ciągłej trwodze, najbardziej bojąc się wścibskich sąsiadów i nieuchronnej denuncjacji. W końcu listopada polscy gospodarze zażądali, by Żydzi się od nich wynieśli, zgodzili się jedynie na dalszy pobyt Melanii i Heleny. 21 grudnia Melania pożegnała się z matką i Zyga; widziała ich wtedy po raz ostatni.

Dopiero po wojnie dowiedziała się, że matka zginęła w tarnowskim getcie. O losach brata nie udało się jej niczego dowiedzieć. Ojczym już wcześniej wrócił do getta, nie wiadomo, co się z nim później stało.

W styczniu 1943 r., wkrótce po odprawieniu „nadliczbowych” Żydów, Wiktor Wójcik wraz z siostrą (nazywani teraz z pewną ironią „naszym wujciem” i „naszą Panią”) zdecydowali się przenieść obie uciekinierki do nowej, pewniejszej kryjówki. W ten sposób Melania wraz z Heleną znalazły się w wielkiej skrzyni, wkopanej pod ziemię, z której raz lub dwa razy dziennie mogły wyjść, by załatwić swoje potrzeby i dokonać ablucji. W tej skrzyni, w dziurze, pod ziemią, miały spędzić kolejne dwa lata. Od chwili zejścia pod ziemię Melania coraz rzadziej dokonywała zapisków. Dzienniczek, ostatnią rzecz łączącą ją z dotychczasowym życiem, ukrywała na strychu w stodole i pisała w nim w rzadkich chwilach, kiedy wolno jej było opuścić kryjówkę.

Zimą, wiosną i latem 1943 r. dzienniczek w coraz większym stopniu stawał się świadectwem przemożnej trwogi, jak również ciągłego głodu i pragnienia („wujcio” bał się przynosić dziewczętom wodę w obawie przed spostrzegawczymi sąsiadami). Równie dotkliwa – sądząc po zapiskach – była przeraźliwa nuda związana z niekończącą się monotonią życia w zamknięciu. Z biegiem miesięcy zmienił się też stosunek Melanii i Heleny do „wujcia” – jedynej osoby, z którą miały jakkolwiek styczność. Poza rzadkimi (i z reguły nieprzyjemnymi) odwiedzinami „naszej Pani” („Panki”) „wujcio” okazał się jedyną osobą spotykaną przez dziewczęta przez prawie dwa lata. Ten prosty chłop był zarazem człowiekiem, którego dobra wola bądź jej brak mogły w każdej chwili nieodwołalnie zmienić ich los. Stał się on – bez żadnej przesady – panem ich życia i śmierci. W miarę mijających miesięcy i lat polszczyzna dzienniczka ulegała powolnej transformacji; pod wpływem „wujcia” w zapiskach Melanii zaczęło się pojawiać coraz więcej słów zaczerpniętych z gwary wiejskiej, zastępujących czyste literacko sformułowania używane w czasie pobytu w getcie oraz w pierwszych miesiącach ukrywania się.

Mimo bardzo młodego wieku Melania zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jej los zależy od humoru „wujcia”, którego teraz dziewczęta nazywały „Ciuruniu”. Jesienią 1943 r. zanotowała: „Ciureczku, nasze życie, miej siłę wytrwać w Twoim zamiarze przetrudnym do wykonania! Niechaj choć po części ziszczą się Twoje tak bardzo prymitywne i skromne pragnienia!”. Mniej więcej wtedy jedno z tych „bardzo prymitywnych i skromnych pragnień” się ziściło i „Ciuruniu” zaczął „lutać się” (w ten sposób Melania kodowała seks) z Heleną. Ciało było ostatnią rzeczą, którą obie dziewczyny mogły dysponować i którą mogły ofiarować swemu zbawcy. „Lutanie się” nie tylko stanowiło dla chłopca zachętę do dalszych poświęceń, lecz wprowadziło także urozmaicenie do strasznej monotonii życia pod ziemią. W grudniu 1943 r. Melania zapisała: „Namówiłam ją,

żeby sprowokowała Ciurunia, żeby wiedział, że mimo zimna jest także chętna. I usłuchała mię i zaczepiła go, i było. I znów mamy na przeciąg kilku dni tak miły temat”.

Wraz z upływem czasu sytuacja Melanii i Heleny uległa dalszemu pogorszeniu. W okolicach Dąbrowy trwały polowania na ukrywających się Żydów. W lipcu 1943 r. ktoś doniósł Niemcom o ukrywających się w pobliskim Szarwarku Żydach. Niemcy dokonali mordu polskiej rodziny Mędałów: niektórych rozstrzelali, innych spalili żywcem w ich własnym domu za udzielanie tej grupce pomocy. Przerażeni chłopci na własną rękę zaczęli mordować żydowskich rozbitków, a sekundowała im w tym polska policja granatowa, która stała się szczególnie wydajnym partnerem Niemców w dziele „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” na terenie powiatu dąbrowskiego. Nic dziwnego, że w tych warunkach dalsze ukrywanie Żydów wiązało się ze szczególnym ryzykiem i było czynem zagrożonym nieporównanie dotkliwszymi sankcjami niż inne formy oporu stawianego okupantowi. Melania i Helena cierpiały coraz większy głód – gospodarze w oczywisty sposób mieli już dość życia w ciągłym strachu i chcieli pozbyć się niewygodnych gości. Wszelako i to łączyło się z wielkim zagrożeniem – w razie schwytania dziewczęta mogłyby z miejsca wydać „Ciurunia” i jego siostrę w ręce władz.

Pod koniec 1943 lub na początku 1944 r. trzynastoletnia Melania również zaczęła „lutać się” z ratującym ją chłopem. Opisy stosunków czterdziestokilkuletniego wówczas „Ciurunia” z trzynastoletnią Melanią i jej starszą kuzynką są czymś wyjątkowym w literaturze pamiętnikarskiej tego okresu. Być może jest to wręcz jedyny tego rodzaju opis, którego przerażające tło i nie mniej ponure konsekwencje wychodzą poza obszar zwyczajnej interpretacji ludzkich zachowań. „Lutanie” nie oznaczało jednak, że dola dziewcząt się polepszyła. Doświadczenie głodu, zimna i pragnienia można odnaleźć w co drugim zdaniu dzienniczka, a zmienne humory „zbawcy” i „dawcy życia” strącały bezsilne i chore dziewczęta na dno rozpacz. Dramatyczna walka o dodatkowy kęs jedzenia, o łyk wody, o łaskę gospodarza (czego świadectwem są desperackie listy pisane przez obie dziewczynki do „Ciurunia”, w których to listach próbują na nowo go sobą zainteresować) trwała do ostatniego dnia wojny. Jeszcze w styczniu 1945 r., kilka dni przed ofensywą sowiecką, która miała doprowadzić do oswobodzenia Dąbrowy, Melania i Helena były pewne, że nadeszła ostatnia godzina. Ich sytuacja stała się do tego stopnia rozpaczliwa, że Melania nosiła się z myślą zaszantażowania „huncwota” (jak niekiedy określała „Ciurunia”) rzekomą ciążą. Okazało się to zbędne – następnego dnia do Dąbrowy wkroczyła Armia Czerwona.

„Ciuruniu” wypuścił Melanię i Helenę z ukrycia, ale z opuszczeniem gospodarstwa kazał im czekać, tak żeby sąsiedzi się nie zorientowali, iż ukrywał Żydów. Zobowiązał je również do zachowania ścisłej tajemnicy w przyszłości. Jest

to stały element wielu opowieści ocalałych. W Dąbrowie Melania spędziła kilka miesięcy, a potem, w lecie 1945 r., udała się do Krakowa, gdzie przez rok uczęszczała do szkoły dla żydowskich dzieci. W 1946 r., po pogromie kieleckim, wyjechała do Niemiec, a stamtąd w 1948 r. – jako jedna z tysiąca żydowskich sierot – do Kanady. Jej kuzynka Helena („Kotuśka”) trafiła do Stanów Zjednoczonych. W Kanadzie Melania zamieszkała w Toronto, wyszła za mąż, doczekała się dzieci, wnuków i prawnuków.

W miarę upływu lat staramy się eliminować z pamięci wydarzenia najbardziej bolesne i przykre, skupiając się na bardziej pozytywnych aspektach przeszłości. Nic dziwnego przeto, że w końcu lat osiemdziesiątych Melania wystąpiła do Instytutu Yad Vashem o uznanie wojennych zasług „Ciurunia”, swojego wybawcy. Jej życzeniu stało się zadość i w 1992 r. „Ciuruniu” i jego siostra zostali odznaczeni medalami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Jak się łatwo domyślić, wersja wydarzeń przedstawiona przez Melanię w Yad Vashem dość poważnie różni się od tego, co można przeczytać w dzienniczku. Celem dokumentacji gromadzonej w archiwum Działu Sprawiedliwych Yad Vashem nie jest koniec końców wierne udokumentowanie przeszłości, lecz zgromadzenie dowodów, na których podstawie można wystąpić o zaszczytny medal. Lektura dzienniczka Melanii stanowi zachętę do głębokiej refleksji nad istotą ratowania, a zarazem przestrożę przed jednostronną, jednowymiarową interpretacją historii Sprawiedliwych. Melania do dziś z oddaniem wspomina „Ciurunia” i jego siostrę, regularnie też koresponduje z dziećmi i wnukami swych wybawców.

Dziennik Melanii Weissenberg, 1942–1945

DZIENNIK MELANII WEISSENBERG,

1942-1945

...w miarę możliwości dotrzymać słowa¹. Jeżeli tylko będę miała jakąś tajemnicę, to ci ją zaraz powierzę, bo wiem, że bez tego nie może istnieć prawdziwa przyjaźń. Lecz „to”, co chowam na dnie mojego bardzo jeszcze dzieciennego serduszka, muszę nawet i przed Tobą, mój pamiętniczku, niestety zataić. „To” jest tak wielkie i zarazem tak głupie, że boję się je nawet Tobie, pamiętniczku, powierzyć. Bo a nuż ktoś nieproszony trafi do Ciebie i przeczyta zawarte w Tobie słowa, a już jestem zdradzona. „Tego” nie powierzyłam jeszcze nikomu i zdaje się, że nikomu nigdy nie powiem. Zresztą „to” są przecież tylko moje myśli i przypuszczenia.

1 III 1942

Naprawdę nie wiedziałam, że pisanie pamiętnika jest tak wielką przyjemnością. I wcale mi się nie wydaje teraz za późno. Każdą zapisaną kartkę oglądam teraz [z] szacunkiem. Wszak to karty mego istnienia, mego życia. Więc chciałabym codziennie parę słów skreślić, ale nie wiem, czy to będzie możliwe. A wszystko przez ten czas, cały dzień przecież jestem przy niczym zajęta, a [w] wieczór znów nie mogę, bo ciemno i zimno. I tak coraz to inne przeszkody. Lecz przecież ja nie jestem winna. Teraz, gdy już piszę przy naftowej lampce, to sen skleja mi powieki. Och, już tak późno...

10 III [19]42. Wtorek

Jakaż wielka szkoda, że przyszłam na świat w wieku przeznaczonym na rozgrywanie wielkich bitew! Dlaczego mnie prawie to spotkało? Gdy byłam jeszcze malutka, marzyłam sobie, by moje życie ułożyło się szczęśliwie i bez troski. Jakże głupie mi to się teraz wydaje. I tak to jest nieosiągalne. W moich dzieciennych oczach świat przedstawiał się taki różowy. A teraz? Człowiek jest szczęśliwy, gdy przeżyje dzień, i w trwodze oczekuje dnia następnego. Kiedyż to się skończy? I czy my w ogóle końca doczekamy? To jest bardzo, a to bardzo

wątpliwe. Gdy czasem budzę się w nocy i głębiej nad tym rozmyślam, to widzę, co ta wojna już zrobiła. Ile ofiar, ile krwi i łez wylano. A co jeszcze będzie? To najgorsze pytanie. Już nie jestem w stanie więcej o tym pisać... choć nie poznać po mnie, to jakżeż ja się tym przejmuję. Może jutro przyjdzie jakiś jaśniejszy dzień (bo dziś był straszny), to więcej napiszę.

17 III [1942]. Wtorek

Ach, Boże, mam tak wielki żal do Ciebie... Dlaczego dopuszczasz do tak wielkich zbrodni? Dotychczas nie narzekałam, nic nie żaliłam się, tylko za wszystko dziękowałam. Tak, za wszystko. Nawet za takie rzeczy, o których nikt by nie pomyślał. Lecz teraz. O, Boże! Jestem zmuszona Cię prosić, choć wiem, że moja prośba nie dojdzie do Twoich boskich uszu. Bowiem zaraz nad ziemią skrzyżuje się z wręcz przeciwną prośbą i po krótkiej walce obie spadną na ziemię. A stamtąd już nie ma powrotu. Ale jednak spróbuję. Bo przecież każdy, kto wysyła w drogę swą prośbę, wie, że do Najwyższego ona nie dojdzie. I jednak ją wysyła. A dlaczego? Bo ma nadzieję. Ja przecież także z nią żyję, więc dziś wyślę moje błagania w bezkresną dal. I będę czekać, aż dobry Pan Bóg mnie wysłucha. Moja prośba jest ogromna i tak droga, jak drogie jest życie każdemu człowiekowi. Proszę Cię, Panie Boże, i nie daj nam zginąć, wyzwól nas z rąk naszych prześladowców. Daj nam, o Boże, w spokoju żyć aż do końca naszego istnienia. Wybacz nam nasze grzechy, które są tak wielkie, jak wielką jest Twoja kara. Wszystkich, których rozłączyłeś, złącz razem i uczyni ich szczęśliwymi do końca ich żywota!

21 III [1942]. Sobota

Mela, Melusiu, wiosna idzie. Tak, to na pewno ona. Wierzcie albo nie wierzcie, ale ja słyszę szelest jej skrzydeł przejrzystych i widzę złocistą jej suknię z promyków słońka utkaną. A cóż to na jej głowie? Ach, to wianek z pierwiosnków, pierwszych jej zwiastunów. Idzie, idzie powoli, jak żółw ociężale dla jednego, jak motylek, cichutko dla innego, a dla jeszcze innego biegnie zwinnie jak sarenka. Już. Przyszła. Przyszła do mnie, bo przestąpiła próg naszej izdebki. A raczej nie próg, tylko parapet, bo weszła oknem, razem z powiewem wiatru. Zagląda do każdego kąta, do każdego zakamarka, do każdej szparki. Słowem wszędzie. A taka jest niewinna, taką czystą ma duszę, że tylko gdzie padnie jej wzrok, tam robi się wesoło i przyjemnie. Stamtąd smutek ucieka. Wiosno, wiosenko! Nie zapominaj, pamiętaj i zaglądaj wszędzie. Wszak gdziekolwiek Ty spojrzałaś, tam zrobiło się jasno i smutek znikł. Już, uciekłaś... Poszłaś do innych domków, do innych ludzi. I nie zaglądnęłaś wszędzie. Zapomniałaś zaglądnać do naszych ciemnych, biednych i nieszczęśliwych żydowskich dusz.

30 III [1942. Poniedziałek]

Cóż z tego! Cóż z tego, że już wiosna przysła, że śniegi topnieją, że słoneczko ciepłej świeci, że zwierzęta się budzą ze snu zimowego, że wnet ptaszki przylecą do nas z ciepłych krajów, że wreszcie pojutrze nasze święta. I cóż z tego! Maria Vesera i jej ukochany Rudolf już tego nie widzą². Właśnie wczoraj wpadła w moje ręce książka pt. „Mayerling” i jestem nią zachwycona. Aż w nocy mi się o nich śniło. Chociaż to znana historia, ja jednak nigdy wcześniej o nich nie słyszałam. Tak mi ich szkoda, dlaczego tak postąpili? Według mnie nie powinni byli tak zrobić. Piękna, maleńka Maria miałyby dziś 70 lat, a Rudolf byłby staruszką 85-letnią. W tych latach chociaż byliby małżeństwem, myślę, że nie byliby szczęśliwi. Więc może lepiej, że zeszli ze świata z uczuciem szczęścia?

13 IV [1942. Poniedziałek]

Gdybyś wiedziała, jak ja Cię, Bineczko, kocham. O, gdybyś wiedziała. Lecz Ty nie wiesz i nie będziesz nigdy wiedzieć. Bo nie uwierzysz, że taka miłość może istnieć. To się nazywa miłość „lesbi[j]ska”, to znaczy kobiety do kobiety. Kocham Cię całym moim dziecięcym, czystym jeszcze serduszką. I cierpię. I Ty jesteś moją pierwszą miłością. Jakaż szkoda, że nie mogę Ci dać wymownych jej dowodów! Więc muszę poprzestać na tych dowodach, które mi są możliwe. Gdybym mogła coś zrobić dla Ciebie. Ale Ty przecież nic nigdy ode mnie nie żadasz, bo nie wierzysz, bym ja była do czegoś zdolna. Lecz wiedz, moja ukochana Bineńko, że miłość taka jak moja do Ciebie może wiele zdziałać. Pamiętaj, że na mnie liczyć możesz zawsze i w każdym wypadku.

20 V 1942. [Poniedziałek]

Pomimo tego że przed kilkoma zaledwie dniami pisałam o wiosnie, tak mnie coś ciągnie, że znów chcę coś o niej napisać. Wszak żyjemy teraz w najpiękniejszej porze roku. Wiosna! To jedno, maleńkie słówko, wiosna! Ileż czaru ono w sobie mieści! Wiosno, wiosenko! Jakaż ty jesteś piękna, boska, czarująca. Wszystko, co dobre i piękne, porównujemy z tobą. Szczęście – to wiosna, miłość – to wiosna, młodość – to wiosna. Szczęśliwi ci, którzy woń twoją wdychają, ci, których zachwycasz pięknem swojego oblicza. Szczęśliwi? Tak, szczęśliwi. Lecz ci, którym twego widoku nie przesłania żadna chmurka, którzy mogą się cieszyć twym pięknem. Lecz dla nas? Nie dla nas świeci twe promieniste słońko, nie dla nas się trawka zieleni, nie dla nas uśmiechają się błękity. Ponad naszymi głowami rozpościera się czarna, nieprzenikniona chmura. Czy tak będzie zawsze? Czy nie istnieją takie wiatry, które by ją rozegnały? A może ty, jasna, promienna wiosenko, potrafisz przeniknąć przez głębię tych ciemnych chmur? I może dla nas zaświeci wreszcie słońko?

29 V 1942. [Środa]

Jakże naiwne były moje myśli! Teraz dopiero to widzę. Ja do tej ostatniej, strasznej Jego chwili myślałam, że jednak jest, to znaczy, że jednak tu, w tym wypadku, okaże się miejsce między ustami a brzegiem pucharu. Widzę, że nie ma.

I coś jeszcze widzę. Tam, daleko, przez maleńką szparkę, gdzie rzadko kto dochodzi i gdzie na pewno nikt prócz mnie nie spogląda, zobaczyłam., że nikogo nie ma tam, wysoko, ponad naszymi głowami, i jeszcze wyżej, ponad chmurami.

Tam, w niebie. Ani aniołka, ni skrzydełka, nic. Wiara w Tego Najwyższego, który rzekomo tam siedzi, załamywała się już we mnie od dawna. I dziś się załamała³. Możliwe, że w owej chwili, gdy patrzyłam, wzrok mnie mylił, więc jeszcze ostatniego słowa nie wypowiem, aż będę zupełnie pewna.

21 VI 1942. [Niedziela] Aleczko moja słodka!

Choć nie wiem, co ze mną jutro będzie, to jakże mi Ciebie żal... Nie wiem, nie mam pojęcia, jak życie me dalsze bez Was się ułoży. Fredziuniu słodki! Aleczko droga! I resztką Was! Gdzie jesteście? Czy żyjecie? Ach, nie ma wyższej istoty na globie ziemskim i wyższej nad człowieka! Nie ma! Jakżeż to straszne! Tego nikt wcześniej pojąć nie zdoła, aż go bezpośrednio nie dotknie. Tak jest.

25 VII [1942]. Sobota

Tej nocy spałam z Bineczką⁴ na strychu. Jeszcze kilka takich nocy, a będziemy na cmentarzu.

7 VIII [1942]. Piątek

Wczoraj były urodziny Bineczki. Ofiarowałam jej bukiet kwiatów i napisałam list. Urządziła u koleżanki przyjęcie i zaprosiła wszystkie koleżanki i kolegów oraz znajomych. Mnie naturalnie nie. Dostała parę ładnych prezentów. Złożono Jej dużo życzeń, ale na pewno żadne nie były tak prawdziwe i tak płynące z głębi serca jak moje.

9 VIII [1942]. Niedziela

Dziś rano byłam u Binki i zaraz poznałam, że ją coś gnębi, choć pozornie była uśmiechnięta i wesola nawet. Więc zaczęłam ją prosić, żeby mi wyjawiała powód swego smutku. Wreszcie mi powiedziała, że w dniu swoich urodzin jedna ze znajomych panienek, niejaka Ania F., popatrzyła na jej rękę i powiedzieć jej nic nie chciała. A że owa panienka zna się podobno na linii życia, więc ona przypuszcza, że coś złego wypatrzyła. Że podobno jej linia życia wkrótce się przerywa. I to jest ten powód. Jutro Binka pójdzie do niej, będzie nalegać, by jej powiedziała prawdę. Och, jakże się boję o jej życie! Bo ja lubię czasem przeczuć.

10 VIII [1942]. Poniedz[iałek]

Z niecierpliwością oczekiwałam dziś chwili, w której się miałam ubóstwianej Binki zapytać, co jej powiedziała owa Ania. Ale ponieważ była Ona w o wiele lepszym humorze niż wczoraj, więc przypuszczałam, że owa panienka się musiała pomylić. Lecz Binusia mi powiedziała, że Ania jej dała nadzieję, że wojnę przeżyje, a reszta to ją nie obchodzi, bo ona chce tylko widzieć koniec wojny, więc z powrotem jest wesoła. To wszystko jest coś bardzo niejasne. Bardzo się boję.

16 VIII [1942]. Niedziela

Mam złe przecucie. Jakaś czarna, ogromna chmura wisi nad nami i na pewno spadnie. Bo po co sobie wmawiać, że nie, że już było dosyć i że nic nie będzie. Wszak Dąbrowa nie jest innym, lepszym miastem od innych! Są w niej tak samo różni ludzie jak wszędzie, tak samo dobrzy i niedobrzy, zazdrośni i litościwi, biedni i zamożniejsi, szczęśliwi i nieszczęśliwi. Więc po cóż sobie wmawiać, że zanim zdążą coś złego zrobić, to coś się stanie. Przecież gdyby cuda istniały, to by już wcześniej coś się widziało. Bo tyle już złego było i jest nadal, i cuda, gdyby istniały i mogłyby coś dobrego zrobić, to by z pewnością nie patrzyły obojętnie na cierpienia ludzkie, które są przecież bez granic! A wnet już nie będzie miał kto cierpieć!

4 IX [1942]. Piątek

Już tydzień minął, jak widziałam się z Bineńką. Dziś już nie mogłam wytrzymać i poszłam pod jej dom, bo wiedziałam, że wróciła z gemeinschaftu⁵, gdzie jest sekretarką.

10 VIII. poniedk.

Z niecierpliwością oczekiwataam dziś chwili,
w której się miałam mojej utraconej
Bianki, zapytać, co jej powiedziała sowa Ania P.
Dle pomniwaix była ona w o wiele lepszym
humorze niż wczoraj, więc przypuszczałam,
że sowa pacjentka się musiała pomylić.
Lecz Bimusia mi powiedziała, że sowa
jej data nadzieję, że wojnę przeyje, a resz-
ta to ją nie obchodzi, bo ona chce tylko
widzieć koniec wojny, więc z powrotem
jest wesota.

To wszystko jest coś bardzo niejasne.
Bardzo się boję.

16 VIII niedziela

Mam ile przeżuć. Jakaś szama, ogromna
chmura wisi nad nami i naprawdę spadnie,
Bo po co sobie umawiać, że nie, że już.

było doryć, a nie mieć nie będzie. Alak Dabrowa
nie jest innym, lepszym miastem od innych.
Ja w niej tak samo rośnie ludnie, jak wszędzie,
tak samo, dobry i niedobry, zadowolony i litości-
wi, biedni i najmocniejsi, szlachci i mieszczyźni
Kieć pośród siebie umawiać, że namim udzię coś
tego zrobić, to cud się stanie. Przecież cuda
gdyby istniały, to by już wcześniej coś się
wzdrzało. Bo tyle już tego było i jest nadal
I cuda, gdyby istniały, że mogły coś dobrego zrobić,
to by z pewnością nie patrzyły objętanie na cierpienie
ludzie, które są przecież bez granic!
A umet już nie będzie miał kto cierpieć!

4 IX piątek

Już tydzień minął, jak widziałam się
z Bineńką. Teraz już nie mogłam wytrzymać
i posłam pod jej dom, bo wiedziałam
na wieść z gromadzieństwa, gdzie jest

Ale zdaje się, że nie była zadowolona z mojej wizyty i wcale za mną nie tęskniła, tak jak ja za nią. Więc nie chciałam długo jej nudzić i zabrałam się do domu, choć byłabym bardzo rada jeszcze parę chwil widzieć ją, bo tak mi się zdaje, że już niedługo tego dobrego. Bodaj by mnie przecucie myliło.

9 IX [1942]. Środa

A więc stało się to, czego się najbardziej obawiałam. Muszę się z Bineńką moją najdroższą rozłączyć! Ach, jakie to okropne! I już nigdy się z nią nie zobaczyć! Cóż ja bez niej pocznę? Do kogo się będę uciekać w chwilach rozterki i żalu do całego świata? Jakiż to bezgraniczny cios dla mnie... jeszcze tylko kilka

godzin mi pozostaje! Idę więc teraz list pożegnalny napisać do Niej, bo nie potrafię wysłować się, co do niej czuję i co Jej życzę na przyszłość, której aby doczekała! Już. Skończyło się. Prysnęła bańka mydlana. Nie przypuszczałam, że w takich warunkach przyjdzie nam się rozstać. Bineńka tak płakała nad moim listem i długo trzymała w swoich rękach moją głowę i patrzyła mi w oczy. Żądałam od niej błogosławieństwa i pobłogosławiła mi. Teraz odchodzę z miasta, by już więcej do niego nie wrócić. Nic dobrego mnie w nim nie spotkało. Straciłam w nim wszystkich drogich mi ludzi z rodziny i w końcu dziś przyszło mi zostawić w nim najdroższe mi na świecie stworzenie, Bineńkę. Pierwsze dni będę jeszcze żyła oczekiwaniem na ostatni może od Niej list, a potem to już nie wiem, na co mi przyjdzie.

10 IX [1942]. Czwartek

Znajduję się u pewnej chłopki, gdzie skryłam się wraz z rodziną, by uciec burzy, która musi przejść nad miastem⁶. Och, jakże się boję o moje kochanie, które zostało w tym wstrętnym mieście! Mam teraz całe dnie czasu, więc bardzo dużo mimo woli rozmyślałam. I drżę ze strachu, że Bineczka nie wyjedzie na czas z miasta.

12 IX [1942]. Sobota

Dzisiaj dostałam list od Bineczki mojej ukochanej. Oblałam go gorzkimi łzami. Bo jakże można się pogodzić z myślą, że to już koniec, że ma się 70 lat, gdy jest się w kwiecie wieku i ma się 20 lat!⁷ Żebyśmy się jeszcze kiedyś w życiu widziały!

17 IX [1942]. Czwartek

Dzisiaj przyszedł do nas tatuś, bo widocznie już bardzo źle w mieście musi być. Z jakim ciężkim sercem przyjął wiadomość, że moja droga Binka siedzi gdzieś w jakimś lochu i oczekuje najgorszego. Co ona tam biedna musi cierpieć! Przecież mówiłaś, Bineczko, że nigdzie nie pójdziesz, że się z rodzicami nie rozłączysz! Musisz się zdać na Twoją szczęśliwą gwiazdę i na mnie. Może jednak mi się coś uda, bo wyteżę wszystkie siły, by ci pomóc. Gdybym była w mieście, to by mi się na pewno udało!

18 IX [1942]. Piątek

Cóż za okropny dzień był dziś w mieście!⁸ Ani jeden żyd nie został. Wszystko wywiezione na śmierć. Co moja Bineńka robi? Co ja bym teraz zrobiła, by móc ją mieć teraz przy sobie! Ale ona żyje jeszcze na pewno! Bo jeszcze nie było żadnego symptomu, który by wskazywał, że nie.

19 IX [1942]. Sobota

Dziś po południu, gdy siedziałam jak zwykle w stodole, usłyszałam krakanie wrony. I długą chwilę siedziała nad moją głową i krakała jakoś tak groźnie, że miałam wrażenie, jakby coś złego w tej chwili stać się miało. I dziwne mi się zdawało, że nikt tego krakania prócz mnie nie słyszał. Cóż to ma być?

20 IX [1942]. Niedziela

Straszny sen miałam tej nocy. Nie, nie straszny, tylko prawie że pewna jestem, że Bineczce mojej słodkiej, najdroższej, och, coś złego się stało. Bo śniło mi się, że w kuchni siedziała jej mamusia i kazała usmażyć sobie młode kurczątko. Więc Binka złapała je i położyła mu nóż na gardle. Ja stałam tuż przy niej i patrzyłam, co ona robi. Gdy widziałam, że idzie to kurczątko zarznąć, to się prędko obróciłam, bo nie mogłam patrzeć. Za chwilę znów się odwróciłam i zobaczyłam, że to kurczę już zarżnięte, stoi spokojnie z poderżniętym gardłem, jak gdyby nic. A nigdzie nie było śladu krwi. Nawet próbowałam je gonić, ale ono tylko troszkę ruszyło się z miejsca i jakoś dziwnie zasnuwało mu się oko powieką. I to był ten sen. Och, jaka nieszczęśliwa ogromnie jestem!

22 IX [1942]. Wtorek

Dziś w nocy ma tatuś wrócić do miasta, bo dotychczas nic nie wiemy. Nie mieliśmy się przecież kogo poinformować! Boję się wprawdzie, by mu się coś nie przydarzyło, ale mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, bo on ma naprawdę szczęście. Och, już bym chciała, żeby karteczkę napisał albo żeby sam przyszedł, to się nareszcie dowiem, co jest z Bineczką moją najdroższą, najukochańszą pod słońcem. Och, już się mnie wariactwo czepia...

23 IX [1942]. Środa

Tak. To, przed czym się bałam tak bardzo, już na pewno musiało się stać. I jest już faktem dokonany. Bo wiedziałam, po prostu pewną byłam, że wielka miłość zdobędzie się na symptom jakiś, gdyby temu przedmiotowi coś złego się przydarzyło. Gdyby ktoś czytał te słowa, to by sobie pomyślał, że ta osoba, która je pisała, jest wariatką i w szale przypomniała się jej bajka, jak to brat wyrusza w świat i zostawia siostrze korale, które mają tę właściwość, że gdy brat umrze, z koralu wypłynie krew lub coś takiego. A mnie właśnie wypadło najważniejsze oczko z pierścionka, który rok temu dostałam od Bineczki i który był moim talizmanem. To oczko szklane to było jakby Binki serce. A więc wyrwano jej serduszko!

28 IX [1942]. Poniedz[iałek]

Więc moje wszystkie symptomy okazały się niestety słuszne! Oby nigdy nie był przyszedł ten okropny dzień, w którym z listu tatusia dowiedziałam się, że moje

najdroższe, najukochańsze pod słońcem stworzenie zostało wywiezione na pewną śmierć⁹. I po uśmierceniu elektrycznością będą odciągać tłuszcz na mydło! Och, to straszliwe, nie do pojęcia! Tak młodym, pięknym kwiatom podciąć nogi! Gdy dożyję, straszną, okropną będzie moja zemsta! Dla tej zemsty cierpię teraz i prowadzę życie po prostu męczeńskie. To mnie jeszcze przy życiu trzyma. Kiedyż nastąpi ten porachunek?

11 X [1942]. Niedziela

Ach, jakże ciężko na sercu jest ludziom niewierzącym w Najwyższego! Nigdy bym tego nie powiedziała, gdyby nie przekonanie się na samej sobie. A teraz, gdy nieunikniona śmierć mnie czeka, nie mam do kogo w ostatnich chwilach się zwrócić i u kogo szukać łaski lub choćby pocieszenia. Gdyby moje ukochanie żyło, a bardzo wątpię, do niej poszłabym, a po Jej słowach na pewno strach przed śmiercią nie byłby taki duży. Jakże żałuję teraz, że się z nią rozłączyłam! Przecież razem z nią śmierć byłaby mi słodką i lekką! Cóż mam teraz z tego, że nie poszłam razem z nią. Chyba tylko to, że miesiąc jeszcze trapiłam się tym czymś okropnym, co się nazywa życiem. I chyba to tylko mi zostało, że mogłam Ją opłakać, nie wiedząc nawet, jaką śmiercią zginęła i co z Jej najdroższymi szczątkami się stało! Lecz mnie już nie będzie miał kto opłakiwać... Bineczko! W Ciebie tylko wierzyłam i Ty byłeś moim Bogiem! Jeżeli więc istnieje jakieś życie pozagrobowe i jeżeli Twa dusza gdzieś się w przestworza wzniosła, i jeżeli Twa dusza jest w stanie, to błagam Cię i zrób, żebym jeszcze jakiś czas żyła. Chcę jeszcze żyć jakiś czas, by móc pomścić Twoją śmierć. A potem już odejdę ze świata z tym uczuciem, że wszystko co do mnie należało, spełniłam. A wtedy? Ach, wtedy już na zawsze, na wieczne życie się połączymy i już zawsze będę razem z moją Bineńką!

14 X [1942]. Środa

Moje serce jest z kamienia albo ze stali. A jeśli istnieje jeszcze twardszy surowiec, to z niego właśnie jest me serce wykute. Bo inaczej pewnie nie zniosłabym myśli, że już nigdy, nigdy nie zobaczę się z moim ojcem i bratem. Przecież gdy ktoś się dostanie w ich szpony, to już nie sposób się z nich wydostać. Więc ja i to znoszę? Jakie to dziwne, że człowiek może tyle znieść. To musi być rzecz nadludzka. Ach, nie mogę już więcej pisać!

16 X [1942]. Piątek

Najdroższa Binuś! Ja do Ciebie piszę, a drugą ręką boleści kołyszę. Śmierć mi Cię zabrała – jam sama pozostała. Najdroższa Binuś, ja do Ciebie piszę.

21 X [1942]. Środa

Ale szczęśliwy dzień miała wczoraj mamusia! No i ja naturalnie także, choć na mnie przecież nie wywiera nic wrażenia. Ni złe, ni dobre. Ja przecież wszystko przyjmuję z obojętną, lekko ironiczną miną. Gdy w środę wywieziono do Tarnowa tatusia i Zygę, nie spodziewałam się wcale, że jeszcze kiedyś choćby wiadomość od nich dostanę. Aż tu wczoraj przyszedł od nich list. Nie zły, nie dobry, ale żyją, i to grunt. Bo przecież wszystko inne schodzi na drugi plan. Ale czy to długo będzie „to dobre”? [brak jednej strony – J.G.] lecz trudna to będzie rzecz, by nowego roku żyd doczekał! Jako prezenty dostałam placek pszenny, placek ziemniaczany, kilka pieczonych ziemniaków i kilka kiszonych pomidorów. A życzenia mi złożyły mamusia i Helcia. Oby mi mogły jeszcze życzenia złożyć! Jeżeli do nowego roku dożyję, to zacznij mi powracać wiara w Boga. Bineczko, czuwaj nade mną!

27 XI 1942. Piątek

Zyga dziś wrócił z Tarnowa! Uciekł z transportu, gdzie siedł z tatusiem i po paru przygodach przyjechał pociągiem do naszej stodoły.

Przygód nie chce mi się opisywać, bo i tak już dość straszny jest mój pamiętnik.

8 XII 1942. Wtorek

Wiatr dmie zimny i ponury, ostrym śniegiem w oczy prószy, niebo czarne kryją chmury, cicho, ciemno w mojej duszy. Straszno mi, straszno. Tylko słycać serca mego drgania i bolesne jego wołania i łkania. Do Ciebie, Binko, chcę, do Ciebie... Odeszła mnie Binka luba, Binka, którą tak kochałam, tylko tyle mi zostało, że się z nią, ach, pożegnałam. Żegnaj mi, żegnaj...

Binko ma, Binko, czyś Ty poszła w świat daleki, czy odeszłaś mnie na wieki? Powiedz, ach powiedz. Serce moje we mnie płacze, że mej Bineczki nie zobaczę. Nigdy już, nigdy.

21 XII [1942]. Niedziela

To była najgorsza, najbardziej koszmarna noc w całym moim dotychczasowym życiu. Wrogowi nie życzę takich chwil. To rozstanie z mamusią i Zygą było nad pojęcie ludzkie bolesne i zgrozą przejmujące¹⁰.

22 XII [1942]. Wtorek

Koniec z policjantami¹¹.

cicho, ciemno w mojej duszy. Straszno mi, straszno.
Tylko słychać serca mego drgania i bolesne jego woła-
nia i łkania. Do Ciebie Binka chce, do Ciebie...
Odeszła mnie Binka luba, Binka, którą tak ko-
chałam, tylko tyle mi zostało, że się o nią, ach, pro-
sięgnęłam. Żegnaj mi, żegnaj...
Binka ma, Binko, czyś Ty powita w świat dale-
ki, czy odeszłaś mnie ma wiewka. Powieść, ach powieść
serce moje we mnie płacze, że mej Bincutki
nie zobaczę. Nigdy, już nigdy...

20. XII. Niedziela

To była najgorńsza, najbardziej kusząca noc w moim
całym dotychczasowym życiu. Wznowi mi życie takich
chwil. To nastanie a marusia i życie było nad pojęcie
ludzkie bolesne i ogromną przyjemność.

22. XII. Piątek

Pianica i polijantarnia...

(AUTORKA)
H.A.

Dn. 29. XII, 1942

Gdy światem zdejście sroga wina
I mroźny wiatr do skrytki dnie
Słot tego zimna nie powstrzyma
Do wszystko się sprzyjało się

Moim mamentem jest piernyczka
By skryć się od śnieg do głębi
Inne mamentem ma drzewczyna
Gdy ciepło sprzyja do jej snów.

Tonure dnie i zimne noce
To przecież jest ludzkości wróg
Gdy ciato ciele dmy, dygocce,
She można wognać miękkich nóg.

I chociaż sąpany są zakryte
By trochę chodby wgnąć noc

29 XII 1942. [Wtorek]

[autorka H.A.]

Gdy światem zdąża sroga zima
I mroźny wiatr do skrytki dmie
Nikt tego zimna nie powstrzyma
Bo wszystko złe sprzysięgło się.

Moim marzeniem jest pierzynka
By okryć się od stóp do głów
Inne marzenia ma dziewczynka
Gdy ciepło sprzyja do jej snów.

Ponure dni i zimne noce
To przecież jest ludzkości wróg
Gdy ciało całe drży, dygoce
Nie można rozgrzać zziębłych nóg.

I chociaż szpary są zakryte
By trochę choćby ogrzać noc
I choć żołądki nasze syte
Nic nie zastąpi pierzyny moc.

Na nic płaszcze i kożuchy
Choćby było ich po sto
Nie ma to jak pierzyn puchy
Gdyż łagodzą zimna zło.

Na nic wszelkie spekulacje
By się ogrzać, szkoda mąk
Na nic wszelkie imitacje
Choćby mieć ich cały krąg.

Na nic słoma, na nic siano
Chyba tylko hrabia
Ciano Może ogrzać swoje ciało
Ale w Polsce to za mało.

Ach, pierzynko moja miła
Każdy przecież o tym wie
że gdy w twoje puchy weźmiesz
Aż do żaru zgrzeję się.

Dn 7 I 1943. [Czwartek]

Nie piszę, bo mi zimno w ręce i w ogóle...

25 I 1943. [Poniedziałek]

Wielka zmiana w moim życiu! Zmieniłyśmy dziś „mieszkanie”. Przeniosłyśmy się ze skrytki w stodole do skrzyni umieszczonej w ziemi. Jest wprowadzić otwór, by niby światło wchodziło i powietrze, ale siedzieć nie można. Straszne jest to bezczynne leżenie przez całe dnie, bo dopiero w nocy można wyjść, wyprostować się, na cuchnącą stajnię, zimną i ciemną, i drzeć na każde szczeknięcie psa, ale to już rozkosz, bo po przeleżanym dniu kości sobie nie czujemy. Ale jak długo można to tak stać w tej ciemności, zimnie i smrodzie? Po dwóch godzinach, już strasznie zmarznięte i zmęczone, włączymy do nory, w której mamy pierzynkę i poduszkę. O godzinie szóstej rano wyłazimy znowu na chwilę, by się trochę umyć i załatwić. A po wyjściu leżymy już do nocy. Wieczór znów to samo wyłazenie itd. Moja Kotuśka¹² jest najśłodsza na całym świecie. Prawda? To wszystko przeplatane strachami i nieprzyjemnymi komunikatami „wujcia”, jak np. „Znowu przyprowadzili skądś rodzinę żydowską i zastrzelili!” itp. Dopiero to się szczęściem nazywa, i to jeszcze jakim. I sto razy dziennie trzeba Bogu dziękować, że tak jest, a nie inaczej. I ciągle prosimy o zdrowie naszych kochanych, dobrych gospodarzy, naszego „wujcia” i naszej pani, żeby do końca wytrwali szczęśliwie w swoim szlachetnym postanowieniu. Żeby im Bóg dodał siły do przecierpienia z nami! Bo przecież ci złoci ludzie czynią dla nas, co tylko w ich mocy i możliwości. Podziwiam wciąż tę ich wytrwałość, bo przecież to rzecz nie lada, a bądź co bądź żadnych zobowiązań wobec nas nie mają, bo nim my do nich przyszli, to nas nawet dobrze nie znali! Czuję, że nieraz bardzo nas nie lubią, bo jesteśmy wszak przyczyną ich strachu i niepokoju, w którym żyją, odkąd my do nich przyszli. Jednak ich idealny charakter nie pozwala im wysłać nas na pewną śmierć i wielka ufność w Boga pozwala im do przewyciężenia panicznego strachu, który niestety tak często ma miejsce. Drogi, kochany, złoty „wujciu” i ty, nasza Pani słodka! Jakże bezgranicznie wdzięczną Wam jestem, że pomagacie nam pchać tę ciężką tak okropnie taczkę życia, na którą źli ludzie nałożyli takiego ciężaru, że bez was, nie ma rady, na pewno bym nie uciągnęła!

18 II 1943. [Czwartek]

Znów osiemnasty! Nie znoszę, nienawidzę osiemnastki¹³. Wszystko, co złe, ma coś wspólnego z osiemnastką. Choć po prawdzie dla nas każdy dzień bez różnicy jest jednakowo straszny i okropny. Ale szczególnie ta osiemnastka napawa mnie lękiem. I tak powoli już przeszło pięć miesięcy nie byłam na powierzchni ziemi. I tyle bólu mi te miesiące sprawiły, ach, tyle! Żeby choć następne miesiące coś lepszego mi przyniosły. Bo znów wiosna idzie. ach, wiosna. A ty, uczciwy

człowieku, gnij za „życia”.

22 II 1943. Poniedz[iałek]

Pamiętniczku mój miły! Muszę ci się przyznać, że od pewnego czasu nie byłam z Tobą tak szczerą, jak być powinnam. Ale ty mi przebaczysz, bo wszak wiesz dlaczego. Wiesz, że zamiast myśli me na twych kartkach złożyć, to ja listy pisałam do Bineczki. Lecz teraz niestety już tego czynić nie mogę, bo przecież wiesz, że jej już nie ma. Gdybyś, pamiętniczku, był dziewczuszką, to bym ci coś powiedziała na uszko, ale że tak nie jest, więc to co mam na uszko mówić – napiszę. Helcia ze swoimi trzynastoma zaletami zaczyna mieć przede mną troszkę sekrety. Fe, to ja tak nie chcę. Choć może i ma rację. Ja jeszcze głupia i nic nie wiem. Właśnie dlatego powinna mi te karteczki pokazywać, bo przecież kiedyś w końcu trzeba się dowiedzieć. No, ale jak nie, to nie. Może i lepiej na tym wyjdę. Pamiętniczku, odezwij się.

14 III [1943]. Niedziela

Po długiej dość przerwie znowu zaglądam do mojego zeszytu. A to dlatego, bo dziś cały dzień stoimy w stajni, aby się trochę przeprostować. A ponieważ tak na leżąco bardzo mi jest pisać niewygodnie, więc przyniosłam zeszyt na górę. Lecz i tu mi warunki nie sprzyjają, bo choć to już połowa marca i pięknie na dworze, słoneczko świeci, ziemia pachnie, to jednak strasznie zmarzłam. Żeby to tak za te drzwi stajenne wyjść było można i na tym progu usiąść... To tak dalekie i wprost nieosiągalne, że szkoda smak sobie robić i marzyć o tem szkoda, niestety. Już sobie nie mogę innego życia wyobrazić jak to, które prowadzę obecnie. Czy to już tak zawsze będzie? Czy to nigdy się nie kończy?

7 IV 1943. Środa

Świat jest tak ogromny i tak strasznie wielki, że myślą nawet nie można go szybko obiegnać ni pojąć jego ogromu. Prawie że cała ziemia jest zamieszкана przez ludzi. Podobno nawet po drugiej stronie księżycy i na Marsie również żyją ludzie. Dla wszystkich stworzeń, które żyją, jest miejsce na powierzchni ziemi. Tylko dla dwóch biednych, opuszczonych żyjących istot brakło go niestety na powierzchni ziemi. Więc biedne te nieszczęśliwe istoty ludzkie zmuszone są żyć pod jej powierzchnią, i to w małej skrzynce, ciasnej, w której można leżeć zaledwie, i to trochę skurczonym. A o siedzeniu to nawet mowy nie ma. I te istoty leżą po całych miesiącach w owym pudle i tylko trzy godziny na dobę wychodzą [w] wieczór na stajnię. Ciasnota, brud, robactwo, ciemno, duszno, jak w grobie. I owe istoty dopiero [są] szczęśliwe, że tak, a nie gorzej, i w codziennej modlitwie dziękują za ten „grób”. I nic nie mówią, już nawet nie narzekają, bo wiedzą, że dla nich miejsca na powierzchni ziemi zabrakło. Czy nigdy już nieprzeznaczone nam

na świat wyjść?

16 IV [1943]. Piątek

Oczko mię boli... I nie ma mi go kto wylizać. Helcia nie chce, bo się boi, że się zarazi. Nie bój się, Helciu, jak się zarazisz i tak ci będzie ropieć jak mnie dzisiaj, to ci wylizę. Ale pod tym warunkiem, żeby też było takie kocie jak moje. I święte łezie też ci wylizę. Ale pod tym warunkiem, że chcę, żeby też by też [tak w oryginale – J.G.] było takie chore jak moje. I święte łezie też wylizę. Ja chcę, żeby cię już zaczęło boleć.

23 IV [1943]. Piątek

Oj, głuptasku, głuptulko. jak Ty sobie to wyobrażasz? Myślisz, że na serio mówię, że ci nie dam? Jak możesz tak myśleć? Przecież gdybym sama miała jeść coś lepszego od ciebie, to by mi w gardle stanęło. Z tym konopiem też tak wierzysz, że ci połowy równiutkiej nie dam? Jak mi wtedy obiecywałaś, to od razu nie miałam zamiaru skorzystać! Chcę cię tylko wypróbować, jak Gryzeldę z bajki.

20 V 1943. Czwartek

Nudzi mi się okropnie. Z Helcią już nie mamy tematu, bo najwyższy czas, by się już wyczerpał. Wszak już od miesiący jesteśmy nierozłączne i bez świeżych wrażeń. Och, tak strasznie się nudzę. Pisałabym na Twoich kartkach, pamiętniczku, ale wyłącznie tylko smutne myśli mi się po głowie plątają, więc nie chcę ich do pamiętnika przelewać. Na sam raz nie mam co robić. Ach, żeby tak móc na świat wyjść... próżne marzenia, nieosiągalne, niedoścignione.

21 IX [1943]. Wtorek

Ta uferma [?] mi nie pozwala pisać, choć mam nieraz ochotę. Ale jak kiedyś nie będzie widzieć, to cię zapiszę do ostatniej kartki. Djobe? Pij kawę, Kotuśku, djobanoc.

10 X [1943. Niedziela]

Lutanie.

27 X [1943]. Środa

Gdyby mi rok równy dzisiaj temu powiedział ktoś, że ja rok następny oglądać będę, to bym temu człowiekowi nigdy nie uwierzyła, choćby go za najrozumniejszego miano i uważano. Bo jest to sztuką nie lada i wyczynem nadludzkim „Cyrylka Fallsa” naszego¹⁴.

Dn. 16. V Piątek

Owako mię boli... I może ma on go kto wylizac
Helcia mię chce, bo się boi, nie się narazi. Nie boj
się Helciu, jak się narazisz, i tak ci będzie róg
jak omnie drusioj, to ci wylizę. Alie pod tym un-
munkim, żeby ten było takie trochę jak moje.
I święte Tuxie też ci wylizę. Ja chce, żeby ci
już zaczęła boleć...

Dn. 23. V Piątek

Oj, głupek, głupek... Jak Ty sobie to wyob-
razasz? Myślisz, że ma serce moje, że ci
nie dam? Jak możesz tak myśleć? Przecież
gdobyra sama omnia jeść coś lepszego od
ciężkiego, to by mi usz gwałt stanoła. I tym
konopiem też tak wiemysz, że ci pociąg
moimistkiej nie dam? Jak mi wtedy
obiecujesz, to odwracasz mi omnia
normomuskuwystaw! Alie cię tylko...

wypróbowanie, jak Gryszeldę w bajki.

Dn. 20. V. 1943. Łowoski

Nudni mi się skomponować. I ślecia już mi marny temat,
bo najwęższy czas, by się już wycofał. Książki już od misji
uj Jesteś mi nierozważny i bez swiętych wrażeń.

Och, tak strasznie się nudzę... Pisałabym na Twoich
kartkach pamiętników, ale, nie wyjątkowo smutne tylko
myśli mi się po głowie plotają, i więc mi chęć ich
do pamiętnika pisać. Na sam naraz nie mam co
robić. Ach, żeby tak móc na świat wyjść...

... o, prośne marzenia nieosiągalne, nielaskowane...

Dn. 21. V. 1943.

To ufermas mi nie pozwala pisać, choć mam nierozważny.
Ale jak kiedyś mi będzie widnieć, to cię napiszę do ostatniej
kartki. Djabie? Daj lewo kotusku, djabie...

Dn. 20. V. 1943.

Dn. 27. V. 1943.

Jeżeli mi noki odwrócić dzisiaj temu, powiesział był ktoś, że
jeżeli następny oglądać będę, to bym temu wstawiałowi,

Wierzę, że dzięki jego już nie tak czynom szlachetnym, lecz własnej chęci przeogromnej i wolą jedynie, by biedne dusze ludzkie ratować, przewycięża ta dusza szlachetna tysięczne zapory na każdym kroku stojące i wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami stara się nasz marny żywot przedłużyć. Ciureczku, nasze życie, miej siłę wytrwać w Twoim zamiarze przetrudnym do wykonania! Niechaj choć po części ziszczą się Twoje tak bardzo prymitywne i skromne pragnienia! Zawsze w dniu moich urodzin, tzn. od lat gdzieś dziesięciu, lubię

reasumować rok przeszły. Właściwie to rok ten sam od początku do końca przesuwa się przed oczyma niby film jakiś barwny, a obrazki w nim przeróżne i zmieniające się niczym w kalejdoskopie. Ach, jakżeż bardzo odbiega rok mojego życia ostatni od filmu barwnego i kolorowych szkiełek kalejdoskopu. Jeżeli już koniecznie na ubiegły rok mojego życia chciano by patrzeć pod kalejdoskop, to umieścić bym w nim musiała same czarne, najeżone ostrymi szpicami szkiełka, które uderzając o siebie, wydawałyby niemiłe, urywane dźwięki. Człowiek, który uważałby się za wiele złego... nie dokańczam...

Listopad [1943]

Zaraz pierwszego dnia okropny strach, który się kończy na szczęście tylko strachem. Ciuruniu¹⁵ bardzo smutny, nie przyczłapuje przez cały miesiąc ani razu. Kotuchna miała urodziny i dałam jej mydełko. Ale umyła się nim tylko raz i już go sobie schowała. Poza tym z całej doby najbardziej znośne są dla mnie wieczory, gdy już leżymy pod ciepłą pierzynką i Kotuśka opowiada mi różne historie, tak że nieraz muszę pękać ze śmiechu. Gdy jesteśmy na górze, to mam znowu cel: Pontusia. Stale go karmię i chowam dla niego smaczne kąski. Taki ładny koguciu.

Grudzień [1943]

W dalszym ciągu najbardziej znoszę Kotuśki wieczorne opowiadania. Cały tak bardzo przykry i pełny udręczeń dzień cieszę się na myśl, że znów wejdziemy do pudła i będę słuchać tych historyj.

Bardzo dużo mówimy o lutaniu i Kotuchna mi demonstruje, tak że nie może być bardziej wierne odbicie. Namówiłam ją, żeby sprowokowała Ciurunia, żeby wiedział, że mimo zimna jest także chętna. I usłuchała mię i zaczepiła go, i było. I znów mamy na przeciąg kilku dni tak miły temat. W ogóle cały grudzień wieczorów jestem pod wrażeniem Aminy. Taka piękna historia i Kotuśka ją sama wymyśliła.

26 [XII 1943] było znowu lutanie.

Styczeń 1944

12 stycznia Kotuśka napisała do Ciurunia list następującej treści: „Wstydę się znów do Ciebie pisać, żebyś o mnie źle nie pomyślał, ale pozostało mi z ostatniego razu takie okropne pragnienie. Ty myślisz pewnie, że miałam dosyć? To jest dopiero na rozdrażnienie. Ja potem przeżywam całą noc, przeżywam to jeszcze raz i każdy nerw we mnie drga na samo wspomnienie. Zwłaszcza po ostatnim razie miałam jeszcze straszną potrzebę, bo mało pobawiłam się, chciała[m] jeszcze troszkę. Kotuśku złoty, Twój każdy dotyk działa na mnie jak prąd, wszystko się we mnie burzy i woła: jeszcze. Przyjdź, kochanie, popieścić troszkę, ale tym razem

masz mnie położyć, bo muszę Cię czuć całego na sobie i przycisnąć. Kotuśku, na koniuszek i paluszkim. A ta słodka dziureczka z obrzeżkiem. Moje maleństwo, przytul i ukój moje pragnienie, bo chcę omdlewać w Twoich męskich ramionach”.

Przyczłapał 26 [stycznia 1944], ale Kotuchna miała tajmek, wobec tego człapał znów 3 lutego. Straszne mrozy i nie mamy nic ciepłego, a mówić nie chcemy. W dodatku nie ma obiadów i wszystko pod znakiem zimy.

26 [lutego 1944] Ciuruniu uciał łebek mojemu Pontusiowi. A wszystko przez nią, bo mogła temu zapobiec łatwo. Tylko że jej się to wydawało za błahe. Na nieszczęście to ja się stałam zabobonna i zaczęłam wierzyć, że Pontuś musi istnieć, żeby nam się nie pogorszyło. Dlatego dawałam jej tyle dowodów, jak bardzo mi zależy, by o niego mówiła. Ale ona nie chciała, i już przepadło. I jakby za karę za to w ten sam dzień zaczęło jej coś dolegać serdunio. Zaraz sobie wmówiła najprzeróżniejsze choroby możliwe i niemożliwe. I było to w większej mierze cierpienie psychiczne aniżeli fizyczne, jakby kara za to, że nie zadość uczyniła mojej prośbie, tak łatwej do wykonania. Bo ja się następstw wcale nie obawiałam, bo czasem mi głos jakiś wewnętrzny mówi coś, a ja gdy go powtarzam, to choć to jest bez uzasadnienia, to jednak można w to wierzyć. I właśnie coś mi szeptało, że to nic, że to samo przejdzie, bo to za Pontusia. Bo to jedynie dla niej było przeznaczone – ten ból psychiczny, bo ja się nie martwiłam, a poza tym wszystko przeżywamy do połowy. Mój kiciuś się rajcował.

Marzec [1944]

Jako dopełnienie naszej czary goryczy zaczęła się do nas zakradać woda z roztopów, choć mróz jeszcze wielki, i nogi mamy spuchnięte i odmrożone, że strach. Od 15 marca strachy i Ciuruniu bardzo przejęty i smutny.

Kwiecień [1944]

5 kwietnia spałyśmy na stajni, bo bałyśmy się, żeby nam woda nie zaszkodziła w zdrowiu, ale nas taki strach ogarnął, że w środku nocy weszłyśmy z powrotem do wody. Znowu w dwa dni później, przy podawaniu, wylał się nam dzbanek wody. Po świętach zmieniłyśmy sobie słomę, tak że już nie leżymy w wodzie, lecz w błocie. Uszyłyśmy sukienkę dla Bachy, cztery pary majtek, bluzeczkę, skarpetki. Wielką przyjemność mi to sprawia. Palec mnie obierał i bardzo mi dokuczył. A 20 kwietnia to Kotuchna miała słabe serdunio, więc ją namówiłam, żeby sobie zaprosiła Ciurunia, to się jej serdunio wzmocni. I napisała taką karteczkę: „Jak chcesz, to przyjdź dziś wieczór na chwilę, bo mi się naprzykrzyło”. I przyczłapał. I było. I serdunio się jej zaraz wzmocniło, bo musiała to mieć na lekarstwo.

Maj [1944]

16 maja było lutanie, ale z rezygnacji.

Z początkiem maja szyłyśmy sukienki duże dla Panki i koszulę dla chłopaka. Przestałyśmy dopiero cierpieć z powodu zimna. Aż 17 maja nadszedł dla nas przełomowy dzień. Przyszedł w południe Ciuruniu i powiedział, że Pankowa mówiła, że ma żydów w stajni 16. Wobec tego on już nie może dłużej ryzykować, i kazał nam robić, co chcemy. Powiedział, żebyśmy poszły w pola, choć wiedział dobrze, że żyć człowiek w polu nie jest w stanie. Przeżyłyśmy kilka strasznych godzin w oczekiwaniu na wyjście w pole pod osłoną nocy, ale stał się cud jeszcze i Ciuruniu powiedział, że jeszcze zaryzykuje, i kazał nam wejść do dziury do stodoły. Przesiedziałyśmy tam dzień, ale znowu wieczorem kazał nam przejść z powrotem, bo tu był jeszcze bardziej niespokojny. Więc wróciłyśmy na dawne miejsce, ale na gołą, wilgotną słomę, bez pierki, bez pady, bez niczego. Ale wciąż mamy na myśli, że w polu by też tego nie było. Teraz musimy cały dzień leżeć w pudle, a na noc nas otwiera. Więc całą noc trzeba prześlęczyć, żeby w dzień choć trochę się zdrzemnąć, ale to, co w nocy się nie prześni, to w dzień już sobie nie można powetować. Normalnie żyjący człowiek nie mógłby nawet pojąć, co to znaczy z dnia robić noc i odwrotnie. Bardzo cierpimy fizycznie i duchowo, bo nasz jedyny dawca życia i w ogóle wszystk[ieg]o na świecie zmienił się bardzo. Ma wprawdzie dostateczne do tego powody, bo strach o wiele większy i beznadziejność w dodatku, ale cóż my, biedne, najgorzej gdy obie strony mają rację. O całe niebo się nam pogorszyło, a i przedtem też było dosyć...

Czerwiec [1944]

1 czerwca. Lutanie w biały dzień za drzwiami. Na drugi dzień także. Ale mię to nie cieszy, bo to tylko tak, ot.

6 czerwca [1944] dowiedziałyśmy się o ważnym wydarzeniu wojskowym: rozpoczęła się oczekiwana inwazja we Francji.

brunice.

1. czerwca lato nie jest biały dzień na drzewami. Sta drugi
dniewi takie. Ode mię to nie ciemny, do to tylko tak, st
6. czerwca, dowiedzieliśmy się w naszym wyplacenie
wojskowym, Porpoista się oskierwana inwazja
we Francji.

24 ^{maja} ~~maja~~ napisatam do cie runia list.
Prositaby m, aby Pan niechciał przekazać te parę słów
które tu piszę w moim wyprawie a tej kartki papieru
chuytram się, jako ostatniej naszej deski o twardości
Nie bode tu Pana wychwalać, ani schlebiać, do wron, wie
Pom tego nie daki, ale Pan jest naszym szwastkiem, i to, co
Pan dla nas dokonuje, to są modłuchie wywyższ.
Nie chciałyby m się Panu narazić, bo i tak żywi na wiele
Pan dla nas robi, ale ostatkiem potrzeba o nas na nas
do tego. Dwie tygodni nie spodziewałem się, że będziemy żyły
jewe, dojedno Panie słowo, a żyje nasze skonekone
Ustawit się Pan Paig nasz naszym żywe i proszła

nam warty chcieć. Takie magiastalajon nigdy jeszcze, ale
w tym czasie jak odcienie, to jest barwno wytrpiwe.
Ona to walczyć takka domi, jestemny juw no wstapadł
to wtrubimmes lewina wchubimais skandz yobubiny
dandziej wice bywepujca. Powie to, juw ostatni estygodnie
przed jakie somion, do wcawet wetti gwastrach gaz
est msiqna unidwisi, kertoncy dajydzijca chwila
Pez puzobla by nam dylto to do wchubimais mawsonerzi
nazi. Wlozyc sie wotom do Panickiego konystratswigo
wobubidka, by Pan niechciał wemobidka onaj juwne
jidno, yobubidka do yobubidka paprotuchois mawsonerzi
nie jakos wotobubidka, ale o gade. To jestemny juw
strawois mawsonerzi, by dylto by onaj bywne, wotobubidka
prawyty do wotobubidka yobubidka mawsonerzi, a wotobubidka
wotobubidka mawsonerzi, przyje do tej bruki, albo do innego
jakiego wotobubidka wotobubidka. Powie to, juw wotobubidka
yobubidka mawsonerzi, wotobubidka tak mawsonerzi. Powie to, juw wotobubidka
hawotek dajydzijca mawsonerzi mawsonerzi, do koto

24 maja. Napisałam do Ciurunia list17: „Prosiłabym, aby Pan zechciał przeczytać tę parę słów, które tu piszę w niemej rozpacz, i tej kartki papieru chwytam się jako ostatniej naszej deski ratunkowej. Nie będę tu Pana wychwalać ani schlebiać, bo wiem, że Pan tego nie lubi, ale Pan jest naszą świętością, i to, co Pan dla nas dokonuje, to są nadludzkie wyczyny. Nie chciałabym się Panu narażać, bo i tak już za wiele Pan dla nas robi, ale ostateczna potrzeba zmusza mnie do tego.

Dziś tydzień, nie spodziewałam się, że będziemy żyły jeszcze, bo jedno Pańskie słowo, a życie nasze skończone. Zlitował się Pan Bóg nad nami jeszcze i pozwala nam oddychać. Tak pragnęłabym żyć jeszcze, ale w tym stanie jak obecnie to jest bardzo wątpliwe. Przez te zaledwie kilka dni jesteśmy jak ze sił opadłe, to całodzienne leżenie i duszność z każdą godziną bardziej nas wyczerpuje. Może to już ostatecznie tygodnie przed jakąś zmianą, bo nawet według ostatnich gazet można widzieć, że teraz są decydujące chwile. Więc szkoda by nam było tak w końcu marnie zginąć. Udaję się zatem do Pańskiego kryształowego serduszka, by Pan zechciał zrobić dla nas jeszcze jedną prośbę. Do późnego popołudnia to można jeszcze jakoś wytrzymać, ale o godzinie 5 jesteśmy już strasznie zmęczone. Czy byłoby możliwym, żebyśmy przeszły do stodoły i pilnowały się, a w razie czego żebyśmy mogły przejść do tej beczki albo do innego jakiego schowka w stodole? Przecież to są już wieczorne godziny, wtedy strachu tak nie ma. Można by wyciąć kawałek deski w kąciku nad żłobem, w suficie, bo koło okienka by było widać. W stajni byśmy same założyły bronami, a wieczór byśmy same przeszły z powrotem do stajni. Drzwi od stajni mogłyby być nadal cały dzień otwarte z wyjątkiem tej chwilki, co byśmy przeszły do stodoły. W chłodne dni mogłybyśmy z biedą przeleżeć do wieczora. Ludzie przecież nie są tak dalece podli, by nasyłali komuś nieszczęście, a po pewnym czasie, jak nie zauważą jakichś ruchów, to podejrzenie [że są u niego Żydzi – J.G.] ustąpi. Ryzykuje Pan tak wiele, że to moim zdaniem nie stanowiłoby większego ryzyka, a dla nas byłoby to wprost ratunkiem. Nie myślę sobie szukać jakichś wygod, i przecież i tak na różne próby jesteśmy wytrzymałe, ale to jest ponad siły. Nigdy w życiu nie żądałabym tego od Pana, bo jestem bez wymagań, ale ostatnia potrzeba mnie zmusza do tego. Wiem, że żądam ponad Pańskie siły, ale błagam i apeluję do Pańskiego złotego serduszka, proszę tę sprawę dobrze rozważyć i nie odrzucać mojej prośby. W imię Pańskiej dobroci i bezinteresownego poświęcenia to Pan Bóg nas musi ocalić. Los nas tak dziwnie związał, i choć sumienia mamy wszyscy tak czyste i zamiary tak bezgrzeszne, to jednak wszyscy tak nieludzko cierpimy, że chyba piekła już nie przejdziemy. Jeżeli jest to już ostatecznie dla Pana niemożliwe, to niech już tak będzie, jak jest, ofiarujemy się Bogu. Niech się stanie Jego wola, bo przecież wolimy zginąć tu, niż dopiero iść szukać śmierci. Nie weźmiemy Panu tego za złe i dalej będziemy Pana błogosławić. O Boże, natchnij tego nieskazitelnego człowieka jakąś szczęśliwą myślą”.

W odpowiedzi Ciuruniu powiedział, żeby sobie tym nie zawracać głowy, tylko wytrzymać tak, jak jest, a jak zajdą światowe nowiny, to się ludzie tamtymi zainteresują, to wtedy będziemy mogły być z powrotem cały dzień na wierzchu. No tak, ale kto tak może wytrzymać?!

Czerwiec [1944]

Na konto tej inwazji wypuszcza nas ten huncwot w południe. Po tygodniu inwazji zmiana zaszła w nim, bo myślał, że to już będzie rozwiązanie. Tymczasem gdy widzi, że to jeszcze nic, to zniechęciło go to bardzo i zmienił się na niekorzyść dla nas. Nie dba jak dotychczas, byśmy miały to, co mieć musimy, i bardzo z tego powodu cierpimy. Więc znowu piszę list, bo nie przystaje na rozmowy.

25 VI [1944] „Ponieważ nie mam nigdy sposobności z Panem porozmawiać, chciałam więc parę słów skreślić. Wiem, że nie leci Pan na moje pochwały i podziękowania, i to Panu wcale nie schlebia, ale chciałabym wyrazić swoją wdzięczność, jaką na dnie duszy czuję. Pan to jest naszym Bogiem na ziemi, dobroczyńcą i zbawicielem, i miałyśmy tyle razy okazję przekonać się co do tego, tyle razy były chwile, że trzeba było zwątpić, a Pan bohaterko trzyma się swego poświęcenia. Człowiek sam nie wie, ile może wytrzymać, czasem zdaje się, że już dalej być nie może, a jednak posiada tyle silnej woli, i przy dobrych chęciach wiele jeszcze można zrobić. Okazuje nam Pan tyle serca, że proszę mi wierzyć, każdy kęs ze łzami i ze wzruszeniem przyjmujemy. Nie możemy teraz tylko Panu niczym innym okazać naszej bezgranicznej wdzięczności, jak tylko marnymi słowami, bo gdybyśmy miały jeszcze pieniądze lub kosztowności jakieś, by móc choć w części nasz dług wdzięczności spłacać, ale możemy tylko własną duszę oddać. Jesteśmy w zupełności w Pańskich rękach i może Pan z nami robić, co zechce, ale Pan jest humanitarny i wie, że jesteśmy żywe istoty, i co trzeba najniezbędniejszego do życia. Nieraz Pan mawiał, że każde żywe stworzenie, co jest pod Pana opieką, nie śmie ucierpieć. Może przecież doprowadzimy to dzieło szczęśliwie do końca, a wtedy wszystko się opłaci. Jesteśmy tak szczęśliwe, że wcześniej wychodzimy, bo to dla nas znaczy drugie życie. Rozumię, jakie obowiązki Pan ma wobec całego domu, a jednak okazuje nam Pan tyle miłosierdzia i postępuje Pan zupełnie według zasad Chrystusa, żeby ratować bliźniego w potrzebie. W niemej rozpacz modlimy się do Boga, by nas Pan dalej miał w swojej opiece i nie dał nam zginąć, żebyśmy bardzo ze sił nie opadły, żeby to jakoś z biedą dożyć do kresu. Mam nadzieję, że Pan Bóg wysłucha naszych próśb i wynagrodzi nam nasze cierpienia”. Na drugi dzień przyszedł ten huncwot i zapowiedział nam, że trzeba liczyć tylko na chleb i wodę, bo wszystko się wykończyło. Nie mogłyśmy się z tym pogodzić, bo głód, względnie niedożywienie poprzednich dni bardzo nas wycieńczyło. Wobec tego Kotuśka znowu napisała list: „Moi drodzy ludzie! Miejcie sumienie, miejcie litość, nie dajcie nam zginąć z głodu, nie odmawiajcie nam pomocy, nie zmieniajcie się wobec nas. Straszna jest śmierć głodowa. Zaklinam Was na wszystko co święte, żebyście nas jeszcze ratowali, bo od Was zależy nasze życie. Trzymajcie nas jeszcze przez lato, a jak się nie zmieni, to się wtedy poddamy. To choć przez ten czas żebyśmy nie głodowały. Nie mamy Wam czym płacić, to weźcie buty, koszule, swetry z nas, niech bodaj nago zostaniemy, byle tylko nie głodować, bo to

najstraszniejsze. Nie żądamy przecież żadnych przysmaków, niech będzie paśne, byle do syta. Miejcie miłosierdzie, nie dajcie się nam tak męczyć, bo my żywe istoty. Bardzo nam serca osłabły. Pan Jezus Wam za to miłosierdzie wynagrodzi. Póki nas policja nie znajdzie, nie dajcie nam zginąć. Jesteśmy tak biedne i nieszczęśliwe, gdybyśmy wychodzić mogły, to byśmy żebrać poszły, a tak to jesteśmy na was zdane” itd.

I zaczęły się sypać groszki. Bardzo dobre dla pracujących [?], ale nie dla nas.

Lipiec [1944]

3 lipca przyczłapał ten huncwot do mnie, a 5 do Kotuśki. 10 znowu do mnie, a 12 Kotuśka się wściekła i musiała to mieć. Napisała list: „Jak chcesz, to przyjdę dziś późnym wieczorem przez deskę do stodoły, bo nie mogę wytrzymać, że tak blisko leżysz sam pod pierzynką. Usycham z pragnienia za Tobą, bo mnie opętało. Chcę się chwilkę pobawić z Tobą nago, bo pragnę Cię mieć całego. Ginę z pożądania, muszę to mieć na lekarstwo, wojnę niech diabli wezmą, zrobimy sobie dobrze na chwilę. Tyś mój cały świat. Dam Ci na koniuszek... A będzie stało? Bo mi mokro na samo wspomnienie. Strasznie silną mam miłość do Ciebie”.

Przyczłapał, ale nie chciał Klompy zabrać do siebie, tylko u nas było na słonce na re [?]. Ale Kotuśka była i tak zadowolona, że jej przytknął do krajwatów [?].

23 [VII] lutanie ze mną, a 25 z Kotuśką.

30 VII lutanie z Kotuśką od tyłu.

Ciuruniu jest tymi dniami w możliwym humorze, na skutek zamachu¹⁸ i zbliżającego się frontu. Przyniósł nam przedwczoraj 4 jabłka, a dziś 6. Ciuruniu przyniósł nam 30 VI bukietik kwiatów. Koniec świata!!!

3 VIII [1944]. Czwartek

Przez te kilka dni front się bardzo zbliżył i jest już koło Rzeszowa.

Jak możliwie zaczął się dla nas sierpień, tak bardzo się dał nam cały we znaki. Więc najpierw dowiedziałyśmy się, że w mieście wraca wszystko do normalnego stanu, i najgorsze, że policja wróciła. W dodatku front przestał się posuwać i utkwiał pod Radomyślem, o kilkanaście kilometrów zaledwie od nas¹⁹. Ciuruniu stracił werwę i chodzi bez humoru. 9 [sierpnia] został ze mną na lutanie na re.

Któregoś tam piątku przed pieczeniem chleba porządnie my się przepościły, bośmy nie chciały się upominać. Aż pewnej pięknej niedzieli, a było to 27 [sierpnia], przyszły do naszych gospodarzy dwie eleganckie panie. Myśmy nawet się ucieszyły, że Ciuruniowi i Panki [tak w oryginale – J.G.] nie będzie się nudzić i

nie wpadło nam na myśl, że będzie to przyczyną wielkiej części naszego nieszczęścia. Po ich odejściu dowiedziałyśmy się, że mają brata, który kryje się przed pracą nad okopami²⁰, i że chciałyby, żeby mógł się tu sprowadzić i po prostu mieszkać z utrzymaniem do jakiejś radykalnej zmiany. I ci naiwni ludzie zgodzili się, a zaraz tego samego dnia wieczorem toczy się ta beczka sadła z łysiną i z całym ekwipunkiem przed sobą i za sobą. Zaraz też się znalazła dla niego świeżo obleczone pierzynka z poduchą, a my tak, biedne, na tym jaśku brudnym bez obwłoki się gniciemy. Zaraz następnego dnia rano oglądał sobie całe gospodarstwo i do naszej stajni zajrzał, i ja mu się mignęłam. Ale Ciuruniu z Panką wzmówili mu, że to pewnie dziecko było. Ale w stajni my już nie mogły być i zrobił nam gniazdeczko w sianie. 29 [sierpnia] został ze mną na lutanie na sianie na re.

Gdyby nie upały, to byśmy może jakoś wytrzymały, ale z upałów siano się rozpraża i wydaje zapach bardzo szkodliwy. Głowy nas bolały bez przerwy we dnie i w nocy prawie 2 tygodnie, straciłyśmy apetyt, tak że wszystkie obiady szły do świnek. Kotuśka najpierw zachorowała, potem ja, miałyśmy gorączkę, ale nam wnet przeszła. W gorączce musiałyśmy gryźć suchy chleb, bo Ciuruniu nas zaniedbał, wszystko się wpycha w panisko, i tak niesłusznie się nad nim litują, choć wcale nie jest godny pożałowania. Dla niego jest chleb z masłem, z serem, jajecznica i specjalnie przegotowane mleko z cukrem, a nam się przynosi flaszkę wódeczki i pomidorów w miarce, a z całego sadu tośmy nie widziały jabłka, a jak poprosiłam o parę jabłek, to Ciuruniu znalazł naprędce uczniowski wybieg i mówi: jabłka są, ale twarde i kwaśne, to nie wiem, czy wam będą smakować!!!! Przyniósł wcale nietwarde i niezbyt kwaśne.

2 września [1944 r.] zaczęłam Ciurunia [fragment nieczytelny – J.G.] i został.

Ciuruniu się od pewnego czasu znowu zaczął zmieniać i bardzo nas zaniedbuje. Z początku zaczął od tego, że [w] wieczór do nas nie zaglądał. Ale trzy razy dziennie z jakim takim jedzeniem jeszcze przychodził. Wprawdzie nie zamieniał przez całe dnie ani słowa, ale trudno. 9 września zajęchało tu wojsko na kwatery. I od tego czasu nas już zupełnie opuścił. Ma przy sobie wymówkę, że nie może, bo wojsko się kręci po domu, ale nie wierzę, to tylko panisko jest na przeszkodzie i całe myśli oboje w niego wkładają, choć on tego wcale nie potrzebuje. Sami nie zjedzą, a jemu zupy dają, a o nas to już nie ma mowy, całkiem zapomnieli. A jego siostry, to jak przychodzą, to im uwieszają całe torby owoców, jakoś nietwardych i niekwaśnych, i ser, mleko, i one sobie robią z ich towaru serowniki, makowniki i różności, a my, co nam to mleko i ser są potrzebne do życia, a nie do smaku, to przez całe dnie nie widzimy nic prócz suchego chleba, a czasem nam rzucą pomidorów, bo już gniją i wszyscy się nimi rzucają. A jak

gotują jakiś obiad, to dostajemy w nocy trochę ziemniaków, a często gęsto jak jeszcze coś bywa, to się wylewa, bo jakże to można w ciemności. I to panisko tylko ma przeszkadzać, bo wszędzie nos wtyka, a nie żołnierze. Kręci się ten byk po ogrodzie, napawa świeżym powietrzem, jedzenia ma do czasu i dobre, jabłkami się zażera i pewnie mu gorzej jak nam, bo sobie jeszcze narzeka. A tchórz, jakich mało, i oni się tak bardzo nad nim litują. A my, co całe tygodnie, odkąd tu przyszedł, to w dziurze siedzimy, bez powietrza, w zaduchu od świń i w kurzu ze siana, to się do nas nie zagląda jak długi dzień, już nam Ciuruniu nawet wody nie przynosi, tylko raz dziennie jakiś garnek z czymś nam rzucą i słowa nie zamieniają. A dziś to już nawet chleba nie mamy, tylko nam Panka trzy ogryzki rzuciła. Wszystko przez to, że ten huncwot się zmienił i nie myśli o nas, tylko o panisku.

22 września zaczęłam Ciurunia i prosiłam go, żeby się nie zmieniał. Wrzesień, cały wrzesień był okropny.

W październiku nie zaszło nic nowego, ale i to wystarczy. A właściwie to nawet bardzo dużo nowego, bo jedzenia mamy mniej i niedobre, i nie do czasu. Pod każdym względem się nam pogorszyło. Ciuruniu się zmienił nie do poznania. Jakby nie ten sam człowiek. Zmienił się w postępowaniu okropnie. Strasznie przez to cierpimy.

Listopad był dalej pełen udręczeń. 11 listopada przyprowadzili do Dąbrowy kilkunastu żydów²¹. 13 listopada w poniedziałek Tosiek został ciężko ranny w obie nogi i leży w szpitalu chory. Ale po kilku dniach nie było niebezpieczeństwa dla życia. 22 listopada przyszedł Ciuruniu i powiedział: Milka sobie nie chce wami więcej głowy zawracać. Nie wiem, co z wami zrobić!!! Co my tej Milce głowę zawracamy? Za ten garczek ziemniaków[, który] nie do świń zanieś, tylko na górę w to siano rzuci. Jakże się ona zmieniła, tak nas nieludzko traktuje. I Ciuruniu tak nam pozwala straszliwie cierpieć?

Pierwszy grudzień zaczął się lutaniem z Kotušką. I 5 grudnia znów się lutała. A [brak daty] grudnia przyszedł Ciuruniu nad ranem i mówi, że musi na 10 dni iść pod front na szańce. Zaraz w ten sam dzień pojechał. Teraz dopiero poznałyśmy, co znaczy prawdziwa bieda. Bo my jej pewnie jeszcze mało miały! Panka zjawiała się rano z wodnistym mlekiem, a dopiero późno wieczorem trochę ochłapów z zupy wojskowej. A i to zawsze drżymy, czy nie zapomni, czy też się zjawi na pewno. Często jesteśmy tak osłabione, że siły nie mamy, by na górę wyjść i Pankę błagać, by nas jeszcze ratowała, by nas nie opuściła, bo zginiemy marnie. Błagałam ją, by choć do przyjazdu Ciurunia nas dotrzymała.

nowego roku. W przelomową godzinę nowego roku
rozmownie strzelali przez pół godziny i bardzo baliśmy się,
żeby w dach nie strzelili, bo byli pijani. Nareszcie namo
przyśreśli ten hukawot i przyność nam flaszkę wódki.
Więc kotuska go prosiła, żeby o nas zadbał, byśmy
jakoś wyżyć mogli, więc nam powiedział, że skoro
da naszej mężce i ich, że i tak nie z tego nie będzie
nie się nie powstrzymuje, że ratuje tego poświęcenia itd.
No takie słowa nie już nie miałyśmy do powiedzenia.
I tak było do pamiętnej niedzieli 14 stycznia. Pamię-
tko o świecie przychodzi ciurumnie i mówi: słuchajcie
uwiernie co wam powiem: przyszła tu teraz ta pani
i powiedziała, że wszystkie mężczyźni od 14 do 60 lat
mają się zgłosić do pracy przy szarniach na Dumajec,
a Dąbrowa będzie ewakuowana do godz. 2. pop. Więc
co mam z wami zrobić? Ja się schowam z paniskiem
do stodoły, a co z wami zrobić? Podobno będą szukać
po dworkach, bo mało kto się zgłosi, więc innego

wyjsca nie ma, tylko w ten sposób się urządzi, że kawał
was cackiem sianem, żebyście ledwie oddychali, a wyjść
musicie tym, co macie. Ponieważ nie nie miałyśmy
więc kotuchona go prosiła, by jeszcze coś przyniosł, więc
nam jeszcze coś wucil. Strasznie nas kawałit i porzedt.
Nie liczyłyśmy na życie. Planowałyśmy, że gdy będziemy
widzieć, że od sąsiadów będą wychadzić, to my też wyjdzie-
my przez chłiwiek. Użyłam spódnicę dla kotuski i koca
i w okropnym sdenemwawaniu oczekowałyśmy co nastap
Tymczasem widzimy, że robotnice pakują się i wyjeżdża-
ją. Myślałyśmy sobie, że co to byłoby na szczęście, gdyby
nie to, że my jesteśmy w środku i że prawie wyklucze-
ne, żebyśmy to przeżyły. Nlem zobaczyćśmy, że ciuru
miu napomaga do robotniczego wozu ufe. Niekonem
zjawił się, ~~że~~ i mówi, że robotnice odjechali do kalna
kalwali ufe i kociąg. lata noc słychać było wybuchy
i eksplozje. Ramo przyszedł kuncwot, i mówi, że
jest ciska, że nie poważnego się nie zmiemito,

Mówiłam jej, że Kotuska jest bardzo osłabiona, i błagałam ją, i całowałam po rękach, żeby choć jedną porcję czegoś możliwego dla Kotuski przysłała. Ale i to nie pomagało. Jej już nic nie pomoże, ona się już do nas nie zmieni. Obrzydziła nas sobie i nienawidzi nas. Nie potrzebujemy jej miłości, ale jest nam z tym niestety okropnie źle, bo życie jest nam w tych warunkach wprost niemożliwością. Jak to się wkrótce nie zmieni, to nie wytrzymamy.

Dzień przed Bożym Narodzeniem Ciuruniu przyszedł na wilię, tośmy się tak cieszyły, że się odżywimy tymi siedmioma daniami, bośmy się inaczej nie spodziewały, w dodatku Ciuruniu był w domu. Tymczasem ku wielkiemu rozczarowaniu dostałyśmy wojskową zupkę. Ta zupka nam odebrała wiele zdrowia. Więc aż tak dalece nas opuścili, że z tych wszystkich potraw, co tam przygotowywali, to nam się zupka Michla dostała? Jeszcze na dwa dni poszedł Ciuruniu do szańców i znowu zdawało nam się, że po powrocie jego na pewno nam się poprawi. Wrócił w wilię nowego roku. W przełomową godzinę nowego roku żołnierze strzelali przez pół godziny i bardzo bałyśmy się, żeby w dach nie strzelili, bo byli pijani. Nareszcie rano przyszedł ten huncwot i przyniósł nam flaszkę wódki. Więc Kotuśka go prosiła, żeby o nas zadbał, byśmy jakoś wyżyć mogły, więc nam powiedział, że szkoda naszej męki i ich, że i tak nic z tego nie będzie, że się nie przeżyje, że żałuje tego poświęcenia itd. Na takie słowa nic już nie miałyśmy do powiedzenia.

I tak było do pamiętnej niedzieli 14 stycznia [1945 r.]. Raniutko o świcie przychodzi Ciuruniu i mówi: słuchajcie uważnie, co wam powiem: przysła tu teraz ta pani i powiedziała, że wszyscy mężczyźni od 14 do 60 lat mają się zgłosić do pracy przy szańcach za Dunajec, a Dąbrowa będzie ewakuowana do godz. 2 po p[ołudniu]. Więc co mam z wami zrobić? Ja się schowam z paniskiem do stodoły, a co z wami zrobić? Podobno będą szukać po dziurach, bo mało kto się zgłosi, więc innego wyjścia nie ma, tylko w ten sposób się urządzę, że zawalę was całkiem sianem, żebyście ledwie oddychały, a wyżyć musicie tym, co macie. Ponieważ nic nie miałyśmy, więc Kotuchna go prosiła, by jeszcze coś przyniósł, więc nam jeszcze coś rzucił. Strasznie nas zawalił i poszedł. Nie liczyłyśmy na życie. Planowałyśmy, że gdy będziemy widzieć, że od sąsiadów będą wychodzić, to my też wyjdziemy przez chlewik. Uszyłam spódnice dla Kotuśki z koca i w okropnym zdenerwowaniu oczekiwaliśmy, co nastąpi. Tymczasem widzimy, że żołnierze pakują się i wyjeżdżają. Myślałyśmy sobie, że co to byłoby za szczęście, gdyby nie to, że my jesteśmy w środku i że prawie wykluczone, żebyśmy to przeżyły. Wtem zobaczyłyśmy, że Ciuruniu zaprzęga do żołnierskiego wozu ufe²². Wieczorem zjawił się i mówi, że żołnierze odjechali do Żabna i zabrali ufe i krowę. Całą noc słysząc było wybuchy i eksplozje. Rano przyszedł huncwot i mówi, że jest cisza, że nic poważnego się nie zmieniło. Ponieważ Kotuśka była osłabiona, więc postanowiła błagać Ciurunia, żeby nas ratował, bośmy bardzo osłabione. Ciuruniu jak usłyszał tę prośbę, to strasznie się zdenerwował. Mówił okropne słowa, których nie słyszałyśmy nigdy z jego ust. Powiedział, że nie myśli nic więcej nam pomóc, że i tak za dużo już robił i że żałuje wszystkiego, że i tak się to wszystko nie opłaci. Zaczął nam wyrzucać, że dużo potrzebujemy, że tyle my wczoraj dostały, a dziś my aż takie głodne. Powiedział: nie zawracajcie dupy, i chciał odejść. Kotuśka siłą

go zatrzymała i powiedziała: „przysięgam przed Bogiem, że jak do tygodnia się nie zmieni, to znaczy do poniedziałku, to same wyjdziemy, ale przez ten tydzień, żeby nas pożywił, żebyśmy miały siłę wyjść”. I odszedł. Przyniósł nam za chwilę trochę zupy. Byłyśmy zrezygnowane, jak nigdy. W nocy panowała niczem niezmacona cisza. Zastanawialiśmy się, co wypada nam uczynić po upływie tego tygodnia, bo cóż się tu może zmienić przez 6 dni, jak 6 lat nic nie zrobiły. Ja namówiłam Kotuškę, żeby powiedziała huncwotowi, że jestem w ciąży, to może będzie miał litość nade mną i nie będzie taki okrutny. Samoloty krążyły jak zwykle, ale nie bałyśmy się, bo było nam wszystko jedno. Wtem przychodzi Ciuruniu i mówi: teraz już możecie być spokojniejsze, bo Niemców już ani śladu nie ma, bo wszystko zwiąło, mosty wysadzone, a stacja spalona. W ten sposób więc przyszło wyzwolenie z piekła i wymarzona wolność!!!

Ponieważ kotuska była osłabiona, więc postanowiła
wagać ciwnonia, żeby nas ratował, bośmy bardzo
osłabione. Ciwnoniu jak usłyszał tę prośbę, to strasnie
się zdenerwował. Mówił okropne słowa, których nie sty-
saliśmy nigdy z jego ust. Powiedział, że nie myśli
nie więcej nam pomóc, że i tak na dwoje już robił
i że ratuje wszystko, że i tak się to wszystko nie
opłaci. Zaczął nam wymuszać, że dwoje potrzebujemy
że tyle my wczoraj dostaliśmy, a dziś my są takie
głodne. Powiedział: nie zawracajcie dupy, i chciat
odejść. Kotuska się go zatrzymała i powiedzia-
ła: przysięgam pod Bogiem, że jak do tygodnia
się nie zmieni, to smaczy do poniedziałku, to
same wyjdziemy, ale przez ten tydzień, żeby nas
pozywili, żebyśmy miały się wyjść. I odwrót.
Przybił nam na chwilę trochę rupy. Byliśmy
zresygnowane, jak nigdy. W nocy panowała ni-
czem niemała cisza. Zastanawialiśmy się,

co wypadła nam uczyńić po upływie tego tygodnia
bo cóż się tu może zmienić przez 6 dni, jak 6 lat
nie może zrobić. Ja namówiłam kotuszkę, żeby
powiedziała huncwotowi, że jestem w ciąży, to
może będzie miał litość nademną i nie będzie
taki okrutny. Samoloty krążyły jak zwykle, ale
nie baliśmy się, bo było nam wszystko jedno.
Wtem przychodzi ciurkini i mówi: teraz już mi
nieście być spokojniejszą, bo Niemców już ani śladu
nie ma, bo wszystko światło, mosty wysadzone,
a stacja spalona. W ten sposób więc przyszło
uwolnienie z piekła i wymarzona wolność !!!

co wypadła nam uczyć po upływie tego tygodnia
bo coś się tu może zmienić przez 6 dni, jak 6 lat
nie nie zrobiły. Ja namówiłam kotuszkę, żeby
powiedziała huncwotowi, że jestem w ciąży, to
może będzie miał litość nademną i nie będzie
taki okrutny. Samoloty krążyły jak zwykle, ale
nie baliśmy się, bo było nam wszystko jedno.
Wtem przychodzi ciurkini i mówi: teraz już ni-
ecie być spokojniejsze, bo Niemców już ani śladu
niema, bo wszystko światło, mosty wysadzone,
a stacja spalona. W ten sposób więc przyszo-
łyzwolenie z piętka i wymamona wolność !!!

1 Początek tekstu dzienniczka się nie zachował.

2 Arcyksiążę austriacki Rudolf Habsburg i jego kochanka Maria Alexandrine von Vetsera popełnili samobójstwo 30 stycznia 1889 r. w pałacyku Mayerling pod Wiedniem.

3 Dzień wcześniej Niemcy dokonali masowej egzekucji w getcie.

4 Latem 1942 r. Niemcy przystąpili do likwidacji getta w Dąbrowie Tarnowskiej. W czerwcu nałożono na ludność żydowską kontrybucję, która miała rzekomo uchronić mieszkańców przed wysiedleniem. Mimo zapłacenia kontrybucji

w końcu czerwca doszło do pierwszej akcji deportacyjnej, której ofiarą padło 450 osób. 17 lipca 1942 r. nastąpiła druga akcja, w której wywieziono do Bełżca ponad tysiąc osób. W oczekiwaniu na kolejną, ostateczną akcję Żydzi w panice chowali się w schronach na terenie getta.

5 Sabina pracowała w biurze Żydowskiej Samopomocy Społecznej.

6 Salomea (zwana też Sarą), matka Melanii, poznała Wójcika na targu w Dąbrowie. Zgodził się przyjąć Melanię na przechowanie, w razie gdyby w miasteczku doszło do akcji.

7 Melania przechowała list Sabiny, jedną ze swoich najdroższych pamiątek, przez całą okupację.

8 Ostateczna, cechująca się niezwykle okrucieństwem, likwidacja getta w Dąbrowie Tarnowskiej nastąpiła 18 września 1942 r. W akcji wzięły udział niemieckie komando likwidacyjne oraz polska policja granatowa. Ponad tysiąc osób zostało wówczas wywiezionych do Bełżca, a setki zginęły na ulicach miasteczka bądź też rozstrzelano je na kirkucie.

9 Sabina Goldman, która próbowała się salwować ucieczką, została złapana na stacji kolejowej w Dąbrowie Tarnowskiej przez polską policję granatową. Granatowi przekazali Sabinę w ręce Niemców, ci zaś dołączyli ją do transportu odchodzącego do obozu zagłady w Bełżcu.

10 Wójcikowie, bojąc się dodatkowego ryzyka związanego z przechowywaniem większej liczby Żydów, odmówili dalszego ukrywania Salomei i Zygi. Melania już po wojnie zdołała się jedynie dowiedzieć od jednego z ocalałych, że jej matka zginęła w czasie jednej z akcji likwidacyjnych w tarnowskim getcie. O dalszych losach brata Zygmunta niczego się nie dowiedziała.

11 Po wywózkach z września 1942 r. w dąbrowskim getcie pozostali jedynie skoncentrowani w jednym domu policjanci żydowscy wraz z rodzinami – razem około 30 osób. Tych jako ostatnich żandarmeria niemiecka pod dowództwem wachmistrza Landgrafa rozstrzelała 20 grudnia 1942 r. na cmentarzu żydowskim. Wśród zabitych OD-Mannów (*Ordnungsdienstmänner*) znalazł się również Kalman Fenichel, szef gettowej Służby Porządkowej, któremu do końca obiecywano życie i przeniesienie do Tarnowa. Jedyne zapewne świadek tej egzekucji, niejaki Stanisław Dorosz z Dąbrowy Tarnowskiej, obserwował całą scenę, ukryty w szopie oddalonej o 40 m od miejsca kaźni: „wyprowadzali [żandarmi – J.G.] z domu po czterech, prowadzili na cmentarz żydowski. Tam kazali się rozbierać do naga i wchodzić do wykopanych dołów. Strzelał do Żydów gestapowiec z Tarnowa. W ten sam sposób jak pierwszą czwórkę wystrzelano wszystkich Żydów”.

12 W ten sposób lub „Kotuchną” Melania będzie teraz nazywać swoją kuzynkę Helenę.

13 18 września 1942 r. nastąpiła ostateczna akcja likwidacyjna w Dąbrowie Tarnowskiej.

14 Aluzja do Cyrila Fallsa, brytyjskiego historyka wojskowości, autora wielu poczytnych w latach trzydziestych książek o tematyce wojskowej.

15 Od pewnej chwili Melania i jej kuzynka zaczynają nazywać „wujcia”, ich gospodarza i obrońcę, „Ciuruniem”, gdyż zwracał się do Melanii per „córuniu”.

16 Tego dnia sąsiadka oświadczyła gospodarzom, iż podejrzewa ich o ukrywanie Żydów.

17 Melania odnosi się tu do listu, który napisała do „Ciurunia” kilka dni wcześniej, dlatego podaje datę majową.

18 Chodzi o zamach na Adolfa Hitlera, dokonany 20 lipca 1944 r. w Wilczym Szańcu.

19 W lipcu 1944 r. oddziały I Frontu Ukraińskiego, dowodzone przez marszałka Iwana Koniewa, dotarły do granic powiatu dąbrowskiego. I tam też się zatrzymały aż do ofensywy zimowej, która rozpoczęła się w nocy z 12 na 13 stycznia 1945 r. Ostatecznie front się ustalił na linii Baranów-Radgoszcz-Jastrząbka. Leżący 18 km na wschód od Dąbrowy Radomyśl Wielki został zajęty przez Armię Czerwoną, natomiast Dąbrowa Tarnowska pozostała na kolejne miesiące pod okupacją niemiecką.

20 Po ustabilizowaniu się frontu wojska niemieckie zaczęły umacniać linie obronne, a ludność lokalną zmuszono, by stawiała się do kopania umocnień przeciwczołgowych.

21 Wspomniane przez Melanię wydarzenie dotyczy obławy na Żydów w lesie duleckim, której ofiarą padły między innymi Rywka Schenker oraz Chaja Rosenblatt; ich wspomnienia drukujemy w dalszej części tomu.

22 Tak gospodarze nazywali swoją klacz.

Fotografie do dziennika Melanii Weissenberg

FOTOGRAFIE DO DZIENNIKA

MELANII WEISSENBERG

(z archiwum rodziny Applebaumów)



(Salomea) Sara, Melania i Zygmunt (Zyga) Weissenbergowie,
Kraków, 1938 [?] r.



Od lewej: matka Melanii Sara Weissenberg, kuzynka Olga, ciocia Karola,
Melania, syn cioci Karoli, Zyga (Zygmunt), Kraków, 1938 lub 1939 r.



Sara, Zyga i Melania Weissenbergowie, Kraków, 1937 [?] r.



Ignac Keller (ojczym Melanii), Sara Weissenberg, Melania, Kraków, 1939 r.



Melania, Kraków, 1938 lub 1939 r.



Wraz ze znajomymi w Krynicy, 1938 r.;

w środku Zyga, pierwsza z prawej Melania, z tyłu za nią Sara Weissenberg



Melania, 1939 [?] r.



Siostry Mania i Sabina (Bineczka) Goldman, Dąbrowa Tarnowska, getto,
16 maja 1941 r. Na odwrocie napis: „Milutkiej Meli, na pamiątkę ofiaruje
Mania. Kochanej Melanii ofiaruje Sabina G. Dąbrowa, 16 V 1941 r.”

Milutkiej Meli
Do pamięci
ofiaruj.
Marek
Kochanej Meli
ofiaruj Sobino. G.
Dąbrowa
Tarnowska
14 kwietnia 1942



Melania z kuzynką Alą, Dąbrowa Tarnowska, getto, 14 kwietnia 1942 r.



Sabina Goldman (Bineczka), Dąbrowa Tarnowska, getto, 1941 r.



Sklep Weissenbergów przy ul. Kopernika 36 w Krakowie

II. Chaja Rosenblatt

II

CHAJA ROSENBLATT

Wprowadzenie do wspomnień Chai

WPROWADZENIE DO WSPOMNIEŃ CHAI

Chaja Rosenblatt z domu Garn urodziła się w 1921 r. w Radomyślu Wielkim, małym miasteczku położonym w pół drogi między Dąbrową Tarnowską a Mielcem, 35 km na północny wschód od Tarnowa. Przed wojną miasteczko – typowy sztetl – zamieszkiwało około 3000 osób, z czego nieco ponad połowę stanowiła ludność żydowska. Chaim Lejb Garn, ojciec Chai, był kupcem tekstylnym, matka Hinda pomagała zaś w prowadzeniu rodzinnego interesu. Chaja przyszła na świat jako siódma córka państwa Garn, a dwie starsze siostry wyemigrowały wiele lat przed wojną do Francji.

Chaja odebrała staranne wykształcenie, zarówno w szkole polskiej, jak i hebrajskiej. Kiedy spotkałem się z nią w Paryżu w 2012 r., uderzyła mnie jej piękna, nieco archaizująca polszczyzna. Widząc moje zdziwienie, odparła: „Ależ proszę pana, przecież przed wojną ukończyłam świetne liceum hebrajskie w Tarnowie!”. W latach trzydziestych Chaja, jak wiele osób spośród żydowskiej młodzieży Radomyśla, wstąpiła do Ha-Szomer ha-Cair, czyli do syjonistycznego harcerstwa.

Pierwsze lata okupacji spędziła w Radomyślu, będąc świadkiem szybko pogarszającej się sytuacji ludności żydowskiej. Już od września 1939 r. rytm życia wspólnoty żydowskiej wyznaczały coraz to nowe szykany i narastający terror

Niemców: praca przymusowa, mordy, głód, wysiedlenia i przesiedlenia oraz konfiskata mienia. Latem 1942 r., dwa tygodnie przed akcją likwidacyjną, Chaja wyszła za mąż za Abrahama Rosenblatta, kupca z Radomyśla. Zaraz potem na wieść o nadciągającej likwidacji getta rozpoczęła swój wyścig ze śmiercią, wyścig trwający do końca wojny. Wątpię, czy można znaleźć wiele żydowskich relacji z czasów Zagłady, w których spiętrzeniu nieszczęść towarzyszyłyby równy hart ducha, odwaga i nieugięta wola przetrwania. Z likwidowanego getta w Radomyślu Chaja (wraz z mężem i starszymi już wiekiem rodzicami) uciekła do getta w pobliskiej Dąbrowie Tarnowskiej. Potem, dowiedziawszy się o grożącej akcji, szukała ratunku w znacznie większym getcie w Tarnowie. Jednak i tam nie zagrzała dłużej miejsca, ratując się ucieczką przed kolejnym wysiedleniem.

We wspomnieniach Chai odnajdujemy stałe elementy żydowskiego cierpienia, na których czoło wysuwa się rozpaczliwe poszukiwanie gwałtownie kurczącej się przestrzeni, gdzie Żydzi nadal mają prawo do życia. Rzecz charakterystyczna: autorka tak długo, jak mogła, unikała zwracania się o pomoc do Polaków. Po ucieczce z tarnowskiego getta Chaja trafiła do getta szczątkowego, wtórnego, pozostałego po pierwszej likwidacji. Nieco później znalazła chwilowy azyl w obozie pracy dla Żydów (w tzw. Julagu), skąd jednak już niebawem uciekła dalej, aby koniec końców szukać pomocy u chłopów w wioskach w pobliżu rodzinnego Radomyśla. Warto zauważyć, że na skutek bolesnych doświadczeń i rozczarowań Chaja z góry założyła, że za każdą formę pomocy trzeba będzie Polakom płacić, najlepiej złotem, które chowała przy sobie, zaszyte w ubraniu. Zapytałem kiedyś Chaję, jakie przeżycie z czasu ukrywania się najgłębiej wryło się jej w pamięć. Bez wahania wymieniła śmierć męża, a po chwili dodała: „Strasznie mnie zabolalo, jak ksiądz z Radomyśla, któremu powierzyłam część naszych pieniędzy oraz artykułów ze sklepu, powiedział, że niczego mi nie odda. Prosiłam go na koniec o szklankę wody i o bochenek chleba, ale i tego mi odmówił”.

Po nieudanych próbach przechowania się u Polaków Chaja wraz z mężem jesienią 1943 r. szukała schronienia w rozległych lasach duleckich, położonych na pograniczu powiatu mieleckiego i dąbrowskiego, kilka kilometrów od Radomyśla. Tam od czasu likwidacji miejscowych gett ukrywało się wielu Żydów, a niektórzy potrafili nawet zorganizować coś w rodzaju „obozów rodzinnych” (*family camps*), znanych z terenów Białorusi, Kresów, części okupowanego Związku Sowieckiego, praktycznie zaś niespotykanych w Polsce centralnej. Przed końcem wojny Chaja urodziła dziecko, które była zmuszona porzucić pod drzwiami chłopskiej chaty w nadziei, że gospodarze zajmą się niemowlęciem, a kilka miesięcy później była świadkiem śmierci męża – zabitego przez Niemców. W ostatnich miesiącach wojny Chaja została w końcu schwytana przez okupantów i przeszła szlak męki, który wiódł ją z więzień Gestapo w Dąbrowie, Tarnowie i Krakowie przez obóz koncentracyjny w Płaszowie, do Auschwitz.

W styczniu 1945 r. znalazła się wśród dziesiątek tysięcy więźniów obozu pędzonych w „marszu śmierci” z Auschwitz do Bergen-Belsen. To tam w kwietniu 1945 r. została wyzwolona przez oddziały brytyjskie.

Po wyzwoleniu Chaję wraz z setkami innych konających z głodu więźniów Bergen-Belsen ewakuowano do Szwecji. W Sztokholmie w 1946 r., po miesiącach gorączkowych poszukiwań, dowiedziała się, że jej syn, podrzucony w styczniu 1944 r. przed chłopską chatą we wsi Dulcza Wielka, przeżył. Od tej chwili jedynym celem Chai stało się jego odzyskanie. Prezentowane w książce wspomnienia zostały spisane właśnie z tą myślą. Ukazały się w jidysz w nowojorskim piśmie żydowskim „Tug” w 1946 r.¹, a towarzyszył im apel do czytelników o wnoszenie opłat na fundusz, który miał umożliwić wykupienie dziecka, wydostanie go z Polski i przekazanie na Zachód. Pod koniec 1947 r. trzyletni Edward dołączył do matki. Chaja Rosenblatt zamieszkała w Paryżu, gdzie wyszła powtórnie za mąż, urodziła córkę i doczekała się wnuków i prawnuków. Zmarła 14 maja 2013 r. Jej syn, urodzony w chłopskiej stajni na obrzeżach lasu duleckiego, jest dziś cenionym paryskim psychoanalitykiem.

1 Tekst wspomnień prezentowany w tomie stanowi przekład z jidysz dokonany przez samą autorkę.

Wspomnienia Chai Rosenblatt

WSPOMNIENIA CHAI ROSENBLATT

Pierwsze dni miesiąca września 1939 r.

Czarny piątek

Nazywam się Chaja Garn, zamężna wówczas Rosenblatt, obecnie Lewi. Jestem najmłodszą córką Chaima Leiba Garn, który był podobnie jak jego ojciec kupcem towarów bawełnianych w Radomyślu Wielkim (powiat Mielec) koło Tarnowa.

Wyjątkowe szczęście mi dopisało, że wydostałam się żywa z hitlerowskiego piekła. Znajduję się obecnie w Sztokholmie, stolicy Szwecji.

Według rady mojego krewnego zamieszkałego w New Jorku, postaram się opisać przeżycia naszego miasteczka od pierwszego dnia, kiedy Niemcy wkroczyli do Radomyśla, aż do wysiedlenia wszystkich Żydów. Przy tym opiszę osobiste przeżycia.

Nie posiadam specjalnych zdolności literackich, ale na samo wspomnienie okropnego przeżycia same pióro pisze.

Zaznaczam z góry, że opis niniejszego stanowi zaledwie 25% mego przeżycia. Obawiam się, że czytelnicy nie uwierzą prawdopodobności tego opowiadania, uważając, że przesadzam. Prawdą jest, że człowiek, który osobiście nie przeżył podobnej tragedii, nie jest w stanie jej sobie wyobrazić. Niestety, historia jest tragiczna, ale prawdziwa.

Zacznę od czarnego piątku, kiedy Niemcy po raz pierwszy wkroczyli do Radomyśla.

Kiedy pierwszy żołnierz patrolujący przybył do miasta, zastał rynek pusty. Cichy strach panował nie tylko w rynku, ale również w ulicach, które go okrążyły. Żaden człowiek nie odważył się wyjść na jego spotkanie. Ukradkiem zaglądano przez cienkie szpary drzwi lub okien zakrytych firankami.

Przed przybyciem naszych „gości” pogłoska się rozpowszechniła, że najlepiej będzie ich przyjąć przy nakrytym stole. Jak tylko wejdą do mieszkania, trzeba ich zaprosić do stołu, aby nasycić ich głód. Może oni nam nic złego nie

zrobią...

Także u nas stół był nakryty, na którym stały potrawy różnego rodzaju.

Rodzina się zgromadziła w środkowym pokoju. Według pojęcia mego ojca ów pokój był najlepiej protegowany od ognia. Czekaliśmy w tym pokoju od wczesnego rana, od chwili, kiedy usłyszeliśmy pierwsze strzały, które dotarły do nas z Wólki Duleckiej (przedmieście Radomyśla), gdzie polscy żołnierze stawiali opór. Tego dnia przedmieście Radomyśla zostało zupełnie spalone i Niemcy dotarli do miasta.

O godzinie czwartej po południu strzały nareszcie zamilkły. Patrolujący żołnierze rozjeżdżali się po mieście...

Przez godzinę czasu panowała cisza w mieście. Cisza ta została przerwana niewymownymi hukami tanków. Cały rynek został wypełniony tankami.

Nagle słychać krzyki i brzęki w oknach i drzwiach. Detonacja naszej wystawy sklepowej (sklep się znajduje w rynku) nas zerwała z miejsc: „Otworzyć! *Aufmachen*”, wstrząsające nas krzyki. Zbledliśmy wszyscy ze strachu. Nikt z nas nie odważył się zbliżyć do drzwi. Nagły trzask popękał drzwi. Przestraszona zbliżyłam się do drzwi, uprzedzając ojca, żeby się położył do łóżka i zakrył swoją brodę. Przytomna jednakże i dzięki mojemu talentowi kokieterii, uśmiechnięta otworzyłam szeroko drzwi słowem (w niemieckim języku) *Wilkommen* (szczęśliwe przybycie). Barbarzyński wyraz twarzy tej hordy się momentalnie zmienił. Zapytali się tylko, czy nie ukrywamy polskich żołnierzy lub broni. Niestety, moja negatywna odpowiedź ich nie zapewniła. Zaczęli szukać we wszystkich kątach, po całym mieszkaniu i nawet na strychu. Wyrzucili wszystko z uporządkowanych szaf, łóżek i szuflad. Nie znajdując broni, zadowoleni byli zgromadzić w kącie rzeczy, które im się spodobały, jak bieliznę, ubrania i buty. Zabrali najcenniejsze rzeczy, jakie posiadaliśmy.

Szukałam okoliczności, aby ich zabawić, zapraszając ich do stołu, aby się napić i zjeść coś dobrego. Oni grzecznie odmówili, powołując się, że są na służbie i muszą dalej kontynuować. Nie ważyli się więcej zabrać rzeczy, które odłożyli poprzednio w kącie. Odprowadzając ich do drzwi, zadowolili się mnie i siostrze zrobić awanse. My zaś byli zadowoleni, że nie dokonali wielkich szkód, mimo obawy, że mogą powrócić w nocy. Postaramy się zastosować inne kombinacje w razie potrzeby...

W tym samym czasie, kiedy pierwszy patrol nas opuścił, przez drzwi sklepowe drugi wszedł tylnymi drzwiami, rycząc: „Gdzie są mężczyźni? *Sind Männer da?*”. Oni muszą się natychmiast zgłosić. Drżałam ze strachu, żeby się nie zbliżyli do łóżek: w jednym ukrył się ojciec, w drugim mój szwagier. Czarującymi słowami próbowałam ich zaprosić do stołu, może kieliszek „schnapsu”, kawałek dobrego ciasta, proszę usiąść.

Nie trzeba było ich długo prosić. Usiedli do stołu, zaczęli jeść i pić.

Usiadłam obok nich. Oni zaprosili wszystkich obecnych w mieszkaniu: ojca, dwie siostry i małego synka. Rozmawialiśmy do ósmej godziny wieczór.

W tym samym czasie zdarzyły się w mieście nieludzkie okrucieństwa. Niemieckie patrole zebrali wszystkich mężczyzn Żydów i chrześcijan i ich utłoczyli w kościele, bijąc ich prawie do śmierci. W tym stanie uwięzieni zostali przez trzy dni i trzy noce bez jedzenia i picia. Nie mam słów do opisanie paniki, która panowała w mieście. Kobiety i dzieci, skuleni przed kościołem, z dzbankami wody i paczkami żywności, czekali, aby im pozwolić zasilić męża, ojca, syna lub brata. Niestety, bez rezultatu. Zabroniono formalnie cokolwiek zanieść do wnętrza. Atmosfera wewnątrz stawała się coraz cięższa z powodu braku tlenu. Od czasu do czasu wewnątrz ludzie mdleli. Dokończono ich i zostawiono na miejscu razem z żyjącymi.

W międzyczasie kobiety znalazły ideę. Przekupić odpowiedzialnego porucznika garnizonu, aby wypuścić z kościoła pozostałych jeszcze przy życiu.

Przez bardzo krótki przeciąg czasu udało nam się zebrać ogromną sumę od żydowskich kobiet, ponieważ 90% uwięzionych mężczyzn było Żydami. Porucznik nas natychmiast zrozumiał...

Za zgodą kapitana pierwszy jego czyn polegał na pozwoleniu wprowadzenia tego samego dnia żywności i picia. Żołnierze, którzy pilnowali kościoła, mieli rozdawać paczki. Można sobie łatwo wyobrazić, że tylko jedna część dotarła do odbiorców, druga zginęła...

Udało nam się również wydostać martwych spośród umierających. Niestety, tych ostatnich nie było mowy wydostać z tego piekła. Dzięki naszej chytryści udało nam się wydostać kilka osób za pośrednictwem zaświadczeń lekarskich. Przy tym szczęście musiało nam dopisać, aby znaleźć porucznika w dobrym humorze...

Po upływie sześciu dni część naszych mężczyzn została zwolniona, resztę wywieźli do nieznanego nam obozu, którzy jednak po krótkim czasie wrócili z powrotem do Radomyśla.

W międzyczasie przybyło do miasta dużo żołnierzy – mimo braku poleceń oni kradli, rabowali, atakowali, bili, kogo tylko znaleźli na swej drodze. Aby w całości zadowolić swój sadyzm, ścinali brody starszkom. Strzelali również do podejrzanych w ich pojęciu.

Ocaliłam brodę mego ojca, zamieniając ją za towar bławatny. Jako przykład: Broda mego ojca nas kosztowała podczas pierwszego okresu okupacji niemieckiej około 100 metrów różnego rodzaju towaru bławatnego. Nazywano mnie bohaterką miasta, ponieważ mój ojciec był jedynym z rzadkich Żydów, który jeszcze nosił swoją długą brodę. Niestety, „święto” to niedługo trwało.

Żydzi zaczęli budować kryjówki

Po upływie około dziesięciu dni okupacji przeczuwaliśmy nadejście niebezpiecznych zdarzeń. Krążyły bowiem pogłoski, że „Hitler Jugend” ma przybyć do miasta. Byliśmy niestety uprzedzeni, co to przybycie przedstawia: strzelanina, śmierć.

Zmuszeni byliśmy wynaleźć środek, aby ratować nasze życie. Zaczęliśmy roztrzaskiwać ściany, powały, drażyć, pogłębiać pod podłogą, aby znaleźć próżne miejsce do ukrycia żywych osób. Długie dni spędzaliśmy na strychu, szukając odpowiedniego kąta do zamaskowania, aby wybudować bezpieczną kryjówkę.

Po największej części kryjówki te znajdowały się pod podłogą. Kopaliśmy głęboko, bardzo głęboko.

Blagowaliśmy1 nawet w naszym nieszczęściu. Wykopujemy sobie sami nasze własne groby. Gorzkie blagowanie...

Pierwszy nasz projekt był, żeby wybudować kryjówki indywidualne, w ostateczności na dwie osoby. W końcu wybudowaliśmy kryjówkę na większą skalę. Można było do niej natłoczyć około 10 osób. Projekt konstrukcji pochodzi od naszych sąsiadów. Oni bowiem twierdzili, że to jest jedyny sposób zaoszczędzenia sobie pracy. Po drugie, będąc razem wewnątrz, pocujemy się bardziej zabezpieczeni.

Jak się przedstawiała kryjówka? Była to pewnego rodzaju piwnica, szeroka i głęboka, wykopana pod podłogą. Piwnica ta nie była wycementowana. Podłoga w tym miejscu nie była podparta żadnym dodatkowym rusztowaniem. Z tego też powodu, jak się chodziło na tej wydrążonej części, słychać było trzeszczenie. Aby zamaskować ten ogromny defekt, nakryliśmy to miejsce dywanem.

W jednym z kątów wypiłowano mały otwór w podłodze jako wejście do kryjówki. Ktoś musiał jednak zawsze zostać na zewnątrz, aby nakryć potajemne małe drzwi dywanem. Na ogół podobne kryjówki budowano w sypialni pod dwoma łózkami. Niestety, w tych kryjówkach brakowało powietrza, zmuszeni byliśmy zrobić dziurę w fundacji2 domu. Mimo tego groziło śmiertelne niebezpieczeństwo pozostawania wewnątrz dłużej niż godzinę, ponieważ można było się udusić. Cała żydowska ludność posiadała kryjówkę dla mężczyzn.

Spodziewaliśmy się wizyty hitlerowskiej młodzieży na piątek. Pan Bóg nas ochronił od złego. Dzień ten przeszedł bez żadnych wypadków. Naprężony klimat w Radomyślu powoli się złagodził. Żołnierze, którzy stacjonowali w mieście, mogli się łatwo porozumieć z Żydami w ich języku. Niestety, pośród nich znalazł się zawsze złośliwy osobnik, który odwiedził sklepy, wyrzucając na ulicę cały zawarty w nim towar. Przed sklepami gromadzili się wieśniacy, którzy zbierali ów towar i zawozili do siebie.

Na początku takie zdarzenia były rzadkie, z czasem jednak one się codziennie powtarzały na większą skalę. Rynek z tego powodu był codziennie

wypełniony wieśniakami z całego okręgu.

Niektórzy kupcy chowali towar na strychach, ale większa ilość się bała szantażu wieśniaków i zostawiali towar w sklepach.

Powoli miasteczko zostało materialnie zupełnie zrujnowane.

Kobiety, które zajęły awanscenę³ w mieście, poczuły, że ich rolą jest zareagować, zanim miasto zapadnie w ruinę. Wybrałyśmy więc najładniejsze dwie kobiety, władające najlepiej językiem niemieckim, aby przedstawić pułkownikowi – zarządcy miasta – nasze troski.

Niestety, bez sukcesu. Pułkownik był sadystą w stylu samego Hitlera. Dał rozkaz wyrzucić delegację, odpowiadając: „Pułkownik nie przyjmuje”. Przeżywaliśmy gorzką sytuację bez żadnego możliwego wyjścia. Pobożni Żydzi twierdzili, że nie ma rady przeciwko Boskiej woli.

W obecności tej tragicznej materialnej sytuacji wyszło nam z pamięci przyszłe przybycie prawdziwych bandytów, zabójców, młodych hitlerowców (*die Hitler Jugend*). Większa część naszej ludności była w takim stopniu zrezygnowana, że wołała nagłą śmierć, niż umierać powoli z głodu. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że istnieje fatalniejsze okrucieństwa niż kradzież dobra.

W następną niedzielę zostaliśmy niespodziewanie obudzeni o godzinie piątej z rana przez huk młotu w drzwi naszego sąsiada. Porywczym ruchem zbliżyłam się do okna, skąd zauważyłam mężczyzn w czarnych mundurach. Poczułam nawał serca. Nagle wspomniałam sobie, że to są SS w ich czarnych mundurach. Szybko dotarłam do sypialni rodziców. Obudziłam ojca z głębokiego snu. Pomogłam mu się ubrać i zaprowadziłam go do kryjówki znajdującej się pod podłogą w sypialni. Zakryłam wejście różnymi przedmiotami w taki sposób, żeby im na myśl nie przeszło dojść do tego miejsca, gdzie podłoga mogła pod ich ciężarem trzeszczeć i tym samym odkryć kryjówkę. Drżąca ze strachu, na wpół ubrana, goniłam, ostrzec moje dwie siostry, aby one również ukryły swoich mężów. Kiedy przybyłam do nich, dowiedziałam się, że one już były poinformowane o przybyciu tych „gości”.

Młodsza siostra Różia Eisland miała nawet wizytę dwóch młodych SS, którzy w ich wściekłości, nie zastając mężczyzn, wywrócili w wejściu pełną beczkę wody do picia, wrzeszcząc: „Gdzie się ulotnili ci wszyscy mężczyźni (*Wohin sind Sie verschwunden*)”. Nie tracąc chwili czasu, udałam się do naszych przyjaciół, znajomych, żeby ich uprzedzić. Goniłam jak wariatka, nie ważyłam się odwrócić głowy z obawy, że ktokolwiek może mnie zatrzymać.

Nagle usłyszałam rozpaczliwe krzyki kobiety. Była to żona Mechela Fischa, Cipora. Biegała po ulicach, krzycząc: „Oni mi zabiją syna, co mam robić, co mam robić”. Zwolniłam kroku i zaczęłam ją uspokajać. Zaledwie ważyłam się odwrócić głowę, kiedy zauważyłam dwóch SS prowadzących znaczną grupę młodych Żydów, za nimi szli inni SS, gonili inną grupę młodych, zaledwie zerwanych ze snu, którzy mieli czas wciągnąć same spodnie... Te SS popychali kolbą i bili

pałkami tę grupę, podniecając ich do biegania, coraz szybciej. Co za nieszczęście, sobie pomyślałam: czy oni mają zamiar zastrzelić tych biedaków albo ich zabrać gdzieś do pracy.

Nagle widać było przybywanie ze wszystkich ulic i uliczek tłumy mężczyzn, młodych i starych, których zgromadzono na rynku. Jedni nosili miotły, inni łopaty. Wśród nich znajdowali się starcy, chorzy, w swoich nocnych koszulach i boso. Najprawdopodobniej wyrwani z łóżek. Mieli na wpół ścięte brody i wygolone w pośpiechu częściowo włosy na głowie. Zmuszeni byli biegać na prawo i na lewo dla przyjemności młodych SS. Naraz dany został rozkaz tym biednym Żydom oczyścić i zamiatać rynek. Bez wahania biedacy się zabrali do pracy. Jedni zamiatali, drudzy zbierali śmiecie. Kiedy praca została nareszcie zakończona, dostali na nowo rozkaz rozrzucać zebrane śmiecie i na świeżo je zebrać. Bez przerwy musieli powtórzyć czyn, raz zebrać i wkrótce rozrzucić, i to przy krzykach i ciosach kolby. Potoki krwi się lały, jednym z nosów, drugim z ust lub głów. Jednym ręce zostały sparaliżowane, inni mdleli i upadali nieprzytomni na ziemię. Przy tym słońce paliło jak prawdziwy ogień tego września 1939 roku.

My, córki lub siostry tych mężczyzn, przypatrując się zdarzeniom, zaczęłyśmy płakać na głos jak małe dzieci. W tym stanie zwróciliśmy się do tych SS na kolanach, błagając ich, żeby nam pozwolili na miejsce tych nieszczęśliwych zakończyć ich pracę. Apelujemy do ich duszy i sumienia. Mnie się udało zwolnić starca, ojca mego starszego szwagra Mendla Honiga. Zaprowadziłam go do jego domu. Za ledwie przekroczył próg domu, on upadł i zemdlał. Dużo czasu upłynęło, żeby go ożywić. Podobne wypadki często się powtarzały. Ta tak zwana akcja trwała do 22 godziny. Po powrocie do domu martwiliśmy się, jaki los nam zarezerwowali nazajutrz... Przezornie było ukryć mężczyzn przez noc w kryjówkach. Zaczęliśmy się przyzwyczajać do podobnych akcji. Baliśmy się gorszych...

Gmina Żydowska („Judenrat”) w Radomyślu

Nadeszły do nas pogłoski, że na rozkaz władz okupacyjnych zostały organizowane „Juderaty” w miastach i miasteczkach. Są to przedstawiciele Żydów upoważnieni przez Niemców. Ich działalność była różnego rodzaju. Przede wszystkim oni musieli dostarczać władzom niemieckim żydowskich robotników do lokalnego utrzymania porządku, jak czyszczenie ulic, zdejmowanie śniegu z dróg, zdejmowanie aut utkniętych na drodze. Do tej pracy musiano dostarczać młode siły. Druga funkcja Judenratu polegała na zbieraniu różnych podatków od Żydów dla okupacyjnej władzy. Zadanie Judenratu, liczące[-go] około dziesięciu członków, nie było lekkie. Ich odpowiedzialność była ogromna. Często członkowie płacili własnymi głowami. W szerokiej mierze we wszystkich miastach członkowie

się dobrowolnie zgłaszali, żeby informować Judenrat. Byli to Żydzi pochodzący z niskiej warstwy o nieczułym charakterze. Oni sobie nie zdawali sprawy, że zadawalniając okupanta, zdradzają tym samym własny kraj, swoich braci i często nawet własną rodzinę.

W niedzielę rano, 25 stycznia 1940 roku, szef gestapo mieleckiego powiatu przybył do nas sankami ciągniętymi przez czworo koni⁴. Jednocześnie przybyli również pewni przedstawiciele mieleckiego Judenratu celem utworzenia Judenratu u nas. Judenrat w Mielcu liczył 12 członków⁵. Prezydentem był adwokat dr Fink (został zastrzelony). Pośród różnych działalności on miał również rolę formacji Judenratów w miasteczkach należących do jego powiatu. Judenrat w Radomyślu zawładniał również Żydami mieszkającymi w okolicznych wioskach. Zrozumiałym jest, że u nas samowolnych kandydatów nie było. Znajoma nam była ich ciężka rola. Niestety, nie mieliśmy innej rady. Judenrat został utworzony. W Radomyślu mianowano najpoważniejszych i reprezentacyjnych obywateli. Oni sobie wzięli za zadanie lojalnie reprezentować wszystkich Żydów. Prezydentem został wybrany Jeremiasz Leibowicz – syn Samuela Leibowicza, kasjerem był Bejzusz Eisland. Pierwszym zastępcą prezydenta był Anszel Tanenbaum. Drugim zastępcą był Meilech Amsterdam. Sekretarzem był Meilech Gross – syn Rubina Grossa. Prócz tych mężczyzn w pewnym wieku wyznaczono jeszcze kilku młodych.

Dotarły do nas pogłoski, że członkowie Judenratu są zwolnieni od pracy przymusowej. W tym bowiem czasie wszyscy mężczyźni od 12 do 60 lat wyznaczeni byli do różnych robót obowiązkowych. Przywilej powyższy przyciągał dużo młodych do usług Judenratu, jako policjantów lub zwyczajnych gońców.

Opisałam poprzednio ciężkie i odpowiedzialne zadanie, jakie miał każdy członek Judenratu. Zaledwie Judenrat zaczął funkcjonować, nadszedł rozkaz – z niemieckiego urzędu pracy znajdującego się w Mielcu – zarejestrowania żydowskich mężczyzn od 12 do 60 lat, zamieszkałych w Radomyślu i okolicy, aby ich wyznaczyć do pracy lokalnej lub wysłać do różnych obozów pracy⁶.

W Radomyślu nie było zatrudnienia. Młodzież i wielu żonatyh mężczyzn zmuszeni byli opuścić rodzinę i się ekspatriować⁷ i coraz więcej powiększać różne obozy znajdujące się w większych miastach, gdzie już istniały fabryki amunicji i konfekcji mundurów wojskowych. Zarobek tych biedaków był minimalny, zaledwie starczył na paczkę papierosów. Oprócz obozów robotniczych istniały również karne obozy. Najbardziej znany w okolicy był Pustków obok Dębicy⁸, przez którym drżeliśmy.

Pierwsze wysiedlenie młodych Żydów z Radomyśla

Przewidziana data kontroli żydowskiej populacji była 17 IV 1940 r.⁹ Wszyscy Żydzi, od noworodka do starca, zgromadzili się na rynku. Mężczyźni

formowali długo szereg przed Judenratem, drżący czekali, aby zaznać swego losu. Ciężka chmura strachu ich przytłaczała. Wszyscy bowiem wiedzieli, że miasto Radomyśl i jego okręg miało dostawić Niemcom 250 mężczyzn do Pustkowa. Nikt nie znał z góry swego przeznaczenia. Jak zwykle w takich wypadkach najbiedniejsi są ofiarami.

Bogaci przewidzieli sytuację i zaopatrzyli się fałszywymi lub prawdziwymi zaświadczeniami, wydanymi przez polską gminę (opłacając urzędnika). Zaświadczenia te stwierdzały, że dana osoba zatrudniona jest na miejscu jako kupiec lub rolnik w folwarku. Biedni drżeli, ponieważ oni nie posiadali powyżej wymienionych zaświadczeń, żeby przedłożyć urzędnikowi. Niestety, oni nie mieli tej ogromnej sumy pieniędzy, żeby się wykupić jakimkolwiek zaświadczeniem. Nie jestem w stanie opisać smutku, który padł na całą żydowską ludność w chwili pożegnania, kiedy 250 mężczyzn opuściło miasto w drodze do Pustkowa. Wiedziano, że oni zginą na zawsze, zakopani żywi.

Zdarzały się wypadki, że młodzi nieświadomie próbowali uciekać z obozu. Wiedzieli, że jeżeli ich złapią, zostaną na miejscu zastrzeleni. Wiedzieli również, że jeżeli ich ucieczka im się nawet uda, oni nie mogą powrócić do własnego domu. Wędrowali więc z miasta do miasta, ukrywali się, gdzie mogli, żeby nie wpaść na nowo do rąk Niemców. Niemcy byli zakorzenieni w całym kraju i coraz lepiej zorganizowani. Rodzina moja wymknęła się od tego smutnego losu. Zrobiono, co konieczne było, aby uniknąć...

Trzy miesiące upłynęły. Zaczęliśmy trochę lżej oddychać mimo niespodziewanych najazdów band gestapo, przybywających z Tarnowa lub Mielca, którzy na ich drodze bili spotkanych Żydów lub kradli dobra żydowskie. Do tej sytuacji myśmy się szybko przyzwyczaili, wiedzieliśmy, że nie ma rady, aby uniknąć takich zdarzeń. Każdy musiał płacić swoją kontrybucję w nieprzewidzianym czasie. Ten „spokojny” okres skończył się 3 lub 4 listopada 1940 roku, ponieważ udało się wielkiej ilości młodych uciec z Pustkowa.

Aby na nowo napełnić obóz w Pustkowie, dozorca SS posłał rozkaz do Judenratu, żeby im posłać 250 innych robotników. Żadne zaświadczenie nie mogło więcej służyć, aby się zwolnić od wyjazdu do tego obozu. Pustków został pilnowany przez około 400 SS. Nie dostając odpowiedzi na ich rozkaz, oni zareagowali. Pewnego ranka wszystkie drogi w Radomyślu zostały zamknięte. Miasto zostało okrążone. Każdy dom został obszukany przez SS. Oni zebrali młodych, starych i nawet 12-letnie dzieci nie zostały oszczędzone.

Zgromadzili ich wszystkich na rynku. Żaden certyfikat wydany przez niemiecki urząd pracy „Arbeitsamt” nie był dla nich ważny. Judenrat się natychmiast zwrócił telefonicznie do urzędu pracy, który się znajdował w Mielcu, aby się dowiedzieć, kto właściwie jest odpowiedzialny w dziedzinie pracy, oni czy SS. Niestety, urząd wobec SS był też zmuszony do posłuszeństwa.

W tłumie zgromadzonych mężczyzn znaleźli się członkowie Judenratu i nawet starcy wyłączeni z pracy przymusowej. Co jeszcze mogę opowiadać? Około 700 mężczyzn pchnięto siłą, kolbami, bity pałkami, pośród krzyków: „Szybko, szybko, *schneller, schnetter*”, do ciężarówek, jak bydło, nie wiedząc, dokąd zostaną zawiezieni. Kobiety, które się ważyły podać cokolwiek swoim dzieciom lub mężom, zostały dziko uderzone pałkami i odepchnięte. Zrozpaczeni zostaliśmy bez wyjścia. Po pewnym czasie młodym udało się uciec, ale starsi, już w pewnym wieku, którzy zostali, bardzo cierpieli. Nie mogąc szybko biegać ani nosić ciężkich mas betonu, bity ich, i często nawet na śmierć. Po upływie około czterech tygodni i dzięki wielkiej protekcji i naturalnie ogromnej sumie pieniędzy udało się Judenratowi wydobyć tych starców z tego piekła. Mimo ich smutnego stanu fizycznego i moralnego byliśmy dumni z naszego bohaterskiego czynu. Podobne tzw. kontrole i obławy często się powtarzały.

Przyzwyczajaliśmy się powoli do tej sytuacji, uważaliśmy się nawet uprzywilejowani w porównaniu do innych miast, skąd doszły do nas żałosne nowiny, że Niemcy strzelają na ulicach do przechodzących Żydów jak do dzikich zwierząt. Nie trzeba jednakże sobie wyobrażać, że chociażby jeden dzień spokojnie przeszedł. Każdy dzień nam przynosił inną nowość i każda nowość była nieszczęściem. Pochodziły one ze strony policji polskiej na usługach Niemców¹⁰, od wieśniaków niemieckiego pochodzenia, którzy się osiedlili przed wojną w naszym okręgu. Nazywano ich „Volksdeutsche”. Oni formowali kolonię koło Mielca¹¹.

Nareszcie nadszedł ten dzień, kiedy Ameryka wzięła udział w wojnie. Do tego czasu i prawie że codziennie pewni Żydzi z Radomyśla udawali się powozami do Tarnowa na zamianę towarów. Dzięki temu handlowi mogli oni mniej więcej utrzymać swoją rodzinę przy życiu. Ten zawód był bardzo ciężki i niebezpieczny. Dorożki wyjeżdżały wcześniej nad ranem, zabierając handlarzy, ukrywających swój skromny towar w swoim ubraniu na swoim ciele, pod płaszczem i nawet w spodniach. Większą zaś ilość, jak mięso, ser lub inne artykuły żywnościowe, których nie można nosić na sobie, ukrywano w koziole powozu, specjalnie urządzonego do tego celu. W powrotnej drodze zabierano towar bławatny. Ten rodzaj handlu był zagrożony śmiercią, przy tym drogi były pilnowane często przez policję polską, którą można było przekupić pieniędzmi. Zdarzały się jednak dość często wypadki, że spotykano patrole niemieckie. Wtedy ryzyko było okropne, zastrzelano ich na miejscu. W ten sposób zginęli dwaj bracia Koch, Ojzer Wigdor i Berl Lipschitz. Te wypadki nie powstrzymały innych, nadal kontynuowali ten zabroniony handel. Lżejsza jest nagła śmierć, spowodowana przez zastrzelenie, niż powolna śmierć głodowa, myślano u nas.

Strzelają komunistów

Nie ryzykuje się tylko śmierci z powodu nielegalnego handlu, ale po prostu na ulicy, nie popełniając nawet żadnego błędu, i to jedynie ponieważ się urodzono Żydem. Aby pomścić wejście Ameryki do wojny, Niemcy postanowili ścigać polskich i żydowskich komunistów.

Strzelano bez litości na ulicach we wszystkich dużych i małych miastach. W tych dniach padło 21 mężczyzn w Tarnowie. Między nimi kilku Żydów z Radomyśla, którzy się znaleźli przypadkowo interesownie w Tarnowie. Oprócz nich uwięziono kilka setek mężczyzn i po upływie trzech tygodni wysłano ich do Oświęcimia, gdzie zginęli w izbach gazowych. Radomyśl w tym okresie nie został oszczędzony.

Było to w grudniu, w dniu targowym. Z rana o ósmej godzinie przybyło pięciu gestapowców wraz z ich dowódcą do Radomyśla. Jaka może być ich misja? Wiedzieliśmy, że oni na pewno nam dobrych nowin nie przynoszą... Mężczyźni w podobnych wypadkach się ukrywali...

Prawie poprzedniego dnia mój narzeczony przyjechał z Tarnowa. Przybył do Radomyśla, uważając, że u nas będzie zabezpieczony. Ukryłam więc mojego narzeczonego wraz z innymi mężczyznami. O godzinie 10 dowiedzieliśmy się nareszcie celu wizyty gestapowców. Oni niedużo żądali.

Gestapowcy się bowiem dowiedzieli, że w Radomyślu się znajduje sześciu żydowskich komunistów. Zwrócili się więc do Judenratu z rozkazem sprowadzenia im tych młodych komunistów, szczególnie się jednak upierali, żeby im sprowadzić Chaskla Eislanda. Chaskiel Eisland był członkiem Judenratu i odpowiedzialny od spraw socjalnych. Podobnie jak inni młodzi Żydzi, on również był ukryty. On został przywołany przez prezydenta Judenratu, co też uczynił. W biurze policja Judenratu¹² już na niego czekała. Bez poprzedniej informacji, o co chodzi, zamknęli go w biurze.

Chaskiel przeczuwał, że coś anormalnego go oczekuje. Wyskoczył przez okno i uciekł. Policja go złapała i zaprowadziła z powrotem do biura, i tym razem go dobrze pilnowała. W tym samym czasie zastrzelono dwóch synów mechesa Fischa. Oni prawie opuścili miejsce modlitwy, która się odbywała co rano w prywatnym mieszkaniu, znajdującym się w wąskiej, zaledwie widocznej uliczce. Było ich przeszło dziesięciu potrzebnych do utworzenia „minian”. Reszta, która pozostała przy życiu, zmuszona była zagrzebać zastrzelonych dwóch chłopców.

O godzinie 11 gestapo odnowiło rozkaz, żeby im sprowadzić kilku młodych Żydów. W zasadzie żądali komunistów, ale mogli również być „agudziści” (członkowie religijnej organizacji)¹³. Najważniejsze, że to są Żydzi. Niestety, prócz Chaskla nie można było znaleźć innego Żyda, mimo wysiłku polskiej i żydowskiej policji. Całe miasto było ruchliwe, niespokojne o los, który czekał biedaka Chaskla. Nikomu jednak na myśl nie przeszło, że on może zostać

zastrzelony. Jedyne Judenrat znał sekret. Rodzina moja (Chaskiel był najmłodszym bratem mego szwagra) przypuszczała, że zostanie uwięziony. Na pewno został denuncjowany, ponieważ donosicielów nie brakło w tym smutnym okresie. Cała rodzina się wysilała ciałem i duszą, żeby wyzwolić Chaskla. Zwróciłam się osobiście jako narzeczona Chaskla do przewodniczącego gestapo, proponując mu dużą sumę pieniędzy, prosząc, żeby zwolnił mego narzeczonego. W międzyczasie rozkaz był dany, żeby oddać Chaskla do rąk polskiej policji. Pieniądze, które złożyliśmy do rąk gestapo, służyły na pijatykę w wyszynku p. Wysockiej (największy nieżydowski wyszynk z restauracją w Radomyślu). O godzinie 15 oni nareszcie opuścili kawiarnię.

Mieliśmy nadzieję, że dwie ranne ofiary ich nasyciły i że powrócą z powrotem do Mielca. Zaniepokojeni jednak byliśmy, widząc, że oni nie jadą w kierunku Mielca, lecz do pola. Rozkaz już był dany, żeby zabrać Chaskla na to wyznaczone miejsce. Znęcali się nad nim, zmuszali go do biegania na prawo i na lewo, strzelając z daleka do niego. Zabili go jak wściekłego psa.

Nasza rodzina nie była obecnym świadkiem tego nieszczęsnego widowiska, ponieważ w tym samym momencie zwróciliśmy się do burmistrza Kality z prośbą o interwencję¹⁴. W powrotnej drodze ulżyło nam, widząc powrót gestapo w kierunku Mielca. Po powrocie do domu zapytaliśmy, gdzie się obecnie znajduje Chaskiel. Nie dostając odpowiedzi, zrozumieliśmy milczenie.

Nie ma słów, żeby opisać nasz stan. Nie mogliśmy płakać. Nasze serca ciążyły nam jak kamienie. Nagle zaczęliśmy gonić po ulicach jak zwariowani, krzycząc. Nie pamiętam, jakie były nasze krzyki. Żaden pisarz nie jest w stanie opisać naszego nastroju.

Trudniej jeszcze było dla nas donieść o tej tragedii matce Chaskla. Wdowa, sparaliżowana, przybita na całe swoje życie do fotela na kółkach, dla której Chaskiel był jej pocieszeniem, jej racją bytu i przy tym jej jedynym żywicielem. Trudno sobie wyobrazić naszą sytuację. Całe miasto było razem z nami w żałobie.

Chaskiel nas opuścił na zawsze.

Wytępienie naszej wspólnoty

My, pozostali przy życiu, cierpieliśmy okropnie około roku czasu, aż do tragicznego końca. Przeżywaliśmy liczne i częste tragedie. W pewnych dniach i znienacka wpadła do miasta mała garstka gestapo, którym się udało złapać kilku Żydów, ich zastrzelić i natychmiast z powrotem powrócić do Mielca, jakby chodziło o wyprawę myśliwską. W tych okolicznościach zginął Wigdor Pinczowski, pozostawiając żonę i 11-ro dzieci. Ten sam wypadek spotkał Pinkasa Grossa i innych, których w tej chwili nie przypominam sobie nazwisk. Nie jest ciekawym tu wymienić kilkunastu Żydów, którzy zginęli w różnych

okolicznościach, skoro w kilka miesięcy później cały Radomyśl zmienił się na wielki cmentarz. Niestety, nawet cmentarz nie pozostał. Nasz cmentarz zmienił się na uprawione pole.

Zdarzyło się to w połowie sierpnia 1942 roku. Miesiąc przedtem, i to na zarządzenie gestapo, wszyscy Żydzi mieszkający w okolicy Radomyśla musieli opuścić ich mieszkania i zgromadzić się w Radomyślu¹⁵. Judenrat zaś dostał rozkaz dostawić do gestapo listę wszystkich Żydów, mężczyzn i kobiet całego okręgu po 60-letnim wieku. Do czego miała służyć podobna lista? Stawialiśmy sobie to pytanie. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że to nic dobrego nie przepowiada. Jakie zło nas czeka?

Kiedy lista była zaledwie gotowa, Judenrat otrzymał rozkaz rektyfikacyjny¹⁶, żądający listy całej żydowskiej ludności Radomyśla i okręgu, zawierającej również zawód każdej osoby. Próbowaliśmy rozstrzygnąć tę zagadkę, którą każdy sobie stawiał. Dlaczego takie listy?

Sześć miesięcy przed wymienioną powyżej datą miasto Mielec zostało zupełnie wypróżnione z wszystkich Żydów¹⁷. Zostali wysiedleni nie wiadomo dokąd. Inne miasta i miasteczka doznały tego samego losu. Z Tarnowa wysiedlono część Żydów, wśród których moją najstarszą siostrę i jej męża z 5-giem małymi dziećmi, Ryfkę i Pereca Eislanda. Oni zostali wysiedleni do Bełżca, gdzie się już wówczas znajdowały izby gazowe¹⁸. Pozostałą żydowską ludność w Tarnowie ugrupowano w pewnej dzielnicy, gdzie sformowano getto.

My więc poczuli, że teraz kolejka dla nas nadeszła. Jaka więc deportacja nas obecnie czeka, częściowa lub ogólna? To pytanie myśmy sobie stawiali. Pewnego dnia nowa dyrektywa nadeszła z gestapo, zarządzająca zestawienie listy 500 młodych robotników z różnych zawodów, których należało zaopatrzyć specjalnymi zaświadczeniami. Opowiadano, że te osoby mają zostać w mieście, aby nie pozbawić mieszkańców miasta kwalifikowanych rzemieślników.

Jak tylko otrzymaliśmy nasze zaświadczenia, pewni byliśmy, że w sobotę, najpóźniej w niedzielę nastąpi wysiedlenie. Kto tylko mógł się wydostać z miasta, uciekał. Niestety, danym to było bardzo małej garstce. Różne były powody.

Przede wszystkim aby móc jeździć, musiano mieć przepustkę, która drogo kosztowała. Po drugie, musiano posiadać większą sumę pieniędzy, aby móc żyć gdzie indziej. Ci wszyscy, którzy posiadali przepustkę, mogli się dostać nielegalnie do getta w Tarnowie lub Bochni. Tam była jeszcze możliwość przeżycia. Było jeszcze kilka osób w Radomyślu, którzy nie posiadali przepustek, ale posiadali trochę dobra. Te osoby mogły za pieniądze lub pewne dobra momentalnie się ukryć u znajomych rolników mieszkających w okręgu. Dwa dni przed wysiedleniem miasto zostało oficjalnie zamknięte. Za żadną cenę nie można już było dostać przepustek. W tych warunkach było około 250 osób. Młode parki lub kilka starszych osób, którzy się ukryli we wsiach, jak w Zdziarcu, Rudzie, Żarówce i

Dulczy. Ich rachunek był prosty. Nazajutrz po wysiedleniu powrócą do domu, mieszając się pośród 500 pozostałych rzemieślników, których gestapo przewidziało zostawić, aby utworzyć getto, podobnie jak się to stało w innych miastach.

Okrutna niedziela

Okrutna niedziela nadeszła, ale niestety nie jak przewidzieliśmy. Nad ranem przybyła mnożna banda SS i gestapo. Pośród nich mieszła się policja polska z całego okręgu. Było ich około 500. Miasto zostało zupełnie okrążone. Ulice i uliczki były pilnowane, jak również otaczające pola. Nie było więc żadnej możliwości ucieczki z miasta... Tego rana Żydzi mogli spokojnie spać do godziny 6. Poprzedniego dnia ogłoszono, że wszyscy Żydzi bez wyjątku muszą się zgromadzić na rynku rano o godzinie 7 i że mogą ze sobą zabrać tylko małą paczkę. Była mowa, że zostaną przewiezieni do Dębicy.

Stosownie do rozkazu starcy i młode dzieci zgromadzili się na rynku. Chorzy czekali w łóżku na ich los. Judenrat był również zaproszony do pomocy.

Nagle został wydany rozkaz, żeby starsze osoby, mężczyźni, kobiety, i chorzy osobno się ustawili. Całe rodziny zostały w ten sposób rozłączone. Mąż od swojej żony i dzieci, dzieci od swoich rodziców. Nie wszystkie rodziny zaakceptowały separację. Były rodzice lub nawet dzieci, którzy się przeciwstawiali i z powrotem powracali do poprzednich szeregów, obok swoich bliskich. O ile ktoś się bardzo uparł, został on zastrzelony na miejscu. W tych warunkach została zastrzelona córka Cerli Wind, dorosła, 18-letnia panna. Inne podobne wypadki miały miejsce. Po największej części młode dzieci, które nie zrozumiały tej niebezpiecznej sytuacji i z powodu swego oporu zasłużyły na śmierć.

Starszych i chorych załadowali jak by było do wozów ciągniętych przez konie, które zostały z góry przygotowane do tego celu. Zawieziono ich bezpośrednio na żydowski cmentarz, gdzie na nich już czekali SS, aby ich zastrzelić i wrzucić ciała do okopów, świeżo wykopanych. Nieszczęśliwi dostali rozkaz kompletnie się rozebrać i ustawić w szeregach przed okopami. Przed każdą osobą znalazł się SS, który na rozkaz dowódcy strzelał prosto w twarz na każdego z osobna. Wszystko było doskonale zorganizowane i funkcjonowało jak automat. Jak tylko padła strzała i osoba wpadła do okopu, ona została natychmiast zasypana ziemią. Nie zwracano uwagi, czy ten człowiek został właściwie zabity.

Nie wyobrażajcie sobie, że słychać było krzyki, jęki lub płacz, słychać było tylko huk strzałów. Skazani na śmierć byli pogrążeni w milczącym strachu. W całej okolicy obawa tak mocno ciążyła, że nawet psy się przyzwyczyły do trzasków strzałów i przestawały szczekać.

Osobiście nie byłem naocznym świadkiem tych okrutnych scen, był nim syn Dawida Bizgajera, który się mógł w ostatniej chwili cudem wydostać z tej rzeźni.

W czasie kiedy likwidowano starców i chorych na cmentarzu, naładowano pozostałą żydowską ludność na zaprzężone wozy, które ich zawiozły do Dębicy. Tam już czekali inni Żydzi, zebrani z całej okolicy. Dwa dni później cała Dębica zaznała strasznej masakry¹⁹. Tych, którzy zostali przy życiu, wepchano do wagonów dla bydła, które ich zawiozły do Lublina – Majdanka. Nie pozostało po nich żadnych śladów. Mała garstka młodych Żydów została w Dębicy i między nimi kilka osób z Radomyśla, jak Judenrat oraz kilka kwalifikowanych rzemieślników. W Dębicy zostało utworzone getto, które istniało 5 miesięcy. Następnie posłano ich powolnie do obozów koncentracyjnych.

Pierwszego stycznia 1943 roku miasto Dębica zostało *Judenfrei*, wypróżnione od Żydów. Kilku młodych Żydów z Radomyśla wysłano jeszcze przed ogólnym wysiedleniem do Mielca, do obozu tzw. niewolniczego w rodzaju Pustków, gdzie fabrykowano samoloty²⁰. W tym obozie praca była ciężka, niemal wyczerpująca. Liczni umarli z wyczerpania, inni zaś zostali po prostu zastrzeleni. Między innymi został zabity Ksylek Eisland, oskarżony o sabotaż. Był to najmłodszy syn Breindli Eisland, brat Chaskła Eislanda, który został zastrzelony przez gestapo w Radomyślu.

Fabryki w Mielcu funkcjonowały pod dyktando niemieckiego rządu. W Mielcu znajdowała się inna niemiecka fabryka, która jednak była zarządzana przez prywatne przedsiębiorstwo, jej nazwa była „Baum et Loesch”. Kilka rodzin z Radomyśla zostało zaakceptowanych do pracy przez to przedsiębiorstwo. Żyli oni w barakach, w stosunkowo niezłych warunkach w tym okresie. Aby się dostać do tego obozu, trzeba było dużo szczęścia i szczególnej protekcji. Protekcja ta drogo kosztowała. Trzeba było przekupić inżyniera za przyjęcie. Te wymienione fabryki przeżyły przeszło półtora roku po deportacji Żydów z Radomyśla. W 1944 roku, kiedy Niemcy zmuszeni byli ewakuować Mielec, oni zabrali tych wszystkich robotników ze sobą, których wysłali do obozów koncentracyjnych. Kilka zaś pośród nich rosyjska armia ocalała, kiedy ona awansowała²¹.

Co się stało z tymi 250 Żydami, którzy się przed wysiedleniem ukryli u chłopów w okolicy?

Po największej części oni zostali wypędzeni z chat w samym dniu deportacji. Przy tym oni zostali ograbieni przez tych chłopów i pozbawieni nawet swej odzieży. Mieli jedyną wymówkę, bali się denuncjacji, co było kłamstwem. Podczas tych tragicznych dni mieliśmy ponowną okazję stwierdzić zwierzęcy instynkt polskich chłopów.

Nie wystarczyło im wygonić Żydów z chałup, oni ścigali nawet tych, którzy się chowali w lasach i polach, ściągając z nich ostatnią koszulę. Jeżeli oni sami ich nie zabili na miejscu, oni donieśli na nich na policję, która ich dobiła... Większość Żydów, która się ukryła w wioskach, w dniu deportacji została zabita tego samego wieczora, inni zaś w przeciągu następnych 10 dni.

Znalazła się również garstka młodych Żydów, która żyła około 2 lat w lesie w Dulczy Małej. Ci Żydzi żyli w kawernach, które sobie sami wykopali. Niektórzy z nich zostali zabici przez bandytów, żyjących również w lesie. Około 25 osób zostało przy życiu, między nimi ja sama.

Dowiedziałam się, że Anszel Birnbaum – syn Rubina Birnbauma – oraz prawie cała rodzina Blummer z Zasowa zostali przy życiu. Otrzymałam od nich pierwszy list z Polski.

Taka jest tragiczna historia zniknięcia Żydów z Radomyśla, która się zaczęła jesienią 1939 roku, kiedy Niemcy wkroczyli do miasta, i zakończyła się w lipcu 1942 roku rzezią wielu setek Żydów na żydowskim cmentarzu w Radomyślu W[ielkim].

Tę całą opisaną historię oprócz dnia deportacji przeżyłam osobiście. Jestem jedna spośród rzadkich pozostałych świadków wyrwana z hitlerowskiego piekła...

Uwaga się nasuwa: Każdy z nas, który zaznał deportacji końcowej, przeżył swoją osobistą tragedię, każdy na swój sposób i w różnych warunkach.

Postaram się obecnie zakomunikować, chociażby częściowo, moje własne warunki przeżycia, od dnia ogólnej deportacji Radomyśla. Trudno, bardzo trudno sobie przypomnieć o wszystkim. Często nie mogę uwierzyć, że ja jestem tą, która przeszła przez te wszystkie perypetie. Dotychczas jeszcze nie znalazłam, dzięki komu zostałam przy życiu.

Pierwsza kryjówka

Wysłałam za mąż dwa tygodnie przed ogólną deportacją Radomyśla. Powyżej wspomniałam, że gestapo wybrało 500 młodych Żydów, którym dostarczono specjalne zaświadczenie, wykazujące prawo pozostawania w Radomyślu celem formowania getta. Mój mąż był uprzywilejowany, posiadając tzw. specjalne zaświadczenie. Nie mając jednakże zaufania, baliśmy się pozostać w Radomyślu.

Moi dwaj szwagrowie posiadali przedawnione przepustki wyjazdu z miasta. Oszukując, zmieniliśmy przedawnioną datę na świeżą, która się kompletnie udała... Ja oraz mój mąż posiadaliśmy przepustki do wyjazdu z miasta i mogliśmy, podobnie jak moje dwie siostry z ich rodzinami, dwa dni przed wysiedleniem opuścić Radomyśl. Oni wyjechali dorożką do najbliższej stacji kolejowej Czarno, gdzie wzięli pociąg i udali się do Bochni. Tam oni się wkradli do getta.

Co zrobić z rodzicami, którzy byli w starszym wieku? Ja z moim mężem postanowiliśmy połączyć się z rodzicami, którzy znajdowali się w ukryciu u naszych przyjaciół wieśniaków, Tomasza Szczurka w Dulczy Wielkiej. Tydzień przedtem powierzyliśmy Szczurkowi wszystkie nasze dobra: towar bławatny, który się nam udało ukryć z naszego sklepu, wszystkie nasze meble, bieliznę i całą

odzież. Decyzja nasza okazała się szczęśliwa, ponieważ Niemcy zmienili w ostatniej chwili ich poprzednie zarządzenia, wysiedlając bez wyjątku wszystkich Żydów z Radomyśla. Zaświadczenia nie przedstawiały żadnej wartości, żaden Żyd nie miał prawa pozostać w mieście.

Jestem wdzięczna błąp. mężowi, który posiadał z natury zdolności przewidywania... Był to piątek późno w nocy, kiedy dotarliśmy pieszo do Tomasza Szczurka do Dulczy Wielkiej. On nam wskazał strych, na który trzeba było się wspinać drabiną, żeby się ukryć. Nasza zawarta poprzednio umowa polegała na tym, że oni się zobowiązali ukryć rodziców przez potrzebny okres do zaaklimatyzowania się w getcie i przygotować powrót naszym rodzicom, którzy właściwie nie mieli już prawa życia... Oprócz powyżej wymienionego dobra, które powierzyliśmy Szczurkowi, on dostał od nas dużą sumę pieniędzy.

Wieśniaczka nas dobrze ugościła, opiekowała się nami jak najlepiej, jej mąż zaś pilnował domu, aby nikt broń Boże się nie dowiedział o naszej obecności. Niestety, ich grzeczność trwała tylko jeden dzień, w sobotę, dzień przed wysiedleniem. Nazajutrz w niedzielę posłaliśmy ją do Radomyśla, aby mieć wiadomości o sytuacji. Ona się więc udała nad ranem i wróciła po południu. My siedzieliśmy jakby na gwoździach, czekając na jej powrót. Nie mogliśmy wytrzymać, skoro odgłosy salw docierały do nas bez przerwy, nie znajdując temu wytłumaczenia.

Po powrocie wieśniaczki dowiedzieliśmy się o smutnym losie naszej ludności. Można sobie łatwo wyobrazić nasze odczucia.

Nagle wieśniaczka zaczęła drżącym głosem nam tłumaczyć, że ona się boi nas dłużej u siebie przechowywać, ponieważ w kościele podczas kazania ksiądz ich uprzedził, że się przygotowuje kontrola wszystkich domów we wsiach. Przy tej okazji ona nam doniosła, że wysiedlenie było ogólne, że żaden Żyd nie miał prawa zostać w Radomyślu.

Uciekamy do Dąbrowy

Co nam pozostaje zrobić. Nie ma mowy, żeby wieśniaczka, „nasza najlepsza przyjaciółka”, zmieniła swoje postanowienie. Trzeba natychmiast opuścić jej dom. Wyobraźcie sobie nasze położenie. Naokoło palił się ogień: szukają Żydów w polach, w otaczających nas lasach. Jeżeli nas znajdą, zastrzelą nas na miejscu. Jedna część transportu Żydów z Radomyśla była już na drodze w kierunku Dębicy. Niemcy sobie na pewno nie zadadzą tego trudu, żeby nas osobno zawieźć. Biedni rodzice się rozplakali na głos jak małe dzieci.

Bez żadnego oporu zaczęli błagać tych polskich wieśniaków o politowanie się. Oni zaś nie mogli lepiej prosić, żeby nas Niemcy zastrzelili, aby wszystkie nasze dobra odzyskać na zawsze. Momentalnie ja również straciłam równowagę,

ale udało mi się opanować i szukać razem z mężem wyjścia z tej sytuacji, aby od razu nie wpaść do nieprzyjacielskich rąk.

Po długim namyśle zdecydowaliśmy się udać pieszo do miasta Dąbrowy²², które znajdowało się około 40 km od Dulczy Wielkiej, wiedzieliśmy, że tam jeszcze nie było wysiedlenia. Nie mieliśmy prawa udać się główną drogą z obawy, żeby nas nie spostrzec. Należało iść małymi drózkami, przecinając pola, i to szczególnie w nocy. Co robić aż do zapadającej nocy?...

Staraliśmy się wytłumaczyć naszym protektorom, „drogim przyjacielowi”, że my nie możemy opuścić ich domu w jasny dzień z obawy, żeby nie być spostrzeżeni. Nie ma mowy, żeby was zostawić chwilę dłużej u nas, nam oni odpowiedzieli. Zaczęłam ich błagać i by wzruszyć ich uczucia. Pozwoliłam sobie nareszcie jej powiedzieć, że ten sam los, który spotkał dzisiaj Żydów, może się wywrócić na nich podczas okupacji. Powiedziałam jej również, że ich Bóg Jezus Chrystus im nigdy nie wybaczy tego okrucieństwa. Nagle oni się połapali, udając, że oni wcale nie myśleli, że mamy ich opuścić w dzień. Ja zřęcznie przeprosiłam, że źle ich zrozumiałam. Pozwolili nam więc pozostać u nich do wieczora. O 19 godzinie wyszliśmy w drogę, posiadając każdy mały pakunek. Trzeba było absolutnie dotrzeć do Dąbrowy przed ranem. Trzeba było przebiec 40 km podczas jednej nocy. Dla mnie i mojego męża nie było problemu, mimo mego złego stanu zdrowia w tej epoce byliśmy jednakże młodzi. W jaki zaś sposób mogą moi starzy rodzice przedsięwziąć taką długą drogę? Obydwoje już przekroczyli 65 lat, chorzy, szczególnie mój ojciec cierpiał na podwójną przepuklinę. Przypominam sobie, że w domu często leżał w łóżku.

Mój ojciec sobie zdał sprawę, że on nie jest w stanie przedsięwziąć taki „spacer”, on mi to szepnął do ucha, aby matka nie usłyszała. Stałam się nagle sroga dla niego, mówiąc mu, że on musi pójść z nami, że nie ma innego wyjścia. Ja sama wątpiłam, czy on potrafi dojść do Dąbrowy, szczególnie że trzeba będzie biegać, o ile kogoś spotkamy na naszej drodze. W każdym bądź razie nie było innego wyjścia, musimy zaryzykować nasze życie, może nam się uda wygrać, bez ryzyka na pewno przegramy.

Niedziela 23 sierpnia 1942 r.

Z trudnością dotarliśmy aż do zachodu słońca. Po pożegnaniu się z wieśniakami, którym zostawiliśmy resztę dobra, które ze sobą zabraliśmy, wyruszyliśmy w drogę. Tej drogi myśmy w ogóle nie znali. Ojciec mój ją trochę znał z czasu młodych lat. Chodziliśmy bez ustanku i bez litości dla mojego biednego ojca, aż do zapadającej ciemnej, bardzo ciemnej nocy. Odczuliśmy wszyscy nawał serca jakby popełnionej zbrodni. Mój mąż prowadził ojca, pomagając mu chodzić, ja zaś prowadziłam matkę. Niestety, po krótkim czasie ja

sama poczułam zmęczenie, nie mogąc podnieść nóg.

Zaledwie uszliśmy połowę drogi, kiedy usłyszeliśmy znane nam głosy. Nadstawiając ucha, poznaliśmy wyraźniej niemiecki język. Kto sobie mógł pozwolić rozmawiać na głos w nocy, czy nie żołnierze? Godzina policyjna została bowiem zarządzona na początku wojny. Cywilny obywatel nie odważył się wyjść w nocy. Nie można sobie wyobrazić naszej sytuacji. Iść nadal naprzód było niemożliwym, wpadniemy od razu do paszczy wilka. Położyliśmy się na samej ziemi, czekając, aż zupełna cisza nastąpi. Właściwie ta niespodziewana okazja była dla nas korzystna. Ona pozwoliła ojcu odpocząć. Ten odpoczynek prawie był mu konieczny, ponieważ opaska, która podtrzymywała jego podwójną przepuklinę, rozluźniła się. Spoglądając na ojca, postawiłam sobie pytanie, w jaki sposób on będzie mógł dalej chodzić. Trzeba było przebiec jeszcze około 20 km do rana.

Skoro tylko nadszedł zupełny spokój, wyruszyliśmy w drogę. Nagle ojciec zajączał i upadł zemdłony. On szybko powrócił do siebie, ale nie było mowy, żeby mógł zrobić kilka kroków. Co robić? Czas nagli. Posiadaliśmy wprowadzić nasze legalne przepustki, ale zanim nam się uda je pokazać, zostaniemy zabici.

Widząc, że ojciec nie jest w stanie zrobić kroku, ja z mężem złączyliśmy nasze dłonie, formując krzesło, na którym posadziliśmy ojca. Niosąc go, mogliśmy powoli posuwać się naprzód. Trzeba było być silnym, bardzo silnym, i myśmy nimi byli. Powoli jednak ojciec powrócił do sił i zaczął chodzić. Noc się ciągnęła w nieskończoność i z nią te małe dróżki.

Nie byliśmy pewni, czy wybrana droga była właściwa. Jedynym sędzią był ojciec, który twierdził, że ją dobrze poznaje. Nie mieliśmy do siebie zaufania i wątpiliśmy, że dotrzemy do Dąbrowy. Kiedy po krótkim pochodzie zauważyliśmy miasto, nasza radość była ogromna. Dotarłam sama do miasta, żeby się upewnić, że nie ma dozorców. Rodzice z mężem czekali na mój powrót.

Zdjęłam opaskę z oznaką „Magen Dawid”²³ i powoli szłam w kierunku miasta. Dzień już był awansowany, gdyż na mojej drodze spotkałam dużo ludzi. Zwróciłam się do grupy Żydów, których poznałam dzięki opaskom, opowiadając im o wysiedleniu z Radomyśla i naturalnie naszej ucieczce. U nich dowiedziałam się prawdy, w jaki sposób mogę moich starych rodziców wprowadzić do miasta, żeby ich nie zauważono. Na ulicach Dąbrowy zauważyłam dużo policjantów tego rana. Ja od razu poczułam, że wzbudziłam litość u jednego Żyda, który się zaofiarował powrócić ze mną, żeby mi wskazać bezpieczną drogę. On nas zaprowadził bezpośrednio do jego domu, ponieważ nie mieliśmy żadnych krewnych w Dąbrowie²⁴. Zmęczeni, bladzi, drżący z obawy szliśmy za nim. Na nasz widok jego rodzina wybuchła płaczem. Do mnie zaś doszły szepty, że ich również czeka podobny los. Pogłoska bowiem się rozpowszechniła w mieście, że w Dąbrowie ma się odbyć wysiedlenie. Podzieliłam tę nowinę z mężem i od razu się udałam do Judenratu, żeby się ewentualnie zameldować. Mój mąż miał za zadanie

przygotować rodziców do tych nowin i razem z nimi powziąć stosowną decyzję.

Zaledwie uchyliłam drzwi do wyjścia, gdy młody chłopak, dygoczący jak liść, wślizgnął się do wnętrza, jękając się, że w mieście jest obecnie obława, że SS przybywający z Tarnowa oblężyli miasto, aresztując przechodzących Żydów, których ładują do ciężarówek, zabierając ich do Pustkowa.

W mieszkaniu mężczyźni pośpieszyli do piwnicy, żeby się ukryć. Między nimi mój ojciec, zrywając się z łóżka, na którym odpoczywał. Zapewniając mu, że w domu mężczyźni są bezpieczni, wyszłam, aby zbadać sytuację. Na samym progu zauważyłam okrutne widowisko, które mi tamowało oddech. Trzy trupy leżały na ziemi. Nie potrzeba wspominać, że to byli Żydzi: jeden starszy i dwaj młodzi chłopcy. Dowiedziałam się od przechodzących, że od rana już było około dziesięciu zabitych i że SS ścigają nadal Żydów.

Uciekamy z Dąbrowy

Widząc tylu zabitych, natychmiast zrozumiałam, że trzeba bez zwłoki opuścić to piekło, ale dokąd się udać? Na miejscu znalazłam ideę. W prywatnym obozie „Baum et Loesch” w okolicy Mielca znajdują się już pewne rodziny z Radomyśla, które się tam dostały przed wysiedleniem dzięki kolosalnej opłacie. W urzędzie pracy w Mielcu znalazłam polskiego urzędnika, który mi może pomóc. Jeżeli szczęście nam będzie sprzyjało i za większą sumę pieniędzy uda nam się momentalnie ocalić. Weszłam natychmiast do nieżydowskiego sklepu, prosząc, żeby mi pozwolono zatelefonować.

Mój znajomy urzędnik w Mielcu zgodził się na moją propozycję. Przyrzekłam mu wszystkie dobra, które zostawiliśmy u Szczurka w Dulczy W[ielkiej], które pojedziemy razem odebrać, w zamian on się postara posłać nam półciężarówkę z firmy „Baum et Loesch” do Dąbrowy, która nas zabierze do obozu. Po zarejestrowaniu mego delikatnego projektu on prosił o dwugodzinny namysł, przyrzekając mi, że zrobi wszystko, co tylko będzie w jego mocy.

Urzędnik ten był jednym z rzadkich uczciwych Polaków, do którego miałam pełne zaufanie.

On mnie wyznaczył spotkanie na 14 godzinę przy telefonie. Ja mu naturalnie dałam nr telefonu, skąd do niego dzwoniłam. Czekałam całe popołudnie na telefoniczną odpowiedź. Dopiero o 18 godzinie telefon dla mnie zadzwonił. Dowiedziałam się, że wszystko zostało jak najlepiej zorganizowane i że półciężarówka przyjedzie po nas nazajutrz o godz. 11. Co za szczęście! Zakrzyknęłam, my jesteśmy ocaleni.

Tą dobrą nowiną podzieliłam się z właścicielem sklepu, który mi pozwolił u siebie telefonować. Ten ostatni był również burmistrzem w Dąbrowie. Kiedy się dowiedział, że dopiero o 11 rano przyjadą po nas, on mi powiedział: niestety za

późno. Na moje pytanie dlaczego, on się długo namyślał – czy może mieć do mnie zaufanie – żeby mi powierzyć sekret. Jutro będzie za późno. Żydzi z Dąbrowy doznają tego samego losu jak wy w Radomyślu. Według niego powinniśmy opuścić tej nocy Dąbrowę, dodając: szczęście wam dotychczas sprzyjało, „życzę wam dużo szczęścia na przyszłość”.

Po tej rozmowie ja natychmiast zadzwoniłam do urzędnika do Mielca, prosząc go, żeby nam natychmiast przesłał półciężarówkę, że jutro będzie za późno. On niestety nie mógł zmienić daty. Radził nam się ukryć u jakiegoś wieśniaka w okolicy, dając mu dokładny adres.

Niestety, byliśmy obcymi w tym mieście i nie było mowy zaryzykować coś w tej okolicy.

Zawiedziona, wróciłam, aby odszukać rodzinę, którą znalazłam jeszcze ukrytą w piwnicy.

Mój smutny wyraz twarzy mnie zdradził i mój ojciec pierwszy mnie zapytał, co się stało. Czas upływał, nie ma mowy dłużej ukrywać smutną prawdę. Trzeba natychmiast stąd uciec, jutro rano o godzinie 6 odbędzie się wysiedlenie z Dąbrowy, przy tym my jesteśmy tu nielegalnie.

Serce mi krwawiło, obserwując ojca. Załedwie się trzyma na nogach po całonocnym „spacerze” i ukryty w piwnicy przez cały dzień. On musi na nowo przedsięwziąć trudny marsz pieszo około 50 km. Postanowiliśmy więc, jak tylko noc zapadnie, wyruszyć w drogę, aby przybyć, zanim dzień się ukaże na horyzoncie, do Tarnowa i wkraść się do getta, które zostało po raz wtóry ścieśnione po kilku wysiedleniach²⁵. W tym getcie żyła jeszcze rodzina mego męża. Siostra moja z rodziną została już od dawna wysiedlona. Aby się udać do Tarnowa, trzeba było znać małe dróżki na przełaj pola, ponieważ główna droga była bardzo niebezpieczna.

W ciągu dnia usłyszałam przelotnie wiele rozmów o polskich przewoźnikach, którzy przed wojną utorowali sobie drogę do przemycania bydła. Obecnie zaś oni przeprowadzają Żydów za pewną opłatą. Ta wyprawa była niebezpieczna dla nas, ale pozostać w Dąbrowie było o wiele niebezpieczniej. Udałam się więc do jednego z tych przewoźników, który się zgodził nas przeprowadzić za 1000 złotych.

O godzinie 20 opuściliśmy ukradkiem miasto. Czekaliśmy w polu, zanim ciemna noc zapadnie, i wyruszyliśmy w drogę. Zostawiliśmy nasze ostatnie rzeczy, które mieliśmy ze sobą, ponieważ wiedzieliśmy z doświadczenia, że nawet bez paczek trudno nam będzie dotrzeć do Tarnowa. Trudno sobie wyobrazić i opisać nasze położenie. Rodzice nie byli w stanie kroku zrobić, ciągnęliśmy ich jak słupy drzewa.

Byłam przekonana, że jeżeli nawet dobrniemy do Tarnowa – oni nie przybędą żywi. Zapomnieliśmy nawet, że w każdej chwili mogą nadejść różnego

rodzaju trudności. Nasz przewodnik nas uprzedził, że droga ma potrwać 12 godzin. Nie było więc mowy o jakimkolwiek przystanku lub odpoczynku na drodze. Kiedy ojciec nam dał znać, że on się źle czuje, daliśmy mu trochę wody do picia, którą zabraliśmy jednakże ze sobą.

Dzięki jakim cudom ojciec się trzymał na nogach, jeden Pan Bóg wiedział. Podczas tej drogi zaznaliśmy różnych trudności, wszystkich nie opowiem. Jedna jednak zasługuje, żeby ją opisać.

Było to około trzeciej godzinie nad ranem, niebo było usiane gwiazdami, na wschodzie horyzont zaledwie zaczął jaśnieć. Znaleźliśmy się na dróżce, niedaleko której ciągnęła się rzeka i wzdłuż której główna droga znajdowała się, prowadząca z Dąbrowy do Tarnowa.

Nagle słychać było piekielne roztrzaskanie. Zwracamy nasz wzrok w kierunku głównej drogi, na której widzieliśmy długą kolumnę, toczącą się w kierunku Dąbrowy. Zawierała ona samochody, ciężarówki wojskowe oraz samochody pancerne. Szereg tych wozów ciągnął się wzdłuż przeszło kilometra. Łatwo zrozumieć: komisja deportacji jedzie prosto do Dąbrowy, aby wytepić Żydów²⁶.

Zdaliśmy sobie sprawę, że nam się udało na czas uciec, co też było dla nas pokrzepieniem: szczęście nam dopisywało do tego czasu. Równocześnie położyliśmy się na ziemię z obawy, żeby nas ta horda nie zauważyła. Ten odpoczynek i przywilej ujścia śmierci dodały nam zaufania i wolę kontynuowania bicia się całą siłą, aby przeżyć. Nasz przewodnik nas również zapewnił, że się zbliżamy do przeznaczonego miejsca. On nagle zakrzyknął: otóż rezerwa wody przed wejściem do miasta Tarnowa, musimy przybyć przed 6 godziną. Jak tylko się zbliżymy, trzeba będzie się ukryć w polu. On (przewodnik) wejdzie bezpośrednio do miasta poszukać rodziny męża i ją zawiadomić, gdzie się znajdujemy. Oni mają znaleźć kogoś, aby nas zaprowadzić do nich. Nasze nerwy, prawdopodobnie mocne, i wola do życia dały nam tę siłę, aby przybyć na przeznaczone miejsce. Przebiegaliśmy pojedynczo miasto aż do getta, które było zagrodzone deskami.

Oderwaliśmy jedną deskę i jakby złodzieje wkradliśmy się do wnętrza, szeptaając po drodze psalmy, które pobożni Żydzi recytują przed śmiercią. Jeżeliby ktoś nas zauważył, ryzykujemy śmierć. Co za ulga, kiedy czwórka nareszcie została połączona.

W tarnowskim getcie

Jeżeli myślicie, że w getcie mogliśmy nareszcie swobodnie oddychać, wy się mocno mylicie, ponieważ tu zaczną się prawdziwe trudności. Niezliczone prawa wychodzą, które się zmieniają bez końca. Na przykład osoby, które przekroczyły 60 lat, nie mają prawa żyć w getcie. Zanim my przybyliśmy do getta, już kilka razy

wysiedlano z Tarnowa. W ciągu ostatniego wysiedlenia wywieziono prawie wszystkich Żydów w pewnym wieku. Udało się tylko pozostać tym, których kryjówki nie zostały odkryte. Ci ludzie są jednak zdani żyć w dzień i w nocy w ich kryjówkach. Gestapo wpada niespodziewanie do domów i jeżeli odkrywa kogoś bez zalegalizowanych dokumentów, wszyscy mieszkańcy tego domu zostają ukarani deportacją.

Dowiadując się tych nowin, dostałam dreszczy, co teraz zrobić z moimi rodzicami. Biedacy czekali, aby trochę odpocząć po tej długiej podróży, ale gdzie? Trzeba natychmiast poszukać kryjówkę dla nich. Mój mąż miał ideę: Jeżeli można było kopać pod podłogą w Radomyślu, można również to samo w Tarnowie, szczególnie że jego rodzina zajmowała dwupokojowe mieszkanie na parterze. Rodzice moi zaryzykowali i położyli się do łóżka, mój mąż zaś z pomocą swoich braci i sióstr zaczął natychmiast zrywać deski z podłogi i kopać pod sypialnią jak najgłębiej. Pracowali bez ustanku przez trzy dni i trzy noce. Ta kryjówka była arcydziełem godnym architekta. Można było zaledwie zauważyć otwór do wejścia lub wyjścia. Jedynie rodzina знаła sekret istnienia tej kryjówki. Co za ulgę odczułam, wiedząc, że rodzice są zabezpieczeni.

Obecnie pozostaje nam uregulować nasze papiery, moje i mego męża. Na początku trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie, które się stawiało: Skąd przybywamy i kto nam wystawił pozwolenie przybycia do Tarnowa. Zasięgając informacji, dowiadujemy się, że za 4000 złotych możemy dostać dwie karty do pracy, upoważniające nas do wyjścia z getta, aby się udać do pracy, ale do bardzo trudnej pracy.

Praca mego męża nie miała miejsca w Tarnowie, lecz w Mościcach 10 km za Tarnowem, dokąd trzeba było się udać i powrócić pieszo. Co do rodzaju pracy – ona polegała na wyładowaniu z konwojów pociągowych wózków cementu. Codziennie musiał znieść na swoich plecach około 250 kg cementu. To jest to szczęście, które nas czekało w tarnowskim getcie. Nie mając innego rozwiązania, zgodziliśmy się chwilowo na tę pracę.

Po upływie 10 dni obaw i niepewności otrzymaliśmy nareszcie nasze karty pracy.

Codziennie rano udawaliśmy się do pracy, ja do skonfiskowanej żydowskiej fabryki konfekcji mundurów dla żołnierzy SS, mój mąż zaś szedł pieszo tam i z powrotem do Mościc. Wieczorem po powrocie ze swojej pracy był w takim stopniu wyczerpany, że nie miał siły wymówić kilka słów. Żyliśmy jednak nadzieją, że warunki się polepszą. Mąż mój był z natury optymistą i wierzącym w Boga. On czekał na łaskę Boga, szczególnie kiedy się dowiedział, że jego dwaj koledzy, którzy wzięli ślub w tym samym okresie co my, zostali wywiezieni do karnego obozu w Pustkowie, gdzie się umiera z głodu i robactwa. Ich małżonki zostały wysiedlone, nie wiedząc dokąd.

Po pewnym czasie szukaliśmy możliwości ulżenia pracy mego męża. Mój mąż, władający doskonale niemieckim językiem, został wybrany przez swoją grupę delegatem, który miał się zwrócić do inżyniera, przedstawiciela firmy, z prośbą, żeby im dostawił ciężarówkę, aby ich zawieźć i przywieźć z pracy (Tarnów-Mościce). Za pieniądze można było w tym okresie szukać względów u możliwych protektorów. On się więc przedstawił przed inżynierem, proponując mu ubranie z wełnianego materiału pochodzącego z Bielska. Po tym praca w Mościcach stała się o wiele lżejsza. Inżynier zaś zasmakował w prezentach. Otrzymując prezent, praca robotników stała się za każdym razem łagodniejsza. W getcie dni dla nas powoli upływały. Na ogół życie było okropne. Żaden dzień nie przeszedł bez ofiar. W żaden sposób nie można było znaleźć powodu, dlaczego tamten został zabity, a nie ten. To wszystko było zagadką. Wstając rano, udając się do pracy, nie było się pewnym, że się powróci żywym. Nasze myśli były stale zajęte obawą śmierci. Ale to wszystko nie było jeszcze najgorsze.

Po upływie 4 tygodni naszego pobytu w tarnowskim getcie rozeszły się pogłoski, że getto ma dostarczyć 20 000 Żydów dla gestapo do wysiedlenia. Porównując do getta w Bochni, które miało dostarczyć 30 000, było [to] dla nas ulgą... W tym samym czasie otrzymaliśmy pierwsze wiadomości od naszych sióstr, które wyjechały ukradkiem przed wysiedleniem Radomyśla z ich rodzinami do getta w Bochni. List nam doniósł, że będąc w nielegalnej sytuacji, jedna z sióstr ma zamiar udać się ukradkiem do Kongresówki, aby się wkraść do Tarnowskiego getta.

Prócz nas mój szwagier miał jeszcze brata w getcie, który jeszcze przed wojną mieszkał w Tarnowie. Był to syn Mendla Honiga, u którego oni mogli zamieszkiwać. (Problem mieszkań był bardzo trudny. Trzy rodziny około 18 osób tłoczyły się w jednym pokoju). Zaczęliśmy się więc przygotowywać do następnego wysiedlenia; to znaczy zaczęliśmy budować kryjówki na te przyszłe okropne dni. Zobaczymy, jaki los czeka każdego z nas.

Wielkie wysiedlenie z Tarnowa

Wysiedlenie było przewidziane na poniedziałek pośrodku miesiąca sierpnia.

Wszyscy Żydzi dostali rozkaz zgromadzenia się o 9 rano na placu (dworcu autobusów), którego nazwa była „Nowa”. Na tym placu zostaną wybrani ci, którzy mają pozostać, i ci, którzy zostaną wysiedleni. Poprzedniego dnia wszyscy aktywni zmuszeni byli się zgłosić ze swoimi kartami pracy do biura pracy na kontrolę. Te karty, które trzeba było zostawić do zapieczętkowania, i to już po raz wtóry, miały nam zostać zwrócone przed ranem za pośrednictwem żydowskiej policji. Trzeba przez to zrozumieć, że nie wszystkie karty dostaną tę „sławną” pieczętkę i to oznaczało „wysiedlenie”.

Każdy z nas czekał z niecierpliwością przez całą noc, żeby znać swój los. Kartę moją przynieśli mi o godzinie 1 w nocy. Mąż mój dopiero dostał o godzinie 7 rano. Wyobraźcie sobie moje uczucie. Miałam się więc zgłosić na placu sama, bez męża. On zmuszony był się ukryć razem z rodzicami, którzy z powodu ich starszego wieku nie mieli więcej prawa istnienia w getcie. Mąż mój, który normalnie pracował dla Niemców w Mościcach, nie otrzymawszy z powrotem jego karty pracy, ryzykował wysiedlenie razem z innymi, skąd nikt do tego czasu jeszcze nie powrócił.

Gotowa do wyjścia, usłyszałam pukanie do drzwi. Serce moje przestało bić z obawy, że to może być gestapo, szczególnie że nasza kryjówka nie była jeszcze zupełnie zamaskowana. Szczęście mi również i tym razem sprzyjało. To nie było gestapo, lecz żydowski policjant, który nam przyniósł zapieczętkowaną kartę męża. Na placu trzeba było być punktualnie, mój mąż miał wyjść z kryjówki i zmienić swoje ubranie.

Byliśmy zrozpaczeni, żegnając się z rodzicami, których zostawiliśmy samotnych w kryjówce.

Na drodze spostrzeżliśmy patrole SS, które odwiedzały każdy dom. Podnieśliśmy ręce, pokazując im opieczkowane karty pracy, ale oni nam kazali iść za nimi. W drodze zaczęli nas wypytywać, czy myśmy nie ukryli kogoś w domu. Niestety, nasza negatywna odpowiedź ich nie zadowoliła. Musieliśmy powrócić z nimi do domu. Zaczęli u nas szukać, rozrzucając łóżka, otwierając szafę, zaglądając pod łózkami. Uderzali cholewami w podłogę. Cud, że nie podnieśli chodnika, który zakrywał otwór do kryjówki. Ukryci w kryjówce zaczęli modlitwę, którą Żydzi, czując nadejście śmierci, odmawiają. Niezadowolony patrol kazał nam wyjść. Na ulicy spotkaliśmy dużo ludzi, którzy szli w kierunku placu, po największej części sami, bez eskorty SS.

Kiedy przybyliśmy na wyznaczone miejsce, znaleźliśmy już setki osób ustawionych w długich szeregach. Kobiety i mężczyźni nieposiadający zatwierdzonych kart pracy z jednej strony, inni zaś bez kart klękali na przeciwnej stronie placu. Myśmy się ustawili w szeregu ważnych kart, gdzie czekaliśmy długie godziny, które się ciągnęły bez końca pod płonącym słońcem.

W międzyczasie szeregi bez przerwy się powiększały, ponieważ patrole odkrywały kryjówki, w których znaleźli legalnych i nielegalnych, którzy bojąc się wysiedlenia, woleli się ukryć.

Ludzie ci byli zaniedbani, porozpinani, bladzi, ośpiali. My również powoli zaczęliśmy tracić naszą równowagę, wiedząc, że nasi się znajdują w niebezpieczeństwie. Ta masa ludzi czekała do późnego wieczora. Jedni stali, a inni klękali. Kiedy noc zapadła, panika wybuchła w tym zgromadzeniu. Po zliczeniu ilości klęczących osób okazało się, że brakuje większej liczby do żądanej przez SS liczby 5000 osób. SS przerwali poszukiwanie po domach. Oni jednak szybko

znaleźli radę, aby skompletować liczbę. Zwrócili się do szeregu mających legalne karty, zabierając kobiety z dziećmi. Nie mając jeszcze pełnej liczby, oni wybrali znowu kobiety, które w ich oczach nie były przy najlepszym zdrowiu.

Po przeglądnięciu szeregu, w którym ja się znalazłam, komisja przeszła szereg, gdzie się znalazł mój mąż i jego trzy siostry. Całe rodziny zostały rozdzielone. Jak zwykle jeżeli ktoś się temu przeciwstawił, on został na miejscu zastrzelony. Noc zapadła, kiedy to nieszczęsne widowisko się nareszcie skończyło. Jak opisać atmosferę, która panowała w tym skurczonym getcie, gdzie wszystkie rodziny zostały poszarpane na kawałki...

Z powodu wstrząsu przed samotnym życiem liczni stracili rozum. Inni walczyli o własne życie. Ja zaś, Bogu dzięki, zostałam z moim mężem i jego rodziną.

Getto tarnowskie się ścieśniało, kiedy nieszczęścia wzrastały

Liczne problemy zaczęły się wynurzać w getcie. Wysły nowe rozporządzenia zmniejszania getta, była również mowa, żeby zmienić aktualne miejsce getta. Otworzono budynki, w których mieli żyć robotnicy każdej firmy z osobna. Przy tym oddzielono mężczyzn od kobiet. Budynki dla mężczyzn zostały oddzielone od budynków dla kobiet kolczastymi drutami. Od tej chwili nie można było spotkać swojego męża lub brata.

Problem staje się tragiczny dla tych wszystkich, którzy ukrywają swoich bliskich w kryjówkach specjalnie wybudowanych w swoich pokojach. Gdzie więc umieścimy teraz naszych rodziców; to zmartwienie odrywało nas ze snu. Postanowiliśmy zasięgnąć informacji u tych, których budynek my mieliśmy zająć, czy się w nim nie znajduje kryjówka.

Okazało się, że ich piwnica była urządzona do tego celu. W dzień przenieśliśmy nasze skromne dobra moich [bliskich] oraz tych szwagierek, ponieważ pracowaliśmy w tej samej fabryce konfekcji dla SS. W nocy zaś, kiedy było bardzo ciemno, przeprowadziliśmy pojedynczo moich rodziców, moją siostrę, która wróciła z mężem i swoim 2-letnim synkiem, oraz rodziców męża.

Nasze szczęście było, że robotnice, które zajęły razem z nami blok, miały swoich nielegalnych do ukrycia. Każdy bowiem z nas ryzykował swoje życie w wypadku odkrycia u nas tych „nielegalnych”. Świadomi byliśmy tego ryzyka, ale mieć swoich bliskich przy życiu przedstawiało dla nas większe znaczenie niż nasze własne życie.

Naszych mężczyzn mogliśmy spostrzec przez kolczaste druty. Nasi rodzice zaś żyli w dzień i w nocy ukryci w piwnicy, gdzie mieli ich łóżka i ich prowiant. Żyli bez dziennego światła, bez powietrza i w stałym strachu. Oni byli uprzedzeni, że robotnice – ich dzieci – wychodzą z domu rano i że można ich zastrzelić przy

pracy, w razie gdyby u nich znaleziono trochę masła lub bochenka białego chleba. (Te bowiem produkty można było kupić tylko poza gettem). Co się stanie z nimi w piwnicy bez swoich dzieci na gorze w pokoju?...

Upłynęło kilka tygodni w tym codziennym wyczerpującym życiu, aż do dnia, kiedy grupa gestapo przybyła do naszej fabryki i zabrała ze sobą część robotników, mimo ich legalizowanej karty pracy. Przeżyłam ten dzień od rana do wieczora w obawie, czy po powrocie do domu znajdę mego męża i moich bliskich ukrytych w piwnicy mego bloku. Moje przecucia na mnie okropnie ciążyły. Niestety, ja się nie pomyliłam. Wieczorem po powrocie do domu znalazłam piwnicę otwartą i próżną. Około 20 osób, z którymi się rano pożegnaliśmy – więcej nie było. Kiedy mój mąż powrócił ze swojej pracy, on również nie wiedział, że tego dnia i podczas naszej nieobecności odbyło się wysiedlenie w getcie.

Mego stanu nie można było opisać. Dwuletni wysiłek, aby utrzymać przy życiu rodziców i moją siostrę z rodziną, jak długo będę sama przy życiu, nie posłużyło na nic. Przestałam się odżywiać, nie mogłam spać, przy tym sama jedna, mój mąż oddzielony ode mnie, co dla mnie teraz przedstawia życie. Moje dwie szwagierki, one również wyczerpane, ponieważ ich rodzice znaleźli się wśród wysiedlonych z piwnicy, robiły wszystko, co tylko było w ich mocy, aby mnie utrzymać przy życiu.

Kilka dni później po powrocie z naszej pracy, kiedy otworzyłam ciężką bramę, kierując się do wejścia do mojego bloku, usłyszałam z wnętrza głosy żydowskiego policjanta, pytającego, czy tu mieszka pani Rosenblatt Hela, żona Abrahama Rosenblatta. W tej samej chwili ja się udałam do klozetu, który się znajdował z podwórku. Echo mego imienia wprawdzie słabo dotarło do mnie, zrozumiałam jednakże, że nie mogę oczekiwać dobrych nowin. Ja się szybko ukryłam w kącie za drzwiami prowadzącymi do podwórka. Wstrzymałam mój własny oddech, kiedy nagle te drzwi od podwórka się otworzyły. Noc była ciemna i policjant mnie nie zauważył. Wróciłam do mego bloku, jak tylko usłyszałam zamykanie bramy. Dowiedziałam się więc, że szukają męża. Nie mogąc go znaleźć, gestapo zarządziło zatrzymać żonę jako zastaw. Dowiedziałam się również, dlaczego szukają mego męża. Przed tym opowiadałam, że mój mąż okupywał inżyniera, który kierował fabryką, gdzie on pracował w Mościcach, ofiarowując mu różne prezenty, i to aby go skłonić do ulżenia jego grupie od bardzo ciężkiej pracy. Do tego dnia wszystko jak najlepiej przeszło. Tym razem inżynier zażądał aparatu fotograficznego „Leica”, w zamian on przyrzekł im dostarczyć ciężarówkę, która przyjedzie zabrać grupę z Tarnowa do Mościc i ich zawieźć z powrotem do pracy. Udało się kupić ten żądany aparat u Polaka poza gettem. W dniu kiedy mój mąż wręczył aparat inżynierowi, jego sekretarka była obecna w biurze. Ten inżynier miał najprawdopodobniej pełne zaufanie do swojej niemieckiej sekretarki.

Tego samego jednak wieczora Judenrat dostał telefoniczny rozkaz

aresztowania mego męża. Pewnym jest, że sekretarka wydała inżyniera i mego męża, ponieważ tego samego wieczora zaraz po swojej pracy i zaledwie kilka minut przed powrotem do bloku mój mąż zaofiarował prezent. (Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że inżynier został zmieniony przy pracy). Mojego męża czekała śmierć za ten popełniony czyn.

Jak tylko usłyszałam tę „nowinę”, ja się ukryłam w piwnicy wypełnionej węglem do ogrzewania, która się znajdowała w bloku przyjaciela z Radomyśla, Szymona Federa. Moje zaś dwie szwagierki udały się na przystanek ciężarówek, aby uprzedzić ich brata. Ciężarówka się wówczas znajdowała w powrotnej drodze z Mościc. (Podróż bowiem trwała dwie godziny). Kiedy mój mąż zaledwie wyszedł z ciężarówki, on został natychmiast uprzedzony i zaprowadzony do piwnicy, w której ja się ukrywałam.

My po raz wtóry szukaliśmy środka, aby uniknąć śmierci. Nie było rozsądnie dłużej się ukrywać w tej zimnej, wilgotnej piwnicy. Możemy tu zachorować. Getto może również zostać na nowo ścieśnione. W końcu nic nas więcej nie przywiązuje do getta. Rodziców tu więcej nie mamy.

Dowiedzieliśmy się przez Szymona Federa, który nas codziennie odwiedzał w jego piwnicy, przynosząc nam żywność, że Jankiel Eisig, również z Radomyśla, znajduje się nielegalnie w getcie. On się zajmował wyprowadzaniem ludzi z getta, przeprowadzając ich do wioski Dulczy Małej obok Radomyśla. On znał wieśniaków, którzy ukrywali Żydów za opłatą wielkiej sumy pieniędzy. Za pośrednictwem Szymona Federa weszłam w kontakt z Jankielem Eisigiem, który był również moim dobrym przyjacielem, z którym się umówiłam, że nas zabierze przy następnym przejściu. Trzeba było przeczekać kilka dni, ponieważ Jankiel miał w Tarnowie pewną sprawę likwidować. Przez ten czas myśmy się ukrywali. Żydowska policja dostała kategorię rozkaz nas natychmiast dostawić. Nie mogąc nas znaleźć, rozkazano uwięzić siostry męża, aby je zmusić do wydania naszej kryjówki. Mimo że bili ich prawie na śmierć, one nas nie zdradziły. My jednak w międzyczasie zmieniliśmy naszą kryjówkę, byliśmy bowiem pewni, że Niemcy zwolnią siostry męża z więzienia, ponieważ według niemieckiego prawa siostra nie jest odpowiedzialna za żonatego brata. Faktycznie, po kilku dniach więzienia siostry mego męża zostały zwolnione. Byliśmy świadomi, że trzeba było jak najszybciej opuścić tarnowskie getto. W sobotę późno w nocy przekroczyliśmy wysoki mur, który okrężał getto. Przechodziliśmy przez lasy i pola około 50 km, aż do Dulczy Małej.

Do gniazda donosicieli i szarlatanów

Każda chwila była śmiertelna, każdy krok był niebezpieczny. My jednak nie mieliśmy nic do stracenia, szczególnie że w getcie śmierć na nas czatowała.

Obeszliśmy męczącą drogę bez żadnych zająć. Nad ranem zapukaliśmy do wieśniaka, który nam otworzył drzwi. Po tym kiedy mu wręczono dużą sumę pieniędzy, on nam pozwolił wejść do domu. Podczas rozmowy okazało się, że on przechowuje innych Żydów, których on nam od razu przedstawił. Kiedy ich zobaczyłam, strach mnie ogarnął, byli to bowiem mężczyźni z bardzo niskiej sfery, niebezpieczni donosiciele w mieście, jak Zalman Storch, dorożkarz, i inni jemu podobni (oni zostali później zastrzeleni).

Na ich widok nasze serca biły anomalnym rytmem, ale trzeba było się opanować. Brak szczęścia, tym razem wpadliśmy do pszczołojadu. Żyliśmy razem pod tym samym dachem przez dwa długie tygodnie. Oni pracowali razem z wieśniakiem, ograbiając nas z resztek odzieży. Zostawili nas w ubraniu, które mieliśmy na sobie. Opowiadali nam historię, że widzieli wchodzących do kryjówki hultajów, w czasie kiedy my weszliśmy do kuchni na obiad.

My doskonale wiedzieliśmy, kim byli ci hultaje. Zdecydowani byliśmy opuścić to miejsce, szczególnie że ta banda szybko zrozumiała, że nasze pieniądze trzymamy na sobie wszyte w ubraniu, które stale nosimy. Byli więc gotowi nas zabić i przywłaszczyć sobie nasze ubrania. Okazało się, że wieśniak był również bandytą. Pewnego popołudnia, powracając z miasta Radomyśl, gdzie spędził swój czas w szynku w towarzystwie policjanta, który pracował dla Niemców, wywołał nas z kryjówki. Ten wieśniak nam oświadczył, że się dowiedział w mieście, że policja jest poinformowana, że on przechowuje Żydów i że musimy opuścić jego dom. (To miało miejsce u Józefa Szozika). Zanim on nas odprawił, mieliśmy zamiar go opuścić, ale byliśmy zrozpaczeni, spoglądając przez okno i widząc rozległe pola pokryte śniegiem i szyby okien pokryte szronem. Było to w styczniu 1943 roku, zostaliśmy bez butów, bez płaszców. Odczuwam jeszcze teraz dreszcze, wspominając ten dzień. Nie znaliśmy nikogo w tej wiosce. Mój mąż pochodził z Bielska, ja również nie znałam okolicy Radomyśla, ponieważ moje młodzińcze lata spędziłam w Tarnowie.

Nie pozostało nam nic innego, jak zaryzykować nasze życie i na nowo pukać do nieznanym nam domów. Może się ktoś nad nami zlituje i pozwoli nam wejść na tę mroźną noc. Przykro było ogromnie, ponieważ zdarzały się wypadki, że wieśniacy dali momentalny przytułek Żydom, aby ich potem zadenuncjować. Drżeliśmy z zimna i z obawy. Nikt nas nie chciał wpuścić.

Na wybrzeżu wioski (Dulczy Małej) naprzeciwko małego lasu znajdowała się stara chata. Stąd uboga wieśniaczka odpowiedziała nam na nasze błagalne słowa w środku zimnej nocy. Widząc nas drżących z zimna, wpuściła nas po tym, kiedy zaproponowałam jej dużą sumę pieniędzy. Kazała nam się wspinać na strych wypełniony sianem, gdzie przeciąg obiegał wszerek i wzdłuż. Było nam tak zimno, że szczękaliśmy zębami. Postanowiliśmy zejść z tego strychu i wejść do stajni, aby się wyrwać z tego wiatru, który nas przenikał do szpiku kości. Mimo wyczerpania

nie mogliśmy jednak zasnąć, ponieważ baliśmy się jutra. Różne fakty mogły bowiem zaistnieć. Wieśniaczka mogła nas wydać Niemcom, denuncjacja była płatna 500 zł za każdego Żyda²⁷. Mogła nas również wyrzucić. Niebezpiecznie było przechowywać Żydów.

Byłam osobiście moralnie i fizycznie tak bardzo wyczerpana, że miałam jedyną ideę zgłosić się sama do najbliższego komisariatu policji. Przy tym byłam opętana obsesją, że nas prześladowuje nieszczęście; po cóż niepotrzebnie dłużej cierpieć. Mój mąż, optymista z urodzenia, nie pozwolił mi się poddać. Zaczął mnie przekonywać, że jesteśmy młodzi, że mamy przed sobą przyszłość, że wybudujemy sobie dom i założymy rodzinę, dzięki naszym wspólnym zdolnościom. Jego słowa mnie ogrzały i wróciły mi zaufanie.

W stajni czekaliśmy nadejścia dnia, żeby nam wieśniaczka kazała opuścić dom. Stało się jednak na odwrót. Rano wieśniaczka weszła do stajni i zaczęła nam opowiadać, że ona dobrze zna moją matkę, że ona często kupowała towar w naszym sklepie. Kiedy ja jej zaproponowałam, że my jej zapłacimy za dłuższy pobyt u niej, ona nas ukryła w rupieciarni. Ona wyraziła swoje politowanie, żalując, że źle wyglądam. Byliśmy brudni, nie mając okazji się umyć. Żyliśmy tu w ciągłym strachu, ponieważ usłyszeliśmy głosy odwiedzających ich cudzoziemców przyjętych w jednym pokoju, gdzie żyła rodzina składająca się z 7 osób.

Pewnej niedzieli, korzystając z okazji, kiedy cała rodzina udała się do kościoła, weszliśmy do tego pokoju, aby się trochę umyć. Zaskoczeni zostaliśmy na widok sąsiadki (mieszkała naprzeciwko), która nas zauważyła przez okno.

Zmuszeni byliśmy opuścić naszą kryjówkę tej samej nocy. Myśmy się później dowiedzieli, że nasza wieśniaczka została zadenuncjowana, ponieważ nazajutrz policja do nich przybyła, przewracając całą chatę, aby znaleźć ukrytych Żydów. My na nowo zaczęliśmy wędrować po całej wiosce, pukając do wszystkich drzwi. Tym razem byliśmy jednak cieplej ubrani, ponieważ pewnej nocy udałam się do Radomyśla, aby odebrać pewną odzież, którą zostawiłam u znajomych Polaków.

Do późnej nocy usiłowaliśmy znaleźć trochę szczęścia, pukając tu i tam, niestety bez rezultatu. Nikt nie wyszedł zobaczyć, kto puka. Nagle otworzono drzwi, żeby nam pozwolić wejść. Ten wieśniak mnie poznał i politował się nad nami.

Przyjął nas serdecznie i ukrywał nas na strychu przez długi okres czasu. Nikt nie wiedział o naszej obecności na górze. My zaś nie widzieliśmy dziennego światła przez ten okres. Nawet w nocy baliśmy się wyjść na powietrze, żeby nas nie zauważono. Płaciliśmy Adamowi Kokoszce 50 \$ miesięcznie. Nie posiadaliśmy już w tym okresie dużo pieniędzy. Daliśmy mu jednak pewną sumę od razu, aby się zabezpieczyć, że on nas ukryje jak najdłużej. Dnie spokojnie upływały, nie było szczęśliwszych na świecie...

Pewnej niedzieli, podobnej do innych, zesliśmy do kuchni (jedyne pokój) trochę wyprostować nasze nogi. Przyjeliśmy ten zwyczaj, ponieważ cała rodzina udawała się na mszę do kościoła w Radomyślu.

Drzwi chaty były zamknięte. Nagle usłyszeliśmy pukanie. Myśmy się nie poruszyli z miejsca, ale pukanie stawało się coraz silniejsze... Nasze serca przestały bić z obawy. Zgnieceni w kącie tej jedynej izby, żeby nas nie móc ujrzeć przez okno, usłyszeliśmy kobiecy głos: „nie chowajcie się, ja was widziałam, jeżeli chcecie, żeby was nie wydać policji, trzeba mi zapłacić”. My jednak nie daliśmy znaku życia.

W obiadowej porze, po powrocie naszych gospodarzy z dziećmi, myśmy im to wszystko opowiedzieli. Wieśniaczka od razu zrozumiała, że to nikt inny jak sąsiadka z naprzeciwka. Zdumiona zresztą była, że ona jej nie spotkała w kościele, jak zwykle co niedzielę. Ta sąsiadka więc specjalnie została, żeby nas szpiegować.

Po upływie krótkiego czasu ta sąsiadka wsunęła głowę do otwartego okna (otworzone przez naszych właścicieli), spoglądając do kąta, gdzie my siedzieliśmy na ławce. Daliśmy jej natychmiast pieniądze, żeby ona nikomu nie opowiadała o naszej obecności. My jednak na miejscu zdecydowaliśmy jak najszybciej opuścić ten dom. Niebezpieczeństwo nam groziło.

Postanowiliśmy się udać nazajutrz pieszo do okolicy Mielca, gdzie się znajdowało poprzednio wspomniane przedsiębiorstwo „Baum et Loesch”. W tym obozie znajdowali się jeszcze Żydzi z Radomyśla. Nasz gospodarz A[dam] Kokoszka miał nas zaprowadzić, ponieważ my nie znaleźliśmy drogi. On miał nas wyprzedzać około 50 kroków. Mój mąż miał pójść za nim z jednej strony drogi, ja zaś naprzeciwko niego.

Ten „spacer” zmuszeni byliśmy wykonać w jasny dzień, ponieważ godzina policyjna była obowiązkowa, szczególnie że w tej okolicy znajdowały się fabryki wojskowych materiałów. Ubrałam się jak wieśniaczka, mój mąż jak wieśniak. Niestety, jego wygląd nie był podobny do Polaka. On miał ciemną cerę, oczy i włosy brunatne. W każdym bądź razie liczyliśmy na szansę, żeby nas nie zauważono. Z przyspieszonym rytmem serca szliśmy bez ustanku po głównej drodze, z podniesioną głową. Jeżeli się ktoś odwrócił, żeby nas lepiej zaobserwować, myśmy dalej szli, nie zwracając na to uwagi. Najgroźniej było przejść miasto Mielec, gdzie już od półtora roku żaden Żyd się więcej nie znalazł. Ja szłam na lewym trocieńniku, mój mąż na prawym. Przeszliśmy obok biura pracy, biura gestapo i innych niemieckich budynków. Nagle widzę, że Niemiec w wojskowym mundurze odwrócił się, obserwując mego męża, który mu się wydał podejrzany. Serce moje biło coraz szybciej. Mój mąż się uklonił, zdejmując swój kapelusz i dalej szedł naprzód.

O godzinie 17 przybyliśmy do obozu. Zięć Taffla był osobą, do którego inżynier „Baum et Loesch” miał pełne zaufanie. On nas natychmiast wprowadził

do obozu. Zapłaciliśmy żadaną sumę w dolarach, żeby nas zalegalizował. On nas zapewnił, że od tej chwili my będziemy traktowani podobnie jak dawni robotnicy. Wszyscy obecni z Radomyśla nas gościnnie przyjęli. Spotkaliśmy tam dzieci Taffla, p. Schmajową z obydwoma córkami i innych. Znalazły się tam również osoby w podeszłym wieku. Przygotowali nam królewski posiłek. Znajdowało się masło, ser, jajka i nawet owoce. Od czasu wysiedlenia z Radomyśla myśmy tego nie widzieli. Wyznaczyli mi łóżko z czystą pościelą i wełnianym przykryciem w damskim baraku. Już dawno nie spałam w prawdziwym łóżku. Mój mąż miał te same warunki. Słońce dla nas zaświeciło, ja sobie pomyślałam.

Codziennie trzeba było wstawać nad ranem, aby się udać do pracy, kopać okopy na przekrój lasu lub rozbijać kamienie. Budowano drogę na przekroju lasu, prowadzącą do Kolbuszowej. Cała nasza grupa została pilnowana przez Polaków, już dawno przekupionych przez Żydów. Myśmy się szybko przyzwyczaili do tych warunków, mimo zmęczenia po tej ciężkiej pracy. Byliśmy nareszcie szczęśliwi, wolni, nie będąc ukryci w dzień i w nocy. Niezależni więcej od dobrego lub złego usposobienia wieśniaków. Przestać nareszcie mieć czarne myśli.

Kilka tygodni upłynęło aż do dnia, kiedy po powrocie z pracy odwiedziło nas gestapo z Mielca. Tego rodzaju wizyty były bardzo rzadkie, poinformowali nas dawni w obozie. Szukaliśmy zrozumienia i celu tej wizyty. Nagle usłyszeliśmy przez rozgłośnik nazwisko mego męża. Wołają nas i szukają nas ze wszystkich stron.

Podwórze było okrążone kolczastymi drutami. Nie trzeba tracić czasu. Mój mąż mnie wziął za rękę i przyspieszającym gestem pociągnął do oddalonego kąta. Podniósł mnie całą swoją siłą i popchnął mnie na drugą stronę bariery (ja się mocno okaleczyłam). Kiedy się znalazłam po tamtej stronie, on ją również zręcznie przeskoczył. Bez wypowiedzenia ani jednego słowa oddaliliśmy [się] coraz bardziej od obozu. Mieliśmy szczęście, że obóz się znajdował pośrodku gęstego i długiego lasu, który oddzielał Mielec od Kolbuszowej. Myśmy się zagłębili w tym lesie pośród tych wysokich drzew i otaczających nas krzaków. Szliśmy, szliśmy bez końca pod padającym deszczem. Zmoczeni byliśmy do kości. Noc zapadła, robiło się coraz ciemniej. Nie znając naszej dyrekcji, postanowiliśmy przeczekać pod drzewem do rana. Nad ranem zaś mieliśmy zamiar skierować się do naszego obozu, aby się dowiedzieć, co się stało z nielegalnymi, ponieważ nie byliśmy jedyni powołani przez gestapo. Oni mieli długą listę. Byliśmy bowiem zainteresowani, czy możemy powrócić dalej żyć i kontynuować pracę.

Trzeba było być bardzo ostrożnym w naszym postępowaniu. Mieliśmy wrażenie, że ta noc się nigdy nie skończy.

Kiedy pojawił się pierwszy promyk na horyzoncie, ruszyliśmy w drogę w kierunku okopów, gdzie myśmy pracowali. Nasza grupa już była na miejscu. Z daleka zauważyłam przyjaciela, kiedy w tym samym momencie on nas również

zobaczył. Zbliżył się do nas, aby nas uprzedzić, żeby się natychmiast gdziekolwiek ukryć, ponieważ dyrekcja obozu dostała rozkaz z gestapo, aby nas szybko dostawić. Ona nas już poszukuje.

Wygłodzeni, pozbawieni siły do stawienia jakiegokolwiek oporu, zostaliśmy bez słów. Co dalej robić? Jedyna idea trochę nam jednak dodała siły, wczoraj udało nam się ująć śmierci, ponieważ 13 Żydów, którzy się zgłosili stosownie do apelu gestapo, zostali na podwórzu obozu zastrzeleni. Wśród nich znalazł się syn Szlomy Nerda oraz rytualny rzeźnik z Radomyśla. (Oni się również do tego czasu ukrywali u wieśniaków i zostali zadenuncjowani. Przybyli więc się schronić w tym obozie).

Uszliśmy śmierci, ale obecnie nie posiadamy dachu nad głową i cierpimy z głodu.

Przed wojną doszły nas echa, że pewni bandyci ukrywają się w wykopanych przez nich grotach, w lasach. My również sobie wykopimy grotę, ale jakimi narzędziami? Przyszła nam myśl, kiedy noc zapadnie, udamy się na miejsce, gdzie pracowaliśmy dla firmy. Tam się znajdują zamknięte skrzynie z różnymi narzędziami. Oderwiemy kłódkę i wyjmiemy niezbędne nam narzędzia. Wiedzieliśmy, że czyn ten spowoduje pościg za złodziejem i sami się narazimy na niebezpieczeństwo. Ale jakie inne rozwiązanie nam pozostaje...

Z nadzieją, że nie spotkamy nikogo na drodze, wypełniliśmy nasz projekt. Wybraliśmy sobie potrzebne narzędzia, jak również stosowne zarośnięte miejsce w lesie i zaczęliśmy kopać. Było to w połowie lipca 1943 roku.

Nasuwa się uwaga: Nędza kształci człowieka...

My nigdy nie widzieliśmy tego rodzaju kryjówek w głębi lasu. Instynktownie wybudowaliśmy w przeciągu trzech dni „twierdzę” pod ziemią. Nie można sobie wyobrazić naszej obawy podczas tej pracy; ponieważ zmuszeni byliśmy ścinać drzewa i je piłować i pokawałkować. Echa rozbrzmiewały w lesie coraz głośniejsze i coraz dalej. Jeszcze dzisiaj dla mnie jest zagadką, że nas wówczas nie odkryto.

Szczęście posiadać dom pod ziemią; pozostał jednak problem, jak się zaopatrzyć w żywność.

W pierwszych dniach mój przyjaciel Ascheim, dentysta z Radomyśla, nam pomagał. On nam przynosił trochę chleba z obozu, niedużo, ale to nam pozwoliło utrzymać się przy życiu. Z czasem jednak ta pomoc stała się coraz rzadsza, ponieważ on tym ryzykował swoje życie.

Z wilgoci i z głodu ja zachorowałam i zaczęłam mieć coraz wyższą gorączkę. Deszcz zaczął padać jak trąba, zalewając nam naszą kryjówek. Zostaliśmy więc bez schroniska. Zmuszeni byliśmy wyruszyć w drogę. Naszym pierwszym celem było znaleźć w najbliższej wiosce możliwość kupienia bochenka chleba.

Na naszej drodze mieliśmy różne spotkania, ale na ogół bez specjalnych zdarzeń. Myśmy nareszcie dotarli do jakiejś wioski. Uzbrojona odwaga, lękliwa

jednak, weszłam do chaty, prosząc, aby mi sprzedać bochenek chleba. Sam wieśniak się przestraszył na mój widok, ale dzięki litości się przewyciężył i sprzedał mi chleb i masło. Odważyłam się go spytać, czy gotów jest mi sprzedać następnym razem żywność. On się zabezpieczył, że nikt o tym się nie dowie, i pozwolił mi przyjść raz w tygodniu, żeby sobie zakupić na cały tydzień. Nowy błysk nadziei nam towarzyszył. Mając zapewnioną żywność, pozostaje nam poszukać inne miejsce w lesie do ukrycia się. Lasów nie brakowało w tej okolicy.

Nieszczęściem naszym było, że w tych lasach ukrywali się liczni złodzieje i bandyci, którzy rabowali ludzi spotkanych na ich drodze. Myśmy się ich strasznie obawiali. Nie znajdując jednak innego rozwiązania, wniknęliśmy do wnętrza lasu, znajdując miejsce pod gołym niebem. W obawie i w okropnym głodzie przecierpieliśmy dwa miesiące.

Moja choroba się coraz bardziej rozwijała, gorączka pożerała moje siły, nie mogłam się poruszać, zmienić miejsca, aby szukać żywności. Czułam, że moje życie się kończy. Mój mąż zaś ryzykował swoje życie, szukając żywności. Pewnego wieczoru powrócił z wioski z ogromną radością: Włosi się poddali, wkrótce Niemcy też się poddadzą. On był przekonany, że wojna się skończy najpóźniej za dwa miesiące, pod koniec jesieni. Pewne jest, że nowina jest dobra, ale jak przeżyć te dwa miesiące w trwodze, pod gołym niebem. Ja stawałam się coraz słabsza, zdarzyło mi się nawet zemdleć.

Rozważywszy to wszystko, zdecydowaliśmy po długim namyśle powrócić z powrotem do Dulczy Małej, do wieśniaka A[dama] Kokoszki, tego samego, który nam pomógł przejść drogę Mielec, aby się udać do obozu „Baum et Loesch”. Mieliśmy nadzieję, że on nas ukryje przez te ostatnie kilka miesięcy ze względu na tę dobrą sytuację polityczną.

Przede wszystkim trzeba było znaleźć przewodnika, aby nam wskazał drogę stąd, tj. miejsca, gdzie myśmy się znajdowali, aż do głównej drogi, która prowadzi z Mielca do Radomyśla. Przewodnikiem naszym stał się wieśniak, który nam sprzedawał dotychczas żywność. Droga była trudna i niebezpieczna, ryzyko było ogromne, ale rezultat mógł być pożyteczny.

Po raz drugi wybraliśmy niedzielę rano, aby wyruszyć w drogę. Tym razem trzeba było przejść rzekę Wisłokę. Do tego posłużyliśmy się promem wspólnie z innymi, którzy nas obserwowali od głowy do nóg. Tym razem nasza podróż również się udała i zapukaliśmy przed samym wieczorem do Kokoszki. Byli zachwyceni, widząc nas jeszcze żywymi, ponieważ ostatnie zdarzenia w obozie „Baum et Loesch” do nich dotarły, oni nas uważali za zmarłych.

Kiedy nas zaczęli całować, poczuliśmy się zapewnieni, że oni są znowu tym razem gotowi nas przechować na strychu. Szczęśliwa byłam znaleźć dach nad głową. Przeszanę nareszcie cierpieć od tych ciągłych jesiennych pogodowych zmian, pod gołym niebem. Polityczne położenie chwili było również pożyteczne

dla nas.

Poród w stajni

Nowy rozdział się zaczął w naszym życiu. Mamy dach nad głową. Polityczne położenie jest pomyślne, nasze życie wkrótce się zmieni dla nas. To wszystko podtrzymuje i żywi naszą nadzieję, odżywia nasze siły, tak bardzo osłabione. Niestety, nie na długo. Dnie, tygodnie i nawet miesiące upływają. Pogłoski, które do nas docierają, są dobre, ale my nie widzimy konkretnych efektów. Potrzeba radykalnej zmiany staje się nie tylko coraz bardziej nagląca, ale raczej natychmiastowa.

Staję się coraz bardziej zrozpaczona, zauważając ogromną zmianę na punkcie zdrowotnym. Okazało się bowiem wkrótce, że poprzednie zdrowotne niedomagania [stąd] pochodzą, ponieważ zaszłam w ciążę. Jakby nasz worek cierpień nie był jeszcze do tego czasu pełny...Jeszcze nam tego brakowało. Niestety, trzeba zaakceptować ten stan, nie ma innego rozwiązania w okresie, w którym się już znalazłam. Wieśniaczka, która już przeszła sześć porodów, przypuszczała, że się znajduję w 6 miesiącu ciąży. Mój mąż mnie pocieszał, że mi pozostaje jeszcze trzy miesiące do porodu. On był przekonany i nawet pewny, że wojna do tego czasu się skończy. Osobiście byłam zrozpaczona, płakałam w dzień i w nocy. Jeżeli wojna nie będzie skończona, co się ze mną stanie, gdzie będę mogła rodzić? Niemożliwym jest w jednej izbie wieśniaczki, gdzie sąsiedzi przychodzą, kiedy im się tylko zachciewa. Kto mi pomoże przy porodzie? Nie ma mowy, żeby o tym poinformować lekarza lub akuszerkę z Radomyśla. Nikt nie miał prawa wiedzieć o naszej obecności. Stawiałam sobie tyle nierozwiązanych pytań, że one odjęły mi sen.

Dnie szybko upływały i czas porodu się zbliżał. Nasi właściciele również czuli ciężką odpowiedzialność. Właścicielka na pewno stawiała sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej się nas pozbyć, aby znaleźć spokój w domu. Ona jednak była z natury uczuciowa. Jej serce nie pozwoliło jej wydalić nas z domu w moim stanie. Myśmy więc doszli do wspólnego porozumienia, że porodzę na strychu i że ona zastąpi akuszerkę. Czy ona nie porodziła sześć razy bez akuszerki?

Problemem było, co zrobić z dzieckiem. Nie było mowy, żeby je trzymać z nami na strychu. Mój mąż jeszcze przedtem znalazł ideę. Podłożyć dziecko w tej samej wiosce, przed domem jakiegoś wieśniaka. Ale pod którym? Zdecydowaliśmy więc podłożyć dziecko zaraz po jego urodzeniu przed domem bogatego wieśniaka, zwanego francuzem, ponieważ on przebywał pewien okres czasu we Francji. Myśmy się również dowiedzieli, że ten wieśniak stracił przed trzema miesiącami swego jedynego czteroletniego syna. Byliśmy nawet przekonani, że to znalezione przez niego dziecko będzie dla niego pocieszeniem. (Za żadną cenę nie można było

żydowskiego dziecka w tym okresie powierzyć jakimkolwiek Polakowi). Przedłożyliśmy ten projekt naszym właścicielom, z którym oni się zgodzili. Poczuliśmy nareszcie ulgę. Pozostało nam czekać na szczęśliwe rozwiązanie.

To rozwiązanie przyszło nawet wcześniej, niż przewidywaliśmy. Bóle zaczęły się wieczorem, kiedy noc zapadła. Jak opisać to zdarzenie? Dostając wielkich boleści, zmuszona byłam zejść za pomocą drabiny ze strychu i udać się do stajni, gdzie się położyłam na wyścielonej słomą ziemi, bez pościeli i bez nakrycia. Obok mnie odpoczywały dwie krowy, naprzeciwko w innym kącie koń. Nad moją głową kilka powieszonych gałęzi [?], na których siedziało ptactwo domowe, wypuszczając na mnie od czasu do czasu kał. Krowy nie szczędziły kopnięć, które mogłam łatwo dostać. Stajnia była mała i brudna, ponieważ nasi właściciele byli bardzo biedni.

Moje boleści się powiększały i stały się gwałtowniejsze. Nie miałam prawa krzyknąć ani nawet stęknąć, ponieważ sąsiadka mogła wejść na podwórko, które było wspólne, i mnie mogła usłyszeć. Moje bóle przedłużały się bez końca, bóle moralne były aż do stracenia rozumu. Moje wszystkie myśli były zapchane, czy kiedyś zobaczę moje dziecko, które się teraz narodzi.

Po upływie ośmiu godzin cierpień, około północy, dziecko się urodziło. Zwyczajna wieśniaczka była moją akuszerką, mój mąż był obok mnie i stare nożyce służyły do przecięcia sznura [pępowiny]. Dziesięć godzin później odbył się półóg łożyska.

Tej samej nocy wystąpiła u mnie wysoka gorączka, strac[i]łam rozum. Mój stan zdrowia się pogarszał z dnia na dzień. Mój mąż był pewny, że już nigdy nie wyzdrowieję.

Pozostałam na strychu, chora, z gorączką i nieruchoma przez sześć miesięcy.

Podłożone dziecko

Co się ze mną stało, ja nie byłam świadoma. Po pewnym czasie oznajmiono mi, że urodziłam pięknego chłopczyka, któremu dano kąpiel i owinięto go poduszką z puchem.

W dwie godziny później, około 2 godziny w nocy, według ustalonego poprzedniego planu, mój mąż zabrał dziecko i w towarzystwie naszego gospodarza udał się w kierunku domu Józefa Balczyniuka, tak zwanego francuza. Oni szli małymi ścieżkami, aby ominąć ewentualne ślady na śniegu, który pokrywał ziemię i pola w styczniu 1944 roku. Chata Balczyniuka była otoczona rzędem rąbanego drzewa, które dosięgało aż do samego okna. Mąż mój ostrożnie położył dziecko przed oknem i z powrotem powrócił inną drogą razem z naszym gospodarzem do domu.

To miało miejsce w sobotę 5 stycznia 1944 roku. Nazajutrz, w niedzielę

rano, nasz wieśniak Kokoszka udał się do kościoła w Radomyślu W[ielkim]. Jak zwykle on poszedł drogą, obok której znajduje się chata Józefa Balczyniuka, gdzie podłożono dziecko. Balczyniuk zauważył Kokoszkę, on go zaprosił do domu, żeby mu pokazać dziecko, które mu podłożono tej nocy. On dokładnie mu opowiadał, w jaki sposób znalazł dziecko. Około drugiej godziny w nocy on i jego żona zostali obudzeni przez dziecinny płacz. Na początku myśleli, że może ich kot miauczy, został bowiem na dworze. Kiedy Balczyniuk zbliżył się do okna, on zauważył paczkę w rodzaju poduszki, w której się znalazło dziecko. Natychmiast zabrał je do domu. Obecnie, opowiada Balczyniuk, zaprzęgnę konie, aby się udać do miasta i zgłosić wypadek na policję. Tymczasem, mówi Balczyniuk, ja mam zamiar wychować dziecko. Przekonany był, że Bóg mu posłał inne dziecko na miejsce swojego synka, który niedawno umarł. Ja się dowiedziałam po wojnie, że policja prowadziła śledztwo przez sześć dni, ponieważ ona podejrzewała, że to było żydowskie dziecko. Gdyby się okazało, że to jest żydowskie dziecko, Balczyniuk nie tylko nie mógłby go zachować, ale jemu groziłaby śmierć.

Po upływie sześciu dni dziecko zostało ochrzczone w kościele pod imieniem Stanisław, imię chrzestnego ojca Stanisława Jarosza, wójta w Dulczy Małej. Dziecko nadal żyje u Balczyniuka²⁸.

Zaraz po porodzie zanesiono mnie ze stajni z powrotem na strych. Byłam bardzo chora i mój stan się pogarszał. Miałam wysoką temperaturę i nie mogłam zmieniać miejsca. Nie było mowy [o] nawiązaniu kontaktu z lekarzem. Nie tylko mnie groziła śmierć, ale wszystkim, razem z dzieckiem, groziłoby niebezpieczeństwo.

Około ośmiu dni po porodzie nasz właściciel Adam Kokoszka powrócił z Radomyśla, dokąd udał się na różne zakupy, bardzo zasmucony. On się bowiem dowiedział, że jego najstarszy syn znajduje się na liście robotników przeznaczonych do wysłania do pracy przymusowej do Niemiec. Bez naradzania się między sobą nasz właściciel zdecydował, że jego syn nie pojedzie do tej pracy przymusowej. Aby ująć czyjejs uwagi, on się uda do innej wioski, aby się ukryć. My wszyscy byliśmy jednak przekonani, że policja przybędzie do domu zabrać przemocą 15-letniego chłopca. Byliśmy więc zmuszeni natychmiast opuścić strych, jeżeli chcemy jeszcze raz ominąć śmierć.

Temperatura moja była nadal wysoka, nie mogłam stać na nogach, co robić? Wiedzieliśmy, że w lesie Dulczy Małej żyje garstka Żydów²⁹. Zdecydowaliśmy więc udać się do lasu i powiększyć tę małą grupę. W jaki sposób znaleźć tych Żydów w tym ogromnym lesie, to jakby pójść za poszukiwaniem szpilki...

Mieliśmy wrażenie, że przed wejściem do lasu znajduje się chatka. Wyobrażaliśmy sobie, że do tej chatki przybywają Żydzi z lasu po żywność. Kokoszka nas zawiózł swoim wozem do tej chaty. On mnie zostawił na ziemi pokrytej śniegiem. Ja nie mogłam stać na nogach, leżałam więc na śniegu, kiedy

mąż mój zapukał do drzwi wieśniaka, błagając go z płaczem, żeby mu wieśniak określił miejsce, gdzie się Żydzi ukrywają. On się politował nad moim mężem i on pozwolił mnie zanieść do jego domu, aby oczekiwać pewnych Żydów, którzy mieli tej nocy szukać zamówionego chleba. On miał nas przedstawić tym Żydom, którzy zadecydują o naszym losie...

W międzyczasie wieśniak opisał nam ich warunki życia. Ci Żydzi żyją w grotach, które sobie sami wybudowali. Oni w nocy zapalają wewnątrz ogień do ogrzewania się.

Wyobrażaliśmy sobie, że nam jeszcze raz szczęście dopisze. Ja więc, trzęsąc się stale z zimna, będę mogła się ogrzać.

Grot, kryjówki w lesie Dulczy Małej

O przewidzianej godzinie trójka Żydów przybyła do wieśniaka. Tylko jeden z nich pochodził z Radomyśla, inni byli z okolicy. Oni się zlitowali nad nami i zabrali nas ze sobą. Mnie niesiono przez całą drogę, przez jednych i drugich. O godzinie 3 w nocy przybyliśmy na przeznaczone miejsce.

Znaleźliśmy się przed dwiema obszernymi grotami, w których się znajdowało około 20 osób. Pomiędzy nimi był Itsze Singer z jego trojgiem dzieci, Estera Knobler, córka Teymtszi [?] Knobler. Ona przed wojną wyszła za mąż za Żyda z Mielca, który przed wojną wyemigrował do Ameryki, aby sobie polepszyć sytuację. On się nadal tam znajduje. Przypuszczam, że Estera została przy życiu. Znalazłam również między innymi pochodzącymi z okolicy Radomyśla dwie córki Naftali Bernknopfa, Ansaela Birnbauma, Sarę Horowitz oraz Rywkę Schenker, córkę Mojżesza Schenkera³⁰. Znalazłam tam również moje kuzynki z Krakowa i ich rodzinę. One przybyły do siostry, która miała folwark w Rozwadowie. Wiedziałam, że cała rodzina zainstalowała się w lesie Dulczy Małej w dniu deportacji Radomyśla. W ich grocie znalazł się Herszel Grun i jego ośmioletni syn. Dowiedziałam się również, że na początku było ich dużo, ale po kilku obławach w lesie zabito dużo Żydów. Ci wszyscy, którzy zostali, żyli stale w obawie, ponieważ wiedzieli, że policja wiedziała o ich pobycie w lesie. My znaleźliśmy trochę miejsca w jednej z tych grot. Dla nas rozpoczął się nowy okres.

Zdrowie moje coraz bardziej się pogarszało z powodu wilgoci i zimna. Było to w połowie zimy, pod koniec stycznia. Nie było mowy o jakiegokolwiek pomocy lekarskiej.

Nagle jednak moja gorączka spadła. Poczułam się trochę lepiej. Między lepiej i gorzej przeżyliśmy zimę. Z nadejściem wiosny zaczęłam powoli chodzić i odzyskiwać zdrowie.

Pozwolę sobie opisać, jaki styl życia prowadziliśmy w lesie. Nie będę się rozwodzić nad szczegółami. Życie w lesie było na ogół ciężkie. Obawa i głód były

stałe. Trudno było zaopatrzyć się w żywność. Wieśniacy z okręgu bali się nam sprzedawać. Zdarzyło nam się wyjść w nocy, iść 10 km, aby ukraść w polu worki ziemniaków i przynieść go na swoich plecach do lasu. W tym ostatnim wypadku nasza radość była ogromna. Pozwalaliśmy sobie zapalić ogień jedynie w nocy, ponieważ w dzień dym mógł nas zdradzić. Obławy często się powtarzały w lesie. Niemcy wiedzieli o naszym pobycie w lesie. Kiedy tylko usłyszeliśmy huk cholew, my od razu przybiegaliśmy do naszych kryjówek, któreśmy specjalnie wybudowali do tego celu, aby je było trudno odkryć.

Myśmy więc przeżyli w lesie od stycznia 1944 roku do 11 listopada 1944 roku. W sierpniu tegoż roku front się zbliżył do naszej okolicy³¹. Rosjanie robili ogromne postępy. Podczas ofensywy tego lata zajęli Mielec, Radomyśl, zatrzymując się pośrodku wioski Dulczy Małej. Część Dulczy Małej, gdzie znajdował się las, w którym myśmy się ukrywali, została jeszcze w rękach Niemców. Przed tym lasem Niemcy wykopali okopy. Sam las miał być twierdzą. My zaś wewnątrz zostaliśmy zablokowani, nie mogąc w nim zostać ani z niego wyjść. Myśmy żyli nadzieją, że Rosjanie w każdej chwili ponownie zaatakują i jeżeli my będziemy przy życiu, zostaniemy wkrótce przez nich ocaleni. Żyliśmy naraz z obawą i nadzieją, że Niemcy nas nareszcie przestaną szukać w tym lesie. Najważniejsze, żeby się nasz zapas żywności nie wyczerpał przed naszym wyzwoleniem. Wystarczyło, żeby wojsko rosyjskie zaawansowało tylko ½ km, aby nas zwolnić. Niestety, trudno nam było doczekać tej chwili. Próbowaliśmy kilka razy przejść na stronę rosyjską. Okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ pola były zaminowane i ryzyko było ogromne. Dużo niemieckich żołnierzy zostało zabitych z powodu minowanych terenów.

Dnie i tygodnie upływały. Wieśniacy z tego okręgu zostali wysiedleni, inni sami uciekali i ukrywali się w lesie. Kiedy Niemcy się o tym dowiedzieli, oni zrobili obławę w lasach Dulczy Małej 11 listopada 1944 roku. Tysiące żołnierzy okrążyło lasy, inni zaś szukali wewnątrz.

Ta obława nas zaskoczyła. Nie byliśmy przygotowani. Nagle usłyszeliśmy dziwne brzęki w lesie. Jak zwykle goniliśmy w kierunku naszych kryjówek „ultrasekretnych”. Tym razem ten zbyt ni pośpiech był dla nas fatalny. Tego rana pierwszy śnieg padał. Gęste płatki zakryły ziemię. Nasze kroki zostawiły ślady, które zaprowadziły żołnierzy bezpośrednio do naszych kryjówek. Byliśmy sześcioro w naszej kryjówce, ściśnieni jedni na drugich. Ja z mężem, Herszel Grun ze swoim 8-letnim chłopczykiem, żona naszego rytualnego rzeźnika ze swoim 12-letnim synem. Zaledwie kiedy zamaskowaliśmy naszą kryjówkę, usłyszeliśmy wewnątrz kroki cholew oraz krzyki. Dreszcze nas przejmowały. Czuliśmy się straceni na zawsze. Nagle usłyszeliśmy gwałt: „*Verfluchte Juden heraus, aber sofort* (Parszywi Żydzi, na zewnątrz, i to natychmiast)!”.

Mój mąż zastrzelony

Pierwsza wstałam, żeby wyjść z kryjówki, ale mąż mnie zatrzymał. On wyszedł przede mną. Reszta się nie poruszyła z miejsca, ich strach sparaliżował. Niemcy nam grozili, że jeżeli nie wyjdziemy, oni nas zastrzelą wewnątrz. Zaradczy środek, żeby natychmiast wyjść. Znaleźliśmy się przed masą żołnierzy uzbrojonych „po zęby”. Byliśmy pewni, że nas natychmiast zastrzelą. Stanęliśmy, ogłuszeni przez kilka sekund, kiedy nagle spostrzegłam, że mój mąż się nie znajduje między nami. Co się z nim stało? Nagle usłyszałam krzyki w niemieckim języku: „*Stehenbleiben. Zatrzymać się*”. Kiedy salwa wybuchnęła jedna, druga, trzecia i czwarta, zrozumiałam, że strzelają do mego męża, przy czym iskra nadziei przebiegła mi przez myśl; może go nie dosięgnęli. Może mu się udało wymknąć dzięki gęstwinie tego olbrzymiego lasu. Niestety, po krótkiej chwili żołnierze się zgłosili przed oficerem, który nas pilnował, aby mu donieść, że zastrzelili mężczyznę, który uciekał, aby się wymknąć. On odpoczywa niedaleko stąd... W tym momencie kazali nam postępować za nimi. Nie mając innego wyjścia, ulegliśmy. Nagle zauważyłam, że zostałam okrążona przez licznych żołnierzy, zaczęłam gonić do tego mężczyzny, krzycząc i lamentując.

Nie widziałam żadnej reakcji ze strony żołnierzy, oni na pewno zrozumieli, że to jest mój mąż. W każdym razie to też był ich kierunek. Ja się nie pomyliłam. Blisko nas leżał mój mąż nieruchomy, nieżywy. On już nie słyszał moich rozpaczliwych krzyków i płaczu...

On już nie poczuł, kiedy całowałam jego zimne wargi... Zabójcy mi nie pozwolili tracić czasu przed tym zimnym ciałem, tak bardzo drogim dla mnie. Odepchnęli mnie ze złością.

Zawołali Herszla Gruna i syna rytualnej rzeźniczki, 12-letniego chłopca, rozkazując zdjąć ubranie z ciała mego męża i go zanieść na drugą stronę drogi. Tam nas czekała horda żołnierzy i ośmiu żydowskich więźniów. Tu pozwolili mi być obecną, kiedy wrzucili nagie ciało do wykopu, zagrzebując go ziemią. Ja to wszystko widziałam, ale nie mogłam więcej płakać, zabrakło mi łez... Prosiłam tych katów, żeby mnie też zabili i mnie razem pogrzebali w tym wykopie. Upadłam do ich nóg z prośbą, żeby mnie zabili na miejscu. W zamian uderzyli mnie kolbą tak mocno, że nie mogłam się podnieść z bólu.

Ciągnęli mnie, żeby dalej iść, mimo moich okropnych bólów. Stałam się nagle obojętna na wszystko, niech ze mną zrobią, co im się podoba. Życie przestało mnie interesować...

Było nas 14 osób i dwoje dzieci. Byliśmy przekonani, że żołnierze nas zawleką do najbliższego miasta i dostawią do rąk gestapo. Pozostaje nam tylko jeszcze kilka godzin życia³².

Główna kwatera gestapo znajdowała się teraz w Tarnowie, ponieważ Mielec

już wpadł w rosyjskie ręce. Nie stało się jednak tak, jak myśmy sobie wyobrażali. Prowadzili nas pieszo z Dulczy Małej do Dąbrowy. Śnieg nam w tym momencie dochodził do kolan, mroźny wiatr nam wiał prosto w twarz. Wszystko płakało dookoła nas, nawet wiatr był też wyjący. Znaleźliśmy się bez butów, bez odzieży. W pośpiechu zostawiliśmy wszystko w naszej kryjówce. Wlekli nas boso, na wpół ubranych przez całą noc z jednej komendantury do drugiej, aż do samego przybycia do Dąbrowy. Oddali nas do rąk policji niemieckiej, która nas wszystkich uwięziła w małej „klatce” na dwie osoby. Wygłodzeni i spragnieni, czekaliśmy na nasz ostatni wyrok.

Myśmy byli przekonani, że nas zastrzelą.

Dlaczego oni się tak bawią naszym losem i wloką z jednego miejsca na drugie? Myśmy bowiem doskonale wiedzieli, że od czasu generalnej deportacji, kiedy znajdują żywego Żyda, oni go zestrzelują jak wściekłego psa.

Trzeciego dnia od naszego uwięzienia ukazało się czterech policjantów, rozkazując nam wyjść z naszej komórki i postępować naprzód. Tym razem byliśmy przekonani, że nas zabierają do lasu, żeby nas zabić. Pomyłka. Zabrali nas na dworzec i załadowali do wagonu dla bydła. Stąd pociąg nas zabrał do Tarnowa. Podczas podróży nasi akompaniatory nas zapewnili, że nas nie zabiją, że nas tylko pošlą do obozu pracy. Myśmy im nie wierzyli. Myśmy się nie chcieli łudzić. Kiedy przybyliśmy do Tarnowa, zaprowadzono nas do gestapo.

Jakie bicie serca odczułam na widok budynku gestapo na ulicy Urszulańskiej³³. Zajął się nami naczelnik gestapo, który już miał setki zabójstw na swoim sumieniu³⁴. Kiedy go zauważyłam, widziałam śmierć przed sobą. On nas wypytywał, w którym miejscu myśmy przeżyli, uważał nas za bohaterów, że potrafiliśmy tak długo przetrzymać w lesie. Myśmy jemu też stawiali pytanie, które paliło nasze wargi: Kiedy nas zastrzelą? On również, podobnie jak poprzedni, nas zapewnił, że nie zostaniemy zastrzeleni. „Zabroniono nam zabijać” – były jego słowa. Zamkną nas do więzienia i po wysłuchaniu nas zawiozą do obozu pracy. My jemu też nie uwierzyliśmy, podobnie jak poprzedniemu. Z budynku gestapo zaprowadzono nas pieszo przez główne ulice Tarnowa do więzienia. Po dwóch więziennych dniach zabrano nas na przesłuchanie. Uważali nas za partyzantów. Zmuszali nas, abyśmy im podali kryjówki innych partyzantów, którzy jeszcze zostali w lesie. Nie chcąc wydać pozostałych, poddali nas okropnym torturom. Przykładali nam gazowe maski, parzyli rozpalonymi żelaznymi sztabami. W piekle nie palą tak, jak oni nas tyranizowali. Po trzytygodniowym pobycie w tarnowskim więzieniu posłali nas do największego polskiego więzienia w Krakowie.

Cierpienia w tarnowskim więzieniu nie są do porównania w stosunku do cierpień w „Montelupich” w Krakowie. Jeszcze do dzisiejszego dnia nie zrozumiałam, skąd nam przysłała ta moc, że wytrzymaliśmy tyle bólów. W Krakowie zostaliśmy sześć dni³⁵. W tym czasie Niemcy znajdowali dużo Żydów

posiadających fałszywe aryjskie papiery. Zamknięto ich razem z nami w jednej celi. Po upływie 8 dni wysłano nas do obozu w Płaszowie (przedmieście Krakowa) z zapewnieniem, że się udajemy do obozu pracy³⁶.

Jak tylko przybyliśmy do obozu, komisja SS na nas już czekała. Ona nam dała rozkaz ustawić się szeregiem... Było nas 60 w każdym szeregu, kobiety, mężczyźni i dzieci. Zdaliśmy sobie szybko sprawę, że nas nie wybierają do pracy, ale na śmierć. Naczelnik obozu wybrał 12 osób, którym kazał wyjść z szeregu. Resztę załadowano do ciężarówki dla bydła, która się udała na mały pagórek za obozem, na miejsce, gdzie już tysiące leżą w „wiecznym spoczynku”.

Po upływie dwóch godzin doszło do naszych uszu trzaskanie salw, jedna po drugiej, po czym można było spostrzec ogromne ognisko, już palono jeszcze ciepłe ciała.

Na tym pagórku zostali zabici: H[erszel] Grun i jego 8-letni syn, Idel Amsterdam, Schmuz i jego wnuczek z Mielca, jedna z moich kuzynek z Krakowa (córka Salomona) z jej córką i wnukiem, parka Spatzów z Dulczy Wielkiej. Z Radomyśla byliśmy trójka, wybrani do pozostania w obozie. Ja, żona rytualnego rzeźnika i Rywka Schenker – 23-letnia panna. Uważano, że mieliśmy szczęście, ponieważ wszyscy inni zostali zastrzeleni na pagórku w grudniu 1944 roku.

Z Płaszowa do Bergen-Belsen

W Płaszowie rozpoczęła się na nowo ciężka walka o życie. Praca była ciężka, głód mnie dręczył, byłam chora. Miałam nadzieję, że mój wyrok również nareszcie nadchodzi. Chciałam skończyć życie naturalną śmiercią. Byliśmy pilnowani w dzień i w nocy, nie mogliśmy sobie sami zadać śmierci. W tym obozie cierpieliśmy tylko trzy tygodnie. W styczniu 1945 roku Niemcy byli zmuszeni zlikwidować obóz w Płaszowie, ponieważ oczekiwali bliskiego przybycia Rosjanów do Krakowa. My więc opuściliśmy obóz 18 stycznia. O godzinie 17 tego dnia dostaliśmy rozkaz być gotowym do odejścia. My natychmiast wyruszyliśmy pieszo. Oni nas nie mogli załadować do jakiegokolwiek pociągu, ponieważ wszystkie linie kolejowe, które prowadziły do Niemiec, były przerwane. Przeszliśmy Oświęcim, Bielsko, Śląsk, aż do okropnego obozu Bergen-Belsen. Całą tę drogę około 600 km trzeba było przejść pieszo. Trzeba było szybkim krokiem postępować, przeciętnie 50 km dziennie. Zmuszono nas tak chodzić przez 14 dni z rzędu. Mogliśmy odpocząć przez kilka godzin w nocy. Ta droga była tak bardzo wyczerpująca, że setki młodych padło trupem na miejscu. Jeżeli ktoś się ważył zatrzymać na chwilę, on został od razu zabity przez dozorców ukraińskich, którzy się dobrowolnie wcielili do niemieckiej armii³⁷.

Czternastego dnia przybyliśmy do Bergen-Belsen. Z tych wszystkich ludzi, którzy opuścili Płaszów i obóz w Oświęcimiu, tylko 40% żywych przybyło do

Bergen-B[elsen]. Cała ta droga, którą przeszliśmy bez picia i bez jedzenia, zasługuje, aby ją opisać. Brak mi słów, żeby przedstawić te setki na wpół martwych ludzi, posuwających się resztkami sił, boszo, ze spuchniętymi nogami, na tej drodze pokrytej wysoką warstwą śniegu. Aktualnie nie mogę zrozumieć, jak myśmy mogli wytrzymać.

W mojej pamięci pozostał obraz tych szczątek, fizycznie i moralnie wyczerpanych i zrezygnowanych do życia. Co za okropne sylwetki zastaliśmy w Bergen-Belsen. Widzieliśmy umierające szkielety, bez śladu życia w ich zachowaniu się. Zaprowadzono natychmiast naszą grupę do kąpieli. Tu trzeba było czekać 24 godziny na swoją kolejkę. Tylko nazajutrz otrzymaliśmy trochę żywności: chleb ważący 1/2 kg dla 7 osób. Kiedy ten chleb wpadł do uczciwych rąk, każdy dostał swoją porcję, niestety, często ten chleb wpadał do nieuczciwych osobników, którzy z nim umknęli. Nie było na to żadnej rady, nie było mowy żalić się przed kimś...

Aby dostać trochę zupy z korpeli³⁸, trzeba było się bić z młodymi Rosjankami, które jeszcze były w najlepszej formie. Osobiście nie byłam więcej zdolna do oporu.

Spaliśmy na nakładanych kuszetkach pełnych wszy. lub na brudnej podłodze. Aby dostać trochę miejsca, trzeba było również je zdobyć siłą. W każdym baraku znajdowało się 800 osób. Barak był przeznaczony na 50 osób. To jest obraz życia, raczej agonii w obozie Bergen-Belsen.

W maju 1945 roku Anglicy wyzwolili Bergen-Belsen³⁹. Kiedy oni przybyli do obozu, byłam bardzo chora. Miałam wysoką gorączkę. Miałam tyfus jak wszyscy inni.

Biłam się przeciwko śmierci.

W pierwszych dniach wyzwolenia obozu umierano jeszcze setkami.

Osobiście zaczęłam powracać powoli do zdrowia. Anglicy zaczęli nas przenosić z obozu do szpitali znajdujących się w mieście Bergen. Tu zostałam ocalona, uratowana od śmierci.

Kiedy odzyskałam częściowo zdrowie, przesłano mnie razem z innymi do Szwecji na rekonwalescencję.

Ja sobie często stawiałam pytanie, jakim cudem zostałam przy życiu i co właściwie to życie dla mnie przedstawia. To pytanie zostało bez odpowiedzi... W Szwecji się dowiedziałam, że moje dziecko, które się urodziło 5 i 1944 roku w stajni Kokoszki w Dulczy Małej i podłożone pod oknem Balczyniuka, zostało przy życiu. Czy ja je kiedyś zobaczę? Czy ja dożyję tego szczęścia przytulić je do mego serca...⁴⁰

1 Żartowaliśmy (z franc, *blaguer* – żartować, zmyślać).

2 W fundamencie.

3 Stały w pierwszym szeregu, przejęły inicjatywę.

4 Przypuszczalnie chodzi tu o Rudolfa Zimmermanna, cieszącego się ponurą sławą gestapowca z Mielca. Zimmermann pochodził z pobliskiej kolonii niemieckiej w Czerninie, znał świetnie miejscowe stosunki, mówił płynnie po polsku i zapisał się w pamięci szczególnym okrucieństwem wobec Żydów.

5 W Mielcu mieszkało przed wojną około 5500 Żydów, stanowili nieco ponad połowę ludności.

6 Była to część szerszej polityki robót przymusowych wprowadzonej przez Niemców już w październiku 1939 r.

7 Wyjechać (z franc. *expatrier* – wysiedlić).

8 Obóz w Pustkowie (właśc. Arbeitserziehungslager [AEL] Pustków). Obóz, położony 20 km na wschód od Radomyśla, przeznaczony głównie dla Żydów i pozostający pod nadzorem SS, powstał w 1940 r. Po ataku na Związek Sowiecki do obozu trafili także jeńcy z Armii Czerwonej. W obozie w latach 1940-1944 przebywało około 14 000 Żydów, z których połowa zginęła.

9 Mowa tu o powszechnym spisie ludności żydowskiej na terenie tzw. Generalnej Guberni (zob. „Regierung des Generalgouvernements. Abteilung Ernährung und Landwirtschaft. Statistische Amt. Die Ernährungs- u. Landwirtschaft im Generalgouvernements Polen”, seria B: „Statistische Zusammenstellungen”, zeszyt 6, Krakau 1940, s. 47. 1943 Dorfverzeichnis).

10 Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa, tzw. granatowa, utworzona przez okupanta 30 października 1939 r. W jej skład początkowo weszli zweryfikowani przez Niemców przedwojenni funkcjonariusze Policji Państwowej oraz ci, którzy utracili pracę na terenach bezpośrednio włączonych do Rzeszy. Policja granatowa nie stanowiła bezpośrednio części niemieckiej Policji Porządkowej (OrPo), lecz znalazła się pod jej ogólną kontrolą.

11 W okolicy Radomyśla i Mielca znajdowały się kolonie osadników niemieckich, z których wielu w czasie wojny podpisało volkslistę i zaczęło współpracować z okupantem.

12 Mowa tu o Służbie Porządkowej w getcie, tzw. policji żydowskiej.

13 Agudat Israel – partia skupiająca ortodoksyjnych Żydów, powstała w Katowicach w 1912 r.

14 Piotr Kalita – wieloletni polski burmistrz Radomyśla.

15 Niedługo przed planowaną akcją likwidacyjną władze niemieckie przeprowadzały koncentrację wszystkich Żydów w gettach.

16 Rozkaz uzupełniający, zawierający sprostowanie poprzedniego.

17 Likwidacja getta w Mielcu rozpoczęła się 9 marca 1942 r. Około 1000 osób zostało rozstrzelanych na miejscu, innych zamknięto w obozach pracy lub wywieziono do innych gett.

18 Pierwszą akcją likwidacyjną w Tarnowie przeprowadzono 11 czerwca 1942 r. W czasie akcji na miejscu, w Tarnowie, oraz w okolicy zamordowano

około 7000 Żydów. Obóz zagłady w Bełżcu uruchomiono w marcu 1942 r.

19 Getto w Dębicy likwidowano w trzech etapach: dwa pierwsze przeprowadzono w lipcu i w grudniu 1942 r., a ostateczna likwidacja getta nastąpiła w kwietniu 1943 r.

20 Fabryka samolotów w Mielcu (właśc. Mieleckie Zakłady Lotnicze) przekształcone przez Niemców we Flugzugwerk Mielec, na którego terenie zorganizowano obóz pracy przymusowej dla Żydów. Obóz był filią obozu koncentracyjnego Płaszów.

21 Przeprowadziła ofensywę.

22 Dąbrowy Tarnowskiej. W rzeczywistości obie miejscowości dzieli dystans 18 km.

23 Gwiazda Dawida (hebr.).

24 Getto w Dąbrowie Tarnowskiej było w zasadzie gettem otwartym, ogrodzonym łatwym do sforsowania płotem.

25 W lipcu i we wrześniu 1942 r. w getcie w Tarnowie Niemcy przeprowadzili dwie kolejne krwawe akcje likwidacyjne. W końcu października szczątkowe getto w Tarnowie podzielono na dwie części, tzw. getto „A” oraz getto „B”. W getcie „A”, zorganizowanym na zasadzie obozu pracy, zgromadzono Żydów pracujących w miejscowych zakładach, podczas gdy w getcie „B” uwięziono rodziny z dziećmi oraz osoby niepracujące. W połowie listopada 1942 r. ponad 2500 Żydów z getta „B” wywieziono do Bełżca. Getto tarnowskie zostało ostatecznie zlikwidowane we wrześniu 1943 r.

26 Likwidacja getta w Dąbrowie Tarnowskiej nastąpiła 18 września 1942 r.

27 W okolicy Dąbrowy i Radomyśla za złapanie Żyda Niemcy oferowali skromną nagrodę pieniężną, wódkę lub ubrania ściągnięte z ofiar przed egzekucją.

28 Niniejsze świadectwo spisano w sierpniu 1946 r.

29 Mowa tu o „obozach rodzinnych” w lesie duleckim, w których przebywała wówczas Rywka Schenker.

30 Zob. wspomnienia Rywki Schenker.

31 Zob. przypis 19 do dziennika Melanii.

32 Zatrzymanie dużej grupy Żydów w lesie duleckim musiało się odbyć w okolicy szerokim echem, gdyż w 1944 r. aresztowania Żydów – w odróżnieniu od lat poprzednich – zdarzały się już tylko sporadycznie. Aresztowanie Chai i Rywki odnotowała w swoim dzienniczku ukrywająca się pod Dąbrową Melania (zob. s. 60).

33 Gestapo w Tarnowie mieściło się w budynkach przy ul. Urszulańskiej.

34 Naczelnikiem Gestapo w Tarnowie w latach 1942-1944 był Wilhelm Rommelmann (skazany na śmierć i powieszony w 1946 r.), ale – jak się wydaje z porównania wspomnień Chai i Rywki Schenker – obie przesłuchiwał znany kat Otto von Malottki, ewakuowany wówczas z zajętego przez Rosjan Mielca.

35 W tym samym czasie w celi na Montelupich siedziała Zuzanna Ginczanka. Kiedy spotkałem się z Chają w Paryżu latem 2012 r., pokazałem jej fotografię poetki. Chaja nie była jednak pewna, czy to właśnie ją widziała w 1944 r.

36 AEL Płaszów, jeden z największych obozów pracy przymusowej położonych na południu Generalnego Gubernatorstwa, w 1943 r. przekształcony w obóz koncentracyjny. Komendantem w Płaszowie był wzbudzający powszechny strach morderca Amon Goeth, skazany po wojnie na śmierć. W Płaszowie, według szacunków historyków, zginęło od 10 000 do 15 000 Żydów.

37 Mowa tu o „marszu śmierci” z Auschwitz, który objął około 60 000 więźniów obozu.

38 Korpiel to regionalna nazwa brukwi.

39 Obóz został wyzwolony 15 kwietnia 1945 r.

40 Trzyletni Edward Rosenblatt został odebrany od Balczyniuków (przy czym nie obyło się bez gróźb wspartych sporą kwotą pieniędzy) przez kapitana WP Jeszajahu Druckera.

Fotografie do wspomnień Chai Rosenblatt

FOTOGRAFIE

DO WSPOMNIEŃ CHAI ROSENBLATT

(z archiwum rodziny Rosenblattów-Lewich)



Symboliczna macewa poświęcona pamięci Abrahama Rosenblatta,
zabitego w lesie duleckim 11 listopada 1944 r.

Macewę, stojącą na cmentarzu żydowskim w Radomyślu Wielkim,
ufundował w 1990 r. Edward, syn Abrahama



Edward Rosenblatt na kolanach kpt. WP Jeszajahu Druckera, 1947 [?] r.

III. Rywka Schenker

III

RYWKA SCHENKER

Wprowadzenie do wspomnień Rywki

WPROWADZENIE DO WSPOMNIEŃ RYWKI

Rywka Schenker urodziła się w 1921 r. w Krakowie, w niezamożnej rodzinie kupieckiej, lecz jeszcze jako dziecko przeniosła się do Radomyśla Wielkiego. W młodości, w Radomyślu, należała do Bnei Akiwa, organizacji młodzieży syjonistycznej. W odróżnieniu od Chai i Melanii Rywka nie odebrała gruntownego wykształcenia. Do dziś ma zresztą za złe matce, że nie posłała jej swego czasu do szkoły. Wspomnienia Rywki zostały więc spisane polszczyzną fonetyczną, ze słuchu, w sposób, jaki autorka uznała za zgodny z zasadami gramatycznymi. W celu ułatwienia lektury (pamiętnik w zapisie oryginalnym nie jest łatwy do zrozumienia¹) poprawiono błędy ortograficzne, unikając zarazem głębszej ingerencji w składnię i nietypowe sformułowania, dzięki czemu zachowano styl, w którym odbija się zarówno wpływ języka żydowskiego, jak i gwary miejscowych chłopów. Szczególnie długie zdania, zapisywane niemal bez znaków interpunkcyjnych, podzielono na krótsze, wyznaczono też dodatkowe akapity.

Wkrótce po wybuchu wojny Rywka opuściła rodzinny Radomyśl i wraz z rodziną przeniosła się do Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie zamieszkała w niezwykle trudnych warunkach w miejscowym getcie. Pamiętnik Rywki zaczyna się niedługo przed akcją likwidacyjną w Dąbrowie. Brutalnej akcji – której uniknęły Chaja i Melania – Rywka przyglądała się przez szczelinę między deskami, schowana (razem z najbliższymi) w przemyślniej kryjówce na strychu własnego domu. Po

likwidacji getta Rywka z niewielką grupą Żydów pod osłoną nocy uciekła z Dąbrowy i dotarła do niezbyt odległych lasów duleckich, w których spędziła następne dwa lata.

Lasy duleckie rozciągały się na wschodniej granicy powiatu dąbrowskiego, kilka kilometrów na wschód od miejscowości Radgoszcz, i dalej na południe, prawie aż po Tarnów (dziś obszar leśny jest znacznie mniejszy). To właśnie w tych lasach latem i jesienią 1942 r. pojawiły się grupy żydowskich uciekinierów z likwidowanych gett – z Dąbrowy, Radomyśla, Mielca i Tarnowa. Z biegiem tygodni i miesięcy niektórym Żydom udało się zbudować serie kryjówek i schronów, w których zdołali przetrwać zimę 1942/1943 r. Były to tzw. obozy rodzinne, dobrze znane badaczom Zagłady z terenów wschodnich, z Białorusi czy Ukrainy, ale praktycznie niespotykane na ziemiach Polski centralnej. W lesie duleckim powstało kilka takich obozów, lecz zazwyczaj istniały one krótko. Ogromna większość ich mieszkańców zginęła, najczęściej w wyniku obław organizowanych przez policję polską albo niemiecką bądź też przez działających na własną rękę okolicznych mieszkańców. W oczach wielu chłopów Żydzi stanowili zagrożenie nie tylko dlatego, że samą swoją obecnością mogli ściągnąć na miejscową ludność niemieckie represje, lecz także ze względu na to, iż z czasem, gdy Żydom skończyły się pieniądze i rzeczy na wymianę, zmuszeni byli kraść żywność z pól lub zagród chłopskich.

Innym powodem licznego uczestnictwa chłopów w polowaniach na Żydów ukrywających się w lasach były nagrody i zachęty oferowane przez Niemców. Nagrody szły w parze ze szczerłym nadzorem i drakońskimi karami, egzekwowanymi przy pomocy samorządu wiejskiego. System ten, oparty na wójtach, sołtysach, podsołtysach oraz specjalnie wyznaczonych zakładnikach, którzy mieli gwarantować udział chłopów w nagonkach, w sposób bezpośredni nadzorowały posterunki polskiej policji granatowej. Wypracowane na tej podstawie struktury terroru przyczyniły się do powstania gęstej i morderczo skutecznej sieci represji, której ofiarą padły w latach 1942-1945 tysiące Żydów ukrywających się na polskiej prowincji. Helena Aussenberg, jedna z nielicznych Żydówek, która przeżyła w lesie duleckim do końca wojny, zanotowała: „chłopi dostali broń i otoczyli las. Udało nam się jeszcze na jakiś czas zbiec i nikt nie wpadł w ich ręce. Rano wyszła siostra po drzewo i zauważyła chłopów z karabinami. Wróciła natychmiast, ostrzegła nas i uciekłyśmy w las. Ale pozostała jedna rodzina Spatzów, złożona z 12 osób, oraz mój ojciec. Ci nie zdołali już uciec i wpadli w ręce chłopów, którzy powystrzelali wszystkich. Ja z siostrą uciekałyśmy na oślep, a za nami strzelano”². Do zagrożeń czyhających na ukrywającą się w lasach duleckich Rywkę oraz jej towarzyszy należy jeszcze dodać obecność zwykłych bandytów, dla których las stanowił naturalny habitat i miejsce ucieczki przed policją.

W świadectwie Rywki opisy niosących groźbę utraty życia i resztek mienia spotkań z polskimi bandytami zajmują wiele miejsca. Nieco inaczej rzecz się ma z Rosjanami – w lasach również kryli się zbiegli z niewoli jeńcy sowieccy oraz spadochroniarze dywersanci. Żydzi ich też musieli się wystrzegać – nie dlatego, że z ich strony groziła im pewna śmierć, ale raczej ze względu na to, iż w ślad za Rosjanami mogli się pojawić tropiący ich Niemcy i policja. Bilans zagrożeń był tragiczny; z ostrożnych szacunków wynika, że przez lasy duleckie w latach 1942-1945 przewinęło się kilkuset Żydów, lecz nie więcej niż trzydziestu udało się przetrwać do wyzwolenia.

Szczególnym utrapieniem leśnych „Żydów” były wszechobecny głód i choroby. W prymitywnych warunkach leśnej egzystencji, w brudzie i w chłódzie, przy braku opieki lekarskiej zwykłe zaziębienie niejednokrotnie równało się wyrokowi śmierci. Warunki życia w wykopanych pod ziemią schronach były trudne do opisanego. Niemniej Rywka przywołała w pewnym miejscu następującą scenę z ziemianki: „cały dzień my siedzieli bardzo spokojnie, jeden czytał dużo, [inni] pisali dzienniki”. Można sobie tylko wyobrazić skutki mrozem las, a w ziemiance, przy świetle świeczek, Żydów pochylonych nad książkami bądź pracowicie odnotowujących własne przeżycia w dzienniczkach. Jak już wcześniej wspominałem, Żydzi ukrywający się w lesie duleckim doznali kolejnego wielkiego rozczarowania latem 1944 r., kiedy to front wschodni zatrzymał się dosłownie kilkaset metrów od nich. Dla wielu stanowiło to wyrok śmierci: pozbawieni nadziei, środków do życia i dalszej woli walki, stawali się łatwym łupem kolejnych obław. Na domiar złego wraz ze zbliżaniem się frontu w lesie coraz częściej pojawiały się silne patrole Wehrmachtu.

W starciach z chłopami i z żołnierzami zginęło wtedy kilkunastu Żydów. 27 listopada 1944 r., nie mając już nic do stracenia, ostatnia grupa ukrywających się postanowiła przedrzeć się na drugą stronę frontu. Podczas próby przebiccia się Żydzi zostali wzięci w krzyżowy ogień. Rywki już wówczas nie było między nimi, gdyż dwa tygodnie wcześniej wpadła w ręce Niemców (w tej samej obławie schwytano również Chaję Rosenblatt). Po przejściu męczeńskiego szlaku wiodącego z Płaszowa przez Auschwitz do Ravensbrück Rywka wróciła do Dąbrowy i do Radomyśla, mając nadzieję na odnalezienie najbliższych. Nikogo z rodziny jednak nie znalazła – wszyscy zginęli. Jediną przyjazną twarzą był jej kuzyn Karol Goldfinger, który właśnie powrócił z Auschwitz, gdzie spędził ponad dwa lata. Rywka i Karol po krótkim pobycie w Krakowie, lękając się narastającej wrogości do Żydów, wyjechali razem z Polski i 2 lipca 1945 r. pobrali się w austriackim Linzu. W sierpniu 1946 r. przyszedł na świat ich pierwszy syn Max Moses Marvin. Wojenna odyseja Rywki zakończyła się 23 czerwca 1948 r., gdy jej statek zawinął do kanadyjskiego portu Halifax w Nowej Szkocji. Dziś Rywka wraz z mężem mieszkają w Toronto, w otoczeniu trzech synów, ich żon, wnuków i

prawnuków³.

1 Aby uświadomić czytelnikowi skalę trudności z przyswojeniem oryginalnego tekstu, przytaczam krótki fragment: „Ojciec odpowiada co się stobą stało co jesteś taka zła ja odpowiadam nie jestem zła tylko nie mogę czymać oczy otwarte taka zmęczona jestem. Ciebie nic nie ophodzi ale jak by mamusia była żyła to by było inaczej. Tata nie dał mi żadnej odpowiedzi zamkną światła ale ja nie mogłam cała noc spać wiedziałam że nie dobrze postąpiłam”.

2 AŻIH, 301/3215, Relacja Heleny Aussenberg z Radomyśla Wielkiego.

3 Rywka zmarła w Toronto 7 lipca 2016 r.

Wspomnienia Rywki Schenker

WSPOMNIENIA RYWKI SCHENKER

Pochodzę z Polski, z małego miasteczka, zawsze byłam wesoła i szczęśliwa. [W] jednym dniu wszystko się zmieniło – Mamusia zachorowała na raka. Chorowała długi czas i tydzień przed wojną umarła. Ten dzień [to] ja nigdy nie zapomnę, w tym dniu cała moja tragedia się zaczęła. Zostałam z Ojcem i bratem, cały świat zamknął się przede mną, ale niestety nie miałam czasu myśleć o sobie, bo na drugi dzień znowu była mobilizacja [i] w całym mieście była straszna panika. Nasza rodzina wyjechali na wieś, a ja, Ojciec i brat zostaliśmy w mieście, bo nie mieliśmy ochoty do życia.

Na drugi dzień przyszedł znajomy Ojca; rozmawiali ze sobą, że jest jeden Hitler, że on będzie bardzo mordował żydowski Naród, że powinniśmy być szczęśliwi, że Mamusia umarła. Ten znajomy nam powiedział, że przyjdzie czas, że każdy będzie chciał pójść tam, gdzie Mamusia jest. Ja się bardzo roześmiałam – myślałam, że ten znajomy Ojca jest wariatem, ale niestety to była prawda – na drugi dzień było we wszystkich radiostacjach, że jest źle, żeby każda rodzina miała przygotowane dużo [produktów] spożywczych i wody, ja osobiście nie byłam taka zmartwiona, bo w moim pojęciu nie było [to] takie nieszczęście, nie mogłam s[obi]e wyobrazić, że będzie tak źle. Niestety, 1 września 1939 wojna wybuchła. Ten dzień zawsze mi jest przed oczami – zaczęły się ewakuacje, ludzie jechali z jednego miasta do drugiego, zaczął się straszny głód, nie [można] było chleba dostać ani żadnej spożywczej rzeczy, jednak ja nie gubiłam nadziei. Mój Ojciec zawsze mi mówił, że nie wolno tracić nadziei, że Pan Bóg jest za nami. Niestety, jak zaczęła się wojna, Niemcy przyszli do Polski, tak jak[by] mieli wszystko przygotowane. 10 września byli w naszym mieście, jak ja widziałam tych Niemców, to mnie strach ogarniał.

W tym samym dniu zabrali wszystkich mężczyzn do synagogi, strasznie ich mordowali przez cały dzień – musieli klękać i [w] niemożliwy sposób [ich] katrupili, bili związan[ych] sznurami, żeby nie mogli uciec. Jak Niemcy wypuścili Ojca i mojego brata, to przyszli natychmiast do domu – ja się bardzo rozplakałam i o mało nie zemdląłam, bo byli tak pobite i cała twarz Ojca i brata były inne, ale mój Ojciec jeszcze mnie pocieszał. Na drugi dzień był rozkaz, że do 7 godziny

wolno wychodzić, bo nie idą zastrzelić. Zabrałam chleba i cukru, ja, Ojciec i brat uciekli[śmy] do lasu, tam myśmy się rozdzielili, ja zostałam sama, a Tata z bratem poszli gdzie indziej. Zostałam sama w lesie przez dwa dni; ogromne wrażenie zrobiło [to] na mnie. Wiedziałam, że o ile ja wyjdę z lasu, to śmierć na mnie czeka; siedziałam tak spokojnie, że nie słyszałam własnej duszy. Naraz słyszę krzyki: Ona musi tu być schowana, ja ją widziałam, tam iść! Widocznie z boską pomocą miałam siły wejść na duże drzewo i tam siedziałam całą noc. Jakbym miała ołówek i papier, to bym mogła opisać tę całą cudną przyrodę. O 6 nad ranem zesłam i zastanawiałam się, gdzie ja mam pójść. Tymczasem usłyszałam kroki i zaczęłam uciekać. Tymczasem słyszę głos kobiety: Nie uciekaj, ja ci nic nie zrobię, ustanęłam natychmiast. Ta Pani mówi do mnie: Ja ci chcę pomóc, chodź ze mną, to cię ukryję w stodole. Ja się zabrałam i poszłam, bo nie miałam innej rady. Bardzo się dobrze zachowywała do mnie. Tam byłam przez cały tydzień, [a] ta kobieta przynosiła mi jedzenie co noc, bardzo mnie prosiła, żebym się spokojnie zachowywała, żeby jej mąż [się] nie [do]wiedział. Raz mąż przyszedł do stodoły i zawołał swoją żonę i mówi do niej: Ja słyszałem, że ktoś się ruszał, czy[ś] ty kogoś nie schowała? I zaczęli się kłócić. Wieczorem przyszła do mnie i bardzo mnie przeprosiła i mówi, że muszę iść. Zabrałam, co miałam w stodole, i poszłam do mojej koleżanki; tam byłam przez 4 dni.

W czwartym dniu poszłam z powrotem do domu, na drugi dzień Ojciec i brat też przyszedli do domu. Byłam bardzo zadowolona, że jesteśmy razem, niestety to było na niedługo. Ojciec przyszedł do domu, powiedział, że ma być wysiedlenie, że trzeba się zastanowić na tym punkcie. Mój brat dał propozycję, żebym ja [i] Ojciec poszli na wieś, a mój brat przyjdzie do Tarnowa. Tata się zgodził na tę propozycję, dał mu pieniądze i najlepsze rzeczy do ubrania, i [brat] poszedł sam do Tarnowa. Ja i Tata myśmy poszli na wieś. To rozdzielenie [z] bratem było tragiczne. Ojciec płakał przez całą drogę. [Gdy] myśmy przyszedli [do] znajomych Polaków, to nas nie chcieli wpuścić. Poszliśmy do lasu i tam ja [i] Tata siedzieliśmy przez cały dzień, na noc weszliśmy do stodoły. Tak przeszło 3 tygodnie. Raz przeszedł mężczyzna; miał psa i ten pies zaczął tak szczekać, to ten Pan mówi: Tu musi być [ktoś] schowany. Zaczął szukać; tak długo szukał, aż na nas spojrział. Mówi do nas: Co wy tu robicie, pełno Niemców jest dookoła, ale teraz ty nie możesz wyjść, najlepszy czas jest w nocy. Ja [i] Tata wyszliśmy o dziesiątej w nocy do Dąbrowy², nad ranem przyszedliśmy do miasta.

W Dąbrowie już było getto – ten był zadowolony, co tam miał dużo znajomych. Tata przez przypadek zobaczył jedną znajomą. I ta znajoma się pyta Ojca: Jak nie masz gdzie mieszkać, to ja Ci mogę dać jeden pokój. Tata się nie zastanawiał ani minutę, odpowiada: Jestem Ci bardzo wdzięczny za to. Zabrałam walizki i poszliśmy pieszo. Jak weszłam do mieszkania [i] rozglądnęłam się dookoła, to widziałam 15 ludzi i cztery pokoje. Zrobiło [to] na mnie okropne

wrażenie. Pola mówi do mnie: Tu jest getto, musimy tak mieszkać, powinnaś być szczęśliwa, że masz gdzie spać, bo nie wiadomo, co jutro będzie. Ja milczałam, nie dałam żadnej odpowiedzi. Zaprowadziła mnie do jednego pokoju. Myślałam, że ja już stamtąd nie wyjdę: całe ściany były popęknięte, że można było [przez nie] patrzeć. Na ścianie były narysowane różne figury. To łóżko, co ja miałam spać, było takie, że wołałam leżeć na ziemi. Nie wiedziałam, co mam robić – czy płakać, [czy] śmiać się. Nareszcie była już 10 godzina w nocy, światło się zgasiło. Już byłam szczęśliwa, że będę mogła spokojnie leżeć, ale niestety niedługo. Niemcy pukają. Otwierając drzwi, Pola wyszła do nich [i] pyta się: Co sobie wy życzyście? Niemcy odpowiadają: Szukamy mężczyzn. Pola odpowiada: Tu są same kobiety. Zabrał się i poszedł. Mój Ojciec był bardzo zdenerwowany, nie mógł spać całą noc.

Na drugi dzień ja [z] Ojcem wyszliśmy do miasta na zakupy spożywcze. Przez przypadek spotkaliśmy naszą dalszą kuzynkę, zaraz nas zabrała tam, gdzie ona mieszkała. Ta dalsza kuzynka się nazywała Bronia. Bronia miała 3-piętrowy dom, 10-pokojowy. Ja i Tata mieliśmy jeden pokój, [można] mniej więcej określić ten pokój [tak, że] było dwa łóżka i stół i jedno krzesło, i elektryczna kuchnia. Ja byłam zadowolona, że będę miała gdzie gotować, tymczasem otwierają się drzwi, Bronia wchodzi z garnuszkiem i postawiła do gotowania. Ja się zdziwiłam i pytam się, czy ta kuchnia należy do całego domu, ona mówi, że tak jest. Nie byłam zadowolona, ale nie miałam innej rady. W tym dniu ja siedziałam cały dzień [w] domu. Poszłam o 6 spać, a niedługo [potem] jakiś pan pukał. Ja się pytam, kto tam jest, i mówi: Rubin, ja się pytam: Co ty chcesz? On odpowiada: Muszę coś zagrzać na kolację. Ja się ubrałam z powrotem [i] otworzyłam drzwi. Rubin wszedł; on zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, miał taki lepszy wygląd. Jak Tata widział Rubina, to zaczął płakać z radości. Rubin się pyta: Dlaczego ty płaczesz? Tata odpowiada, że znajomy mu powiedział, że ty już nie żyjesz. Rubin odpowiada: Ja już będę długo żył, bo mi zrobili taką pogłoskę. Zaczęli rozmawiać o polityce. Ja nie byłam zainteresowana, zabrałam książkę i poszłam do Broni. Tam siedziałam tak długo, aż Rubin wyszedł od naszego pokoju. Wszłam do Taty i byłam zdenerwowana, i pytam się, co to jest, że tak długo rozmawiał, i Tata odpowiada: Ty nie wiesz, kto to jest. Ja odpowiadam: Nie zależy mi i nie jestem ciekawa. Ojciec odpowiada: Co się z tobą stało, co jesteś taka zła. Ja odpowiadam: Nie jestem zła, tylko nie mogę trzymać oczy otwarte, taka zmęczona jestem. Ciebie nic nie obchodzi, ale jakby Mamusia była żyła, to by było inaczej. Tata nie dał mi żadnej odpowiedzi, zamknął światła, ale ja nie mogłam całą noc spać – wiedziałam, że niedobrze postąpiłam. Na drugi dzień doszłam do Ojca [i] prosiłam o wybaczenie. Ojciec mi wybaczył i powiedział do mnie: To ma być pierwszy i ostatni raz, żebym takie słowa od ciebie słyszał.

Bronia przychodzi do pokoju i mówi do Ojca: Schowaj się prędko, bo Niemcy łapią do pracy. Jak tylko się obróciłam, to pełno Niemców było w pokoju,

wzięli Ojca do pracy kopać doliny na schrony, żeby Niemcy mieli [gdzie się] schować podczas bombardowania. Tata wrócił zmęczony, nie mógł zjeść kolacji. Położył się nierozebrany na łóżko i zasnął. I tak spał całą noc. Na drugi dzień Tata był bardzo chory, nie mógł ruszać rękami. Zrobiłam mu śniadanie. Bronia przyszła do pokoju i pyta się Ojca, jak tam było przy pracy. Tata odpowiada:

Jak ja mam tak pracować, to ja wolę zgłosić się do lagru³. Bronia odpowiada: Czy tyś zwariował? Nie wiesz, co gadasz, co li [?] coś wpadło na myśli. Tata odpowiada: Ja bym nie mógł długo wytrzymać taką pracę. Bronia zabrała Ojca, poszła z nim do kryjówki i powiedziała do niego ostrym głosem: Ty tu masz siedzieć cały dzień. Tata odpowiada: Ja tu zwariuję sam. Teraz ja opiszę tę kryjówkę: to było w tym samym domu na strychu – tam była przedzielona deskami połowa strychu. [To] było tak dobrze zrobione, że to było niemożliwe poznać; było dookoła [dużo] słomy, w jednym kącie stał stół, na stole była duża beczka z wodą i garczek[, by] nabrać tę wodę. Mieliśmy dużo [produktów] spożywczy[ych] na cały tydzień i dużo do czytania. Ojciec tam siedział przez cały dzień, a w nocy przyszedł do pokoju. Rubin prawie gotował kolację i Tata pyta się Rubina: Może ty masz dla mnie jaką pracę, może masz znajomy[ch], co by mi mogli coś pomóc. Rubin zabrał Ojca ze sobą i postarał mu się [o] jaką[s] łatwą pracę. Ja z Bronią zostaliśmy w domu. Byłam bardzo zadowolona, że będę mogła iść i spędzać czas [z] kolegami, z koleżankami. Ja nie chodziłam do pracy, bo nie było gdzie pracować, to całymi dniami tylko chodziłam [w] towarzystwie dziewcząt i chłopców. Pomimo wszystko było mi bardzo przykro, że Ojciec musi tak ciężko pracować, ale musiałam się pogodzić [z] losem.

Tak przeszedł dzień za dniem. To życie było bardzo monotonne, nie było do życia ani do śmierci, co dzień się mówiło, że ma być likwidacja, życie było beznadziejne. Ja zawsze chodziłam [z] moimi koleżankami i zawsze robiłam dużo znajomości. Ale nie mieliśmy żadnej pociechy, bo każdy w getcie był głodny, nie było dosyć chleba. Chleb był na karty, tylko kawałek chleba na dzień. [W] moim pojęciu było okropnie, ja zawsze marzyłam, żebym mogła pójść do lasu. Zapoznałam jednego chłopca; on zawsze mi obiecał, że jak będzie likwidacja, to on mnie zabierze ze sobą do lasu. Ja myślałam, że on żartuje, ten pan się nazywał Janek. Raz Tata przyszedł do domu i powiedział do nas, że ma być wysiedlenie, że musimy być przygotowani do wszystkiego. Ojciec [z] Rubinem przestali chodzić do pracy. Każdy był zdenerwowany. Ale to dużo nie pomogło. Nas było 10 ludzi, każdy z nas miał dyżur, co noc nikt się nie rozebrał, my wszyscy byli[smy w] jednym pokoju. Życie było bardzo tragiczne, ale w takiej sytuacji człowiek staje się taki twardy jak kamień. Tak przeszedł cały miesiąc; co dzień było to samo. Ojciec przyszedł raz do Poli i mówi do niej, że słyszał [na] mieście, że ma być wysiedlenie w nocy. Natychmiast każdy się zaczął pakować i zabraliśmy najlepsze rzeczy i weszliśmy do kryjówki. Każdy był bardzo nerwowy i miał na myśli jedno i to

samo, a ja zaczęłam się modlić i prosiłam Boga, żebyśmy wyszli żywi z tej kryjówki. Każdy z nas był blady, przejęty. Na ulicy było bardzo cicho, nie widać było żywej duszy. O czwartej nad ranem najechało pełno autobusów, ja wyglądałam przez małą dziurę kryjówki. To było na strychu, nikt nie mógł mnie widzieć, ale ja wszystko widziałam, serce mi biło. Zostałam cała sparaliżowana; w takiej sytuacji człowiek staje się jak kamień. Odwróciłam się, zawołałam Rubina [i] powiedziałam, że Niemcy są w mieście. On mnie się pyta: Skąd ty wiesz? To mu powiedziałam, [że] wyglądałam przez dziurę. On na mnie zaczął krzyczeć, złapał mnie za rękę i powiedział, że o ile ja jeszcze raz to zrobię, to mnie wystawi. Nie było dużo czasu dyskutować. Zaraz słyszeliśmy krzyki: *Aufmachen*, ale Pola zostawiła drzwi otwarte na dole. Zaraz weszli, zaczęli krzyczeć histerycznie: wszyscy mają wyjść na pole, bo jak kto będzie schowany, to będą strzelać. Nie mogę określić słowami, jak ja [się] czułam, myślałam, że są [to] nasze ostatnie minuty. Tata przytulił się do mnie, zaczął mnie całować. Każdy siedział jak [s]paraliżowany. Weszli na strych, gdzie nasza kryjówka była, zaczęli pukać szablami⁴, wtem usłyszałam krzyki [i] jeden Niemiec mówi: Ja coś słyszałem, jak ktoś by był tu schowany. Zaczęli łamać deski na drugą stronę i zabrali naszych sąsiadów. Te krzyki były nie do wytrzymania, nikt nie wiedział, że sąsiedzi mają tam kryjówkę. Ja widziałam, że związali ich ze sznurami i przeprowadzili na rynek. Jak Niemcy odeszli, każdy z nas był zdenerwowany, [a] o 9 rano Rubin wyszedł z kryjówki, poszedł na miasto i widział tę wielką tragedię⁵.

Zostało bardzo mało ludzi, tylko sama młodzież, zabrali same starsze ludzi i małe dzieci. Ja wyszłam, chodziłam po całym getcie, chciałam się dowiedzieć, czy moje koleżanki i Janek został. Z daleka widziałam Janka, bardzo się ucieszyłam, zaprosiłam go do nas i zapoznał mojego Ojca. Zaczęli rozmawiać. Janek dał mu propozycję, żebyś[my] uciekli do lasu. Tata myślał, że ten człowiek jest wariatem. Że to jest niemożliwe, [żeby] żyć w lesie, to jest tylko dla zwierząt życie, który normalny człowiek ma takie myśli? Janek pyta się Ojca: Może masz lepszą propozycję, to ja słucham. Tata odpowiada: Ja myślę, że [w] Mielcu jest lager⁶ i tam by było bardzo dobrze. I zaczęli dyskutować na ten temat przez parę godzin. Tymczas[em] Bronia przyszła do domu i mówi, że ona słyszała, że za niedługo wszyscy Żydzi będą musieli pójść do lagru. Ja i Tata zaczęliśmy się interesować, jaki to jest lager, czy tam jest dobrze, czy tylko biorą mężczyzn. Raz Tata przyszedł do mnie i powiedział, że ma już całą informację, że tam [w] Mielcu biorą same starsze ludzi i samych mężczyzn. Co on ma robić, jak ja mu powiem, to on zrobi. Ja mu odpowiadam: Dam [ci] znać na drugi dzień, tymczasem zawołałam Janka i [o]powiedziałam mu całą historię.

Janek natychmiast zawołał Ojca i mówi do niego: Ja myślę, że ty robisz wielki błąd, ja myślę, że wszystkie lagry są do męczenia, tam długo się nie żyje. I powiedział Ojcu, żebyśmy poszli do lasu, ale Tatuś nie był zadowolony. I tak

zostało, aż przeszły dwa tygodnie, a całe dni my[śmy] żyli [w] strachu. Tata bardzo lubił Janka, miał najlepsze zdanie o nim, ten Janek był znajomym mojego Ojca. Przeszedł dzień za dniem [i] każdy jeden był nerwowy, myślał o tym samym: gdzie ma uciec. Raz mój Ojciec zawołał Janka i zaczęli omawiać różne rzeczy, aż Tata mówi do Janka: Słuchaj, ja już jestem stary, mnie już nie zależy na niczym, moja żona umarła, nie mam ochoty do życia, nie jestem [w] stanie poniewierać [się] po lesie, i tak nie przeżyję wojny, ale ty jesteś młody człowiek, ty musisz przeżyć, ale ja osobiście cię proszę, żebyś ty się opiekował moją córką: jak mi dasz słowo, to ci uwierzę. Ale bardzo cię proszę, żeby moja córka o tym nie wiedziała, co ja z tobą rozmawiałem. Jak mnie [już] nie będzie, to możesz [jej] powiedzieć. Janek przysięgł Ojcu, że jak długo on będzie żył, to on będzie moim opiekunem. Janek powiedział do Taty: Ja mam jeszcze młod[sz]ego brata, to będę miał dwoje ludzi pod moją opieką. Janek przyszedł do Taty i powiedział mu, że on ma znajomego policjanta [i] że go prosił, żeby się postarać, żeby Taty poszedł do Mielca, [bo] tam jest dość dobry lager. Tata się zgodził i był bardzo zadowolony. Na drugi dzień Tata zaczął się pakować i przygotował się do lagru, tylko czekał, żeby Janek mu dał znać. Dla mnie to było tragiczne; myślałam, że świat się kończy przede mną. Było beznadziejnie, nie mogłam się pogodzić [z] myślami, jak ja będę żyła bez Ojca. Czym więcej myślałam, tym więcej byłam chora, ale nie chciałam pokazać Ojcu, że się martwię.

Tata mnie co chwilę pytał: Czy ty jesteś pewna, żebym ja poszedł do lagru, bo jak nie, to ja mogę zrezygnować. Ja mu odpowiadam: Jestem pewna, że to jest dla naszego dobra. Janek przyszedł do nas i mówi do mnie, żebym ja się nie martwiła, że on mnie zabierze do lasu – co on będzie jadł, to i ja zjem, gdziekolwiek on będzie, to ja będę. Na mnie zrobiło to takie okropne wrażenie, że nie mogłam wypowiedzieć ani słowa, byłam cała sparaliżowana, ale jednak każdy musi się pogodzić [z] losem, nie miałam innej rady. W tym samym dniu Janek powiedział Ojcu, że policjant mu powiedział, że tej nocy jak Tata chce, to go może przeprowadzić [do Mielca]. Tata natychmiast [się] zgodził.

Bronia i ja, Rubin [i] wszyscy, kto był [w] tym domu, bardzo się rozplakali, bo Tata był nadzwyczajnym dobrym człowiekiem. Janek poszedł na zakupy dla Ojca, żeby miał dużo konserwowane puszki. Tę noc ja nigdy nie zapomnę, to było o dwunastej [w] nocy, serce mi tak waliło, jakby mi ktoś kowadłem uderzył. Tata powiedział do mnie łagodnym głosem: Tak Pan Bóg chce i widocznie to jest dla dobra naszego; nigdy bym sobie nie wyobraził, że ja pójdę [w] inną stronę i ty gdzie indziej. O ile ty mnie kochasz, to zrób to dla mnie, żebyś była silna [na] duchu i mów do siebie: ja muszę przeżyć wojnę i po wojnie, jak ja będę żył, to się zobaczymy [w] tym samym miejscu. Każdy płakał [tak, że] mogło to ruszyć kamienia. [Ojciec] zawołał Janka i ścisnął mu rękę i mówi do niego: czy to jest święte, co ja ci powiedział[em]? Janek powiedział: Dobrze ja wszystko pamiętam,

tylko nie martw się... Zamknął drzwi za sobą, każdy był bardzo wzruszony. Janek poszedł [z] Ojcem i zaprowadził go do policjanta, i on go zabrał do Mielca. Ja nie mogłam spać całą noc. Bronia cały czas była ze mną i pocieszała mnie. Na drugi dzień byłam jak nieżywa, byłam bardzo zrezygnowana, nie mogło mi wejść do głowy, jak ja mogła[m] sama zostać na świecie, bez Matki [i] Ojca, ale pamiętałam, co Ojciec mi powiedział. Każdy był bardzo dobry dla mnie. Bronia nie chciała, żebym poczuła, że jestem sama, starała się jak najlepiej się zachowywać do mnie, ale to i nic nie pomogło. Czym więcej ona się starała, tym więcej ja była[m] smutniejsza.

Janek przyszedł do nas co dzień, on zawsze był gotowy mi pomóc [w] każdej sytuacji, dni były beznadziejne, a [w] mieście już była panika, każdy rozmawiał, że ma być wysiedlenie, każdy był niecierpliwy. Raz Janek przyszedł do mnie i Broni, powiedział, że ten policjant, który zaprowadził Ojca do lagru, powiedział mu, że ma być judenraj[n]7, że to za niedługo. Janek dał propozycję, żebyśmy poszli do lasu, bo nie wiadomo, co jutro przyniesie. Bronia zaczęła płakać: Jak ja mogę zostawić te piękne meble, co ja całe życie pracowałam na to, ty nie wiesz, bo ty jesteś mężczyzna, to nie masz takie uczucie, jak ja mogę zabrać taką cudną garderobę. Janek bardzo się zdziwił, że Bronia tak gada, i mówi do niej: Przecież widzisz, co się dzieje na tym świecie! Jak przeżyjesz wojnę, to wszystko będziesz miała, [a] o ile nie, to po co ci te cudne rzeczy? Janek powiedział do Broni: Czy ty idziesz? Daję ci dzień do myślenia, na drugi dzień ja tu będę i chcę mieć odpowiedź. Później się zwracał do mnie i mówi: Ja bym chciał, [żebyś] ty zapakowała twoje najlepsze rzeczy i dobre buty, ciepły płaszcz, żebyś była na pogotowiu. Ja się bardzo martwiłam, że Bronia jeszcze nie dała żadnej odpowiedzi, ale jednak się przygotowałam. Uszyłam sobie plecak, żeby mi było wygodnie nosić i [w] plecaku mogło więcej się umieścić rzeczy. Zapakowałam dwie pary butów, 4 sukienki, nocną koszulę, pończochy, dużą kołdrę i cały chleb, i marmoladę. Bronia była bardzo zdziwiona, jak ja mogę się zdecydować tak prędko na taką decyzję: Jak ty się będziesz mogła przyzwyczaić?

Ja się roześmiałam: Bardzo się dziwię, że tak gadasz, przecież jesteś już dorosły człowiek, jak ty możesz tak gadać, teraz jest wojna i musimy inaczej się prowadzić. Na drugi dzień Janek przyszedł do nas. Bronia mówi do niego: Ja nie pójdę do lasu, żeby zwierzęta mnie zjadły, ja wolę tu siedzieć. Janek odpowiada: W lesie to cię zwierzęta zjedzą, a w getcie to cię Niemcy zabiją. Ale to jest ostatni raz, co ja z tobą gadam na ten temat. Ale jednak jak ty będziesz gotowa, to cię zawsze zabiorę. [Daję] czas do 5 października, o ile nie będziesz gotowa, to idziemy bez ciebie.

Tymczasem Janek dowiedział [się,] w jaki sposób można się wydostać [z] getta, o której godzinie jest najlepiej wyjść, [żeby] nikt o tym nie wiedział. To był wielki sekret. Zapoznał się z jednym panem, [który] się nazywał Lasota, i ten

Lasota znał dokładnie drogę do duleckich lasów⁸. I ten pan miał znajomych policjantów. Musiało kosztować dużo pieniędzy, [żeby] nas przeprowadzić, każdy z nas musiał dać po pięćdziesiąt złotych, było nas 5 ludzi: dwie kobiety [i] 3 mężczyzn. Ten dzień ja nie zapomnę – to było 5 października 1942 [roku]. Deszcz padał, było bardzo ciemno, straszny wiatr był, było bardzo niebezpiecznie, ale Janek się zdecydował, że musimy iść o czwartej nad ranem. Byliśmy przygotowane i przeszliśmy druty elektryczne i było [w] porządku. Lasota czekał na drugiej stronie i miał przygotowany duży sznur, żebyśmy mogli trzymać ten sznur, żebyśmy się nie zgubili. Tak myśmy prędko lecieli, że to jest niemożliwe uwierzyć, że człowiek jest taki silny. Jak my[śmy] mogli to wytrzymać, widocznie mieliśmy lata do życia. Ja zawsze byłam taka słaba, zawsze chorowałam w domu, tylko szkoda, że Tata tego nie widział. Widocznie jak się musi, to się wszystko potrafi. [O] 6.30 zaszliśmy do duleckiego lasu, każdy był zadowolony, że może spocząć. Już było zimno i bardzo mokro, bo deszcz padał całą noc, my[śmy] weszli do środka i zrobiliśmy ogień. Stałam przy ogniu bardzo blisko, i tak się wysusiałam. Ja sobie myślałam, że Bronia dobrze zrobiła, że nie poszła z nami.

Mój chleb był cały mokry; położyłam go na ogień i ten cały chleb był niedobry, ale jak się jest głodnym, to się wszystko je. Janek miał cały chlebak z chlebem i masło, cukru, zapalki, garczek, nóż, parę kartofli, on się dzielił z nami. Janek był nadzwyczajny człowiek -[w] taki[ch] sytuacj[ach] poznaje się ludzi. Jak my zjedli[śmy], to my przeszli[śmy] na drugą stronę, żeby nie było żadn[ych] ślad[ów]. Nabraliśmy pełno liści, każdy nas się obszył liśćmi, i tak my leżeli[-śmy], aż się ciemno zrobiło. Janek zaczął łamać gałęzie i zaczęliśmy robić szałas. Ten szałas był zrobiony [z] drzewa i [z] liści, tak wyglądał jak żydowska suka⁹, i tam my spali[śmy]. Jeden z nas zawsze miał dyżur, o ile ktoś nas napadł. W nocy było słycać każdy szmer, o ile ktoś chodził po lesie nad ranem, ja ugotowałam [m] parę kartofli. Każdy był [w] lepszym humorze, już nie pamiętałam, jak mieszkanie wyglądało, tak prędko się przyzwyczaiłam. Tak wyglądało, jakbym była w lesie przez dłuższy czas. Trzeba było walczyć o życie każdą minutę, nie było tak lekko, ja[k] s[obi]e wyobrażałam. Trzeba było się uchronić przez Niemców. Bandytów.

Przez cały dzień my siedzieli[śmy] tak cicho, że słycać było [głos] własnej duszy. W nocy Janek sam wyszedł po zakupy i ja nagotowałam, przygotowałam [jedzenie] na cały dzień. Byliśmy już tydzień w lesie, to myśmy zrobili kryjówkę. Pracowaliśmy przez 4 dni, na wierz[chu] to nie było poznać, tak było dobrze zrobione, że to nigdy w życiu nikt by się nie spodziewał, że to jest kryjówka, i tam myśmy leżeli przez cały dzień i gdzie indziej my gotowali, i tak żeby nie było żadne ślady, że ktoś się schowa. 5 ludzi było w tej kryjówce, nie było czym oddychać. Było bardzo źle leżeć, każdy był skurczony, bo nie było dużo miejsca. Jak trzeba było pójść do klozetu, musiał wyjść z kryjówki. I tam się zebrało chleba

i wody, kartofle. Każdy dostał po jednym kartoflu i kawał chleba i szklanę wody. Nie mieliśmy do syta, ale każdy był zadowolony, tylko marzył[, by] przeżyć wojnę.

[Gdy] w nocy my wyszli[śmy] i zrobiliśmy ogień, to przychodzi cała grupa ludzi i przypadkowo byli [tam] moi znajomi z mojego miasta. Bardzo się ucieszyłam, że nie tylko my chowamy się po lasach. Nie byli daleko od nas, godzinę do chodzenia. Oni nam zawsze mówili, że trzeba być bardzo ostrożnym, że my za głośno gadamy, że to jest niedobrze, że ktoś nas wyda. Ten pan się nazywał Mendel. Janek się bardzo zdenerwował, [z] jakiej racji on ma mi powiedzieć, ja już jestem dorosły człowiek, ja wiem, co ja robię. Janek mówi do mnie: Widzisz, jakich znajomych ty masz, że wszystko ich obchodzi. Ja mu odpowiadam, że ty nie masz racji, ja myślę, że Mendel myśli [dla] dobra nas, ty jesteś honorowy, nie wolno być takim honorowym. Janek bardzo się gniewał, nie gadał do mnie przez parę dni. Mnie to bardzo bolało, że on do mnie nie gada, ale jednak Janek mnie przeprosił. Tymczasem pogody nie były takie dobre, zaczęły się deszcze. Janek musiał kupić deszczowe płaszcze dla nas i gumowe buty. Było bardzo ciężko gotować na polu, bo deszcz zgasił ogień.

Życie było bardzo monotonne i beznadziejne, jak by nie Janek, to by każdy był się zgłosił do lagru. On miał taką otuchę, że nie dał nam paść. Głowa do góry! Ja miałam wielkie zainteresowanie – jako człowiek on był szalenie inteligentnym i bardzo dużo czytał. Ja szanowałam go tak, jakby był moim Ojcem. Tak przeszły dni. Dzień był jak cały rok. Mendel raz przyszedł i powiedział, że jemu się zdaje, że Niemcy nas spojrzali, że musimy się przenieść na inną stronę natychmiast. My zabrali[śmy] wszystkie rzeczy. Mendel nam pomógł i tam zaczęliśmy robić inną kryjówkę. Nie było tak łatwo, trzeba było na nowo zacząć, co można było zrobić. Janek bardzo ciężko pracował i bardzo się starał, żeby każdy był zadowolony. Dwa razy w tygodniu Janek wyszedł na zakupy. Miał znajomego chłopca i wszystko zakupił. Janek mu dał złota i diamentowe pierścionki – matka dała mu [je,] jak wyszedł z domu. Tak przeszedł dzień za dniem. Miałam duży kalendarz i codziennie podkreślałam każdy dzień, inaczej bym nie wiedziała, co za dzień jest każdy dzień, który przeszedł. To było bliżej do wolności, Mendel często nas odwiedzał. On nas zawsze krytykował, że nie prowadzimy się [w] porządku, że głośno mówimy, że palimy [w] dzień, że to jest bardzo niebezpieczne. Raz jeden mężczyzna przeszedł przez las i powiedział, że chce nam pomóc. Janek zaraz poszedł z nim do Mendla i przedstawił mu tego pana. Mendel natychmiast mówi do nas, każdy żeby był przygotowany ze swoimi rzeczami, bo to się jemu nie podoba. Że on jest pewny, że to musi być jakiś aferzysta. Żeby być bardzo ostrożnym, że z tego [nic] dobrego nie wyjdzie.

Wykazało się później, że on był esesman¹⁰. Myśmy się natychmiast przenieśli. Było zimno, był okropny wiatr. Tak nas strach ogarniał, że baliśmy [się] własnej duszy. Byliśmy niedaleko Mendla, tam naprawdę było bardzo ostro. Tam

gdzie Mendel miał schrony, 6 rodzin -25 ludzi i oprócz tego było 3 dzieci. Z tymi dziećmi było najgorsze, jak trzeba było być cichym, to te dzieci płakali, ale trudno się nazywa. Tak każdy musiał godzić [się z] losem. Ja specjalnie byłam zadowolona, miałam przecucie, że w taki sposób się ukryjemy. Co dzień każdy z nas miał dyżur dookoła, czy ktoś nas podsłuchuje.

To nie można sobie wyobrazić życia, że można tak żyć, w takich warunkach. Ja zawsze byłam chora. [W] domu prawie co drugi tydzień chorowałam na gardło, ale w lesie byłam taka silna. Zawsze byłam głodna, mokra. Deszcze padały, nie miałam się gdzie wysuszyć, bo [w] dzień Mendel nie pozwalał robić ogień, to czekałam na noc, ale mimo wszystko byłam zadowolona, bo wiedziałam, że nie mam innej rady. Janek i Mendel chodzili na wieś i dostali prowiantu, tak że każdy mógł jeść nie do syta, tylko żeby podtrzymać duszę. Każdy leżał cały dzień, nic nie pracował, tak wystarczyło, co się jadło. Każdy mężczyzna musiał mieć karabin. Jeden pan ich uczył, jak się bronić. Kobiety też się uczyli, jak mają obchodzić [się] z rewolwerem. Dnie były strasznie długie, każdy prosił Boga, żeby jak najprędzej przeszła wojna.

Raz Janek [i] Mendel poszli na zakupy; Mendel wrócił sam, bardzo przestraszony – cały się trząsał, nie mógł nic gadać. Ja miałam bardzo niedobre przecucie i pytam się: Ty musisz nam powiedzieć prawdę, to jest krytyczny czas. O ile jest zraniony, to powiedz, może możemy mu pomóc. Mendel mi odpowiada: Nie wiem, co się stało. Niemcy nas widzieli i zaczęli do nas strzelać. Ja mówiłam do Janka, żeby za mną uciekł. Nie wiem, czy go zastrzelili, czy został zraniony. Po całym kampie była straszna panika, zabraliśmy rzeczy, poszliśmy na drugą stronę, bo myśmy się bały, że Janek przez przypadek nas wyda. Tymczasem Janek nie wrócił, bo został zabity. Ja się czułam tak, jak[by]m straciła mojego Ojca. Bardzo się martwiłam, bo zostałam sama i nie miałam dużo pieniędzy. Zawsze pamiętałam, co Tata mi powiedział przed wyjazdem: Głowa do góry i nie tracić nadziei, ale łatwo się mówi.

Nasza grupa złączyła się z tamtą grupą, dlatego że Janek został zabity, to nie miał się kto opiekować nami. Poszliśmy zupełnie na inną stronę lasu i tam zaczęliśmy robić schrony. Zrobiliśmy 3 schrony, 2 rodziny mieszkali razem. Jak Janek zmarł, to ja zostałam przydzielona do jednej rodziny i oni się mną opiekowali. Tam był ojciec i dwie córki. Jedna córka miała 28 lat i jedna córka była [w] tym samym wieku co ja. To była niedobra sytuacja. Jak ona niedobrze [się] zachowywała, to mówili, że ja jestem winna. Byłam bardzo nieszczęśliwa i nie mogłam nic mówić, bo to było bardzo ładnie [z] ich strony – przecież nie miały żadne[go] zobowiązania, oni mnie nie znali. Ja określe ten schron: był bardzo szeroki; tam gdzie się spało, to było pełno słomy na wierzchu, były półki – tam się trzymało wszystkie rzeczy, był zrobiony komin i tam się gotowało, i siedzenia były duże, i ławki, i tak jadło, trzymało się talerz [w] rękach. Mieliśmy dość miejsca i

kartofle. Jedna z nas gotowała, jedna myła naczynia.

Wtedy było bardzo zimno, śnieg padał, trzeba było [być] bardzo ostrożnym – każdy krok znać było. Jak wyszli na wieś na zakupy, to sobie zrobili takie nóżki jak ptaki 11 maja. To było zrobione [z] drzewa, identyczne takie ślady zrobiły, tak jak ptaki chodzili. Nikt nie mógł s[obi]e wyobrazić, że ludzie są [w] środku lasu. Cały dzień siedzieli[śmy] bardzo spokojnie, jeden czytał dużo, [inni] pisali dzienniki, niektóre wyszy[wa]ły obrazy, każdy sobie urządził, żeby ten [dzień] przeszedł. Zawsze my żyli[śmy] nadzieją, że za niedługo będzie po wojnie, ale to tylko było marzenie.

Zrobiły się ciężkie mrozy, było bardzo zimno, nikt nie miał odpowiednie[go] ubrania, tośmy bardzo mało wyszli na pole. Mężczyźni byli więcej odporne. Mieliśmy dużo kłopotu z wodą, bo nam zamarzała. Ta dolina była zrobiona 1 kilometr przed schronem i tak co dzień jeden z nas wyszedł po wodę. Mieliśmy długi sznur i garczek i tak odebraliśmy tę wodę. Musieliśmy zamaskować ślady. [W] zimie było o wiele lepiej, bo Niemcy myśleli, że my [mamy] dużo karabinów, że tylko sami mężczyźni [są u] nas, to było dobrze. Raz Mendel i Minka przyszedli do domu i powiedzieli, że ten znajomy pan, co kupuje [produkty] spożywcze, to mu powiedział, że w lesie się chowają bandyci, że one są bardzo niebezpieczne, jeden się nazywa Lasota, [inni] Izek, Julek, Franek – że oni są dzikie na punkcie kobiet¹². Każdy zaczął pracować i zrobiliśmy dużą kryjówkę, tak że było niemożliwe poznać, tak to było zrobione.

Przeszło parę tygodni i było cicho, teraz trzeba było się uchronić od Niemców i tych bandytów, było bardzo źle, każdy był zdenerwowany – już nie było tak jak przedtem. Co się słyszało jaki szmer, to wszystkie kobiety lecieli do schronu. Było okropnie tak żyć, [w] dzień i [w] nocy te bandyci tak dobrze znali drogę w lesie, bo oni przed wojną chowali się po lasach. Wiedzieliśmy, że później czy wcześniej nas znajdą. Mendel dał propozycję, żeby każda kobieta ubrała się [w] stare łachy, nasmarowała twarz czarną kredką, tak się zrobić, żeby każda wyglądała jak stara kobieta. Ale jak długo można się maskować? Jeden z nas zawsze stał na warcie i przychodzi jedna kobieta i mówi, że jej się zdaje, że usłyszała kroki. Wszyscy weszli do kryjówki, ale 3 mężczyzn [zo]stali na polu, chcieli widzieć, czy Niemcy nas spionują¹³. Tymczasem ujrzeli tych bandytów [i] Mendel się pyta: Ręce do góry, jak nie, to strzelam i proszę się zbliżyć do nas, kto wy właściwie jesteście? To te zboczeńcy¹⁴ odpowiadali: My wam nic złego nie zrobimy. Niemcy nas szukają, bo myśmy okradli wójta z Dulczy, my się chcemy ukryć razem z wami. Mendel odpowiada: My nie mamy na tyle miejsca, wy jesteście 4 mężczyzn. Tymczasem oni weszli do schronu, im się ten schron nie podobał, to było wielkie szczęście dla nas. Byli przez parę godzin, [potem] poszli z powrotem. [Jeden] na wsi miał żonę i dzieci; jak było niebezpiecznie u niego w domu, to przyszedł do lasu. Tymczasem coraz się gorzej zrobiło, bo Niemcy

wiedzieli, że bandyci są w lesie. Niemcy zaczęły robić obławy, trzeba było siedzieć cały dzień [w] kryjówce. Na noc my wyszli[śmy] ze schronu. Było bardzo ciężko pójść na zakupy, bo chłopcy bali się sprzeda[wa]ć, groziła im śmierć, ale mimo wszystko nam sprzedali. Mężczyźni tak sobie ułożyli, że wyszli raz na tydzień. Każdy stracił otuchę, ja myślałam, że to koniec świata – nigdy w życiu bym sobie nie wyobraziła, że słońce jeszcze zaświeci nad nami.

Tymczasem jeden z naszych ludzi nie chciał więcej cierpieć i wyszedł na wieś i chciał się ukryć u Polaka. Przez przypadek widział mojego brata (mój brat był kierownikiem partyzantki) i ten pan mu powiedział, że ja się znajduję [w] duleckich lasach¹⁵. On bardzo się [u]cieszył, natychmiast zabrał 20 chłopców i zaczęli mnie szukać, ale my nie wiedzieli[śmy], że to jest mój brat. Myśmy myśleli, że to są Niemcy, to natychmiast się schowali[śmy] do schronu. Mój brat tak chodził prawie przez cały dzień. To było moje szczęście, że brat [nas] nie znalazł, bo 6 tygodni później złapali mojego brata i zastrzelili go. Ten sam pan wrócił, to mi powiedział całą [hi]storię. Ja siedziałam żywa, byłam bardzo rozgoryczona, ale wiedziałam, że muszę walczyć na życie. Jak będę taka smutna, to nikt mnie nie będzie lubiał. Zebrałam się ze wszystkimi siłami i mówiłam do siebie: to jest czas, żebym trochę zmądrzała, [w] takim czasie człowiek staje się jak zwierzę, każdy jeden staje się wielki egoista. Ja tylko prosiłam Boga, żebym przeżyła wojnę. Nie byłam zrezygnowana, bardzo się rwałam do życia, tylko prosiłam Boga, żeby Tata przeżył.

Tymczasem bandyci zaczęli przychodzić często do nas, dużo z nas cierpi[ało], bo oni tylko szukali młodych dziewcząt. Było ciężko się ukryć od nich, to już było najgorsze. Tymczasem pogody były lepsze, już nie było śniegu na ziemi, ale jeszcze było zimno. Dużo razy te bandyci nam pomogli, jak miała być obława, to oni byli pierwsze, że wiedzieli. Jeden polski policjant dał im znać. Bandyci za to zapłacili dużo pieniędzy.

Prawie że co parę tygodni były obławy, raz [w] nocy był olbrzymi trzask, każdy z nas bardzo się zląkł i natychmiast my weszli[śmy] do kryjówki. Nad ranem to Mendel wyszedł, oglądnął się dookoła i widział, że samolot upadł i że tam leży jeden człowiek nieżywy. Tymczasem Mendel zaczął szukać, myślał, że coś znajdzie, że nam się przyda. Tymczasem słyszy głos: Rzuć karabin, i pyta się: Kto ty jesteś? Mendel zaraz zobaczył, że to są Rosjanie, i on mu powiedział, że on się ukrywa w lesie, bo jest Żydem. Tymczasem oddali mu karabin i dali mu wódki i chleba. Mendel się pyta: Co wy tutaj robicie? Oni odpowiadali, że są s[z]p[i]onami. Mieli ze sobą telefon, rozmawiali po rosyjsku. Nie wiem, w jaki sposób oni mieli tę informację i mówili do Mendla: Musisz się ukryć, bo tysiąc niemieckich żołnierzy będą nas szukać. Mendel przyszedł do nas, myśmy weszli do kryjówki. Godzinę później już było pełno Niemców, myśmy wszystko słyszeli, serce nam biło jak kowadłem. Szukali przez cały dzień, było nas 10 ludzi [w] kryjówce, tak my cicho

siedzieli[śmy], że myśmy się bali oddychać. Ten dzień wyglądał jak cały rok, ale Bogu dzięki że nas nikt nie spojrzał. Wyszliśmy o 11 w nocy, zgotowaliśmy coś łatwego i weszliśmy z powrotem do kryjówki.

Na drugi dzień też szukali, ale znaleźli samolot, rozebrali go na kawałki, zabrali to, co im było potrzebne, i poszli. Każdy z nas się bał swobodnie kręcić przez dłuższy czas, byliśmy zadowoleni, bo bandyci się bali wejść do lasu. Żyliśmy bez radia przez cały czas. Jak ja byłam w lesie, to ja nie widziałam gazety, nie wiedzieliśmy, czy jeszcze jest wojna, czy się wojna skończyła. Jeden Rosjanin, który spadł z samolotu, [mówił], że wojna tak prędko się nie skończy, że Hitler jest prawie we wszystkich krajach, że jest bardzo silny, żeby się nie łudzić, że Niemcy są bardzo silne, ale jednak nie wolno stracić nadziei. My nigdy nie pokazali[śmy] schrony do tych Rosjanów, bo my nie mieliśmy] do nich zaufanie. Oni mieli dużo pieniędzy, dali sobie rady. Ja[k] szłam z Mendlem urwać, to nas te Rosjanie spotkali i mówią, że jest bardzo niebezpiecznie mieszkać w lesie i oni mnie chcą zabrać ze sobą. Ja odpowiadałam: Co będzie ze wszystkimi moimi znajom[y]mi, to i będzie ze mną. Ja czułam, [że] jak pójdę z nimi, to ja się zgubię, że nie przeżyję wojny. Mendel był bardzo zadowolony, że tak im odpowiadał[am]. I mówili nam, że ma być obława, żeby być ostrożnym:

Jak wy się prowadzicie, to was znajdą, za głośno gadacie, wy myślicie, jak wy nie będziecie gotować [w] dzień, to nie będzie [można] żyć. Ja jestem pewny, że można żyć jaki[ś] czas z chlebem i z wodą. Musicie siedzieć [w] kryjówkach cały dzień, na noc trochę wyjść na powietrze. [W] tej kryjówce, co my siedzieli[śmy], nie było powietrza, było bardzo ciężko oddychać. Ja na przykład była[m] bardzo chora, było mi ciężko, ale nic nie mówiłam, wiedziała[m], że tak musi być.

Raz te bandyci przyszli do nas, to nie było czasu wejść do kryjówki. Ta dziewczynka nazywała się Mała, ona weszła na drzewo i tam siedziała. Jak na złość te bandyci stali na jednym miejscu i tak rozmawiali [z] Mendlem. Edziek16 mówi: Ktoś się tam rusza na drzewie. I on zaczął krzyczeć: Kto tam jest? To Mała się odzywa: Ja tu jestem. Wyjął rewolwer i zastrzelił ją. Ona upadła nieżywa, dostała kulę w głowę. Mendel bał się wymówić słowa, został jak sparaliżowany. Nie wiedział, co ma robić, czy uciekać, czy ma płakać, a te bandyci byli bardzo histeryczne. Jeden zaczął krzyczeć na drugie[go]. Zaczęli się bić między sobą, tymczasem Mendel uciekł, przyszedł do nas, [o]powiedział całą [hi]storię. Teraz musimy się uwziąć do nich, bo nie wiadomo, co jutro przyniesie.

Natychmiast [s]pakowaliśmy wszystkie rzeczy i zaczęliśmy na nowo pracować schrony i kryjówki. Każdy jeden wiedział, że o ile te bandyci przyjdą, to trzeba strzelać na nich. Mieliśmy bardzo dobre miejsce, byliśmy pewne, że nikt tu nas nie znajdzie. Złączyliśmy się [z] jeszcze jedną grupą, tam było [kilku?] samych młodych chłopców. Każdy z nich miał karabin i rewolwer. Myśmy się o wiele

lepiej czuli, każdy z nas się czuł o wiele pewniejszy. Jeden się nazywał Fienek, on był nadzwyczajnym żołnierzem, on był tak[i], jak[by] był [u]rodzony w lesie. Tak samo jedna kobieta [z] mężem; nazywała się Minka, ona była jak mężczyzna. Ona była taka [wy]rafinowana, jak tylko patrzyła na kogoś, to wiedziała, co ten człowiek myśli, ale dużo [to] nie pomogło. Raz w nocy niespodzianie te bandyci nadeszli i wchodzą do schronu i mówią do nas: Ja nic wam nie zrobię, o ile wy dacie wasze słowo, że będziemy żyć [w] zgodzie. Nie mieliśmy innej rady, bo jak się nie zgodzicie na nasze towarzystwo, to jeden nie zostanie przy życiu. Ja bardzo się trzęsłam, nie wiedziałam, co mam robić, czy zostać, czy mam uciekać, ale tym razem oni się bardzo dobrze zachowywali. Przynieśli nam gazetę polską. Sytuacja polityczna była bardzo niedobra, każdy stracił nadzieję. Minka mówiła: Jak długo można tak wytrzymać, zawsze żyć [w] strachu. To Fenek odpowiedział: Ty przecież jesteś dzielna kobieta, jak ty możesz tak gadać, ty wiesz, co się dzieje, [w] lagrach palą żywcem. A Minka odpowiada na to: Nie wiadomo, co jeszcze nam będzie.

Tymczasem było blisko do wiosny, ptaki tak cudnie śpiewały, słońce świeciło tak pięknie. Natura jest taka piękna, ale w moim sercu było ponuro. Byłam sama, bez Matki i Ojca, wiedziałam, że brat już nie żyje. Ja sobie zawsze myślałam, dlaczego ja właśnie żyję. Kto mnie zna bez rodziny, ja sama byłam między tymi wszystkimi, każdy miał kogoś, ja byłam samotna. Mimo wszystko jeszcze miałam szczęście, ta rodzina opiekowała się ze mną. Jednak chce się mieć własną rodzinę. Ja zawsze mówiłam do nich: Jak ja przeżyję wojnę, to ci wszystko odpłacę.

Z jedzeniem się zrobiło bardzo źle. Chłopy bali się nam sprzedawać prowiantu, nie mogli się tak swobodnie kręcić, bo jedni panowie wiedzieli, że Żydzi przychodzą na zakupy, to oni szpiegowali, czy to jest prawda. Raz nasi chłopcy wyszli od chłopca, to Niemcy czekali za nimi. Każdy się ogarniał z chlebem. Zaraz na drugi dzień zrobili obławę, tym razem znaleźli 6 ludzi [z] innej grupy. Ja prawie leżałam niedaleko tej kryjówki, co tych ludzi zastrzelili. Te krzyki to ja nigdy nie zapomnę, tak się prosili, żeby ich zostawić przy życiu, że to mogło wzruszyć zwierzę, ale niestety nic nie pomogło. [W] tej kryjówce było małe dziecko, co miało 7 lat, to ten chłopak mówi do Niemca: Co ja ci zrobiłem złego, ja jestem niewinnym dzieckiem, proszę cię, nie zastrzel mnie. Jak tylko to dziecko wygadało, to ten Niemiec rzucił granat i zaczęli szukać dalej. Ja leżałam [i] jeszcze parę osób, tak nam serce waliło, że strachu tak mnie żołądek bolał, że nie było do wytrzymania. Jeden patrzył się na drugiego, nie wolno było ruszać nawet rękami, żeby nie był szmer. Cały dzień my nic nie jedli[śmy]. W nocy my wyszli[śmy], poszłam do mojej grupy. Tym razem było mi bardzo źle, bo każdy na mnie krzyczał, że nie powinnam była odejść. Jak jeszcze raz tak zrobię, to oni mnie nie będą trzymać [w] tej grupie. Ale byłam taka przestraszona, że nawet nie słyszałam,

co oni mi mówili, bardzo się trzęsłam i straciłam nadzieję. Naprawdę widziałam, [w] jakiej okropnej sytuacji my się znajdujemy, że to nie ma sensu, tak zginąć w lesie, nawet nie będzie nikt płakać za mną. Zawołałam tę całą rodzinę i mówiłam do nich: Ja jestem bardzo wdzięczna, co wyście dla mnie zrobili, ale teraz przyszedł czas, ja już nie chcę być w lesie. Co ja słyszałam, jak oni się prosili, i nic nie pomogło, to ja nie chcę żyć, dlaczego ja mam być lepsza od nich, po co mi tak się męczyć, na końcu będzie to samo co z nimi. Tym razem ta rodzina bardzo się martwiła, natychmiast dali mi pigułki na uspokojenie i zasnęłam. Na drugi dzień czułam się jeszcze gorzej. Byłam bardzo przygnębiona, nie mogłam tej tragedii zapomnieć, że na tym świecie istnieją tacy zbroje. Ja byłam jeszcze młoda i to nie mogło mi przejść przez moją głowę; przez dłuższy czas ta rodzina na mnie bardzo uważała. Ale czasy goją to, co ziemia zakrywa, to się musi zapomnieć, inaczej to by świat nie istniał. Zaczęli wychodzić na zakupy raz na miesiąc. Te farmery przygotowali [w] stodole chleba i słoniny, zabrali to ostrożnie, żeby nikt nie widział, żeby nie narobić nieprzyjemności dla tego farmera. Przyszli do schronu szczęśliwi. W nocy to my ugotowali[smy] na cały dzień i [w] dzień to myśmy siedzieli bardzo spokojnie. Jeden czytał, jeden z nas pisał dziennik, haftowało się, jeden spał, niektórzy płakali, i tak przeszło dzień za dniem, bardzo monotonne życie było specjalnie dla młodych, ludzie nie mieli cierpliwości.

Dużo razy nie wiedzieliśmy, co za dzień jest. Bardzo mało z nas mieli zegarki, nawet nie wiedziałam, która godzina jest, to też się nazywało życie. Jak się trochę uspokoiło, to te bandyci zaczęli przychodzić z powrotem do lasu, ale nie było tak jak przedtem. Jeden z nich został zabity, byli bardzo wzruszeni, ale dla nas to było bardzo dobrze, bo oni nie byli tacy pewni siebie¹⁷. Zaczęli nam [udzielać] pomoc[y], przynieśli nam jedzenie.

Gdzie ja byłam w tej rodzinie, była tam 26 lat dziewczyna. Ona była całą gospodynią, jak coś było niedobrze zrobione, to ona zawsze mnie zawiniała, ale ja miałam szerokie plecy. Ja nigdy nie dałam odpowiedzi, wiedziałam, [że] jak nie będę posłuszna, to mnie wyrzucą. Ja osobiście wierzę w Boga i Pan Bóg był za mną na pewno. Każdy będzie miał zagadkę – ja już byłam parę razy przed kulą i nie została[m] zabita. Zawsze myślałam, że nie mam Matki ani Ojca, to mnie pierwszą zastrzelą, ale nie jest tak, jak komuś jest przeznaczone do życia, to przeżywa, żeby był [w] najgroźniej[szej] sytuacji. Mnie było bardzo nieprzyjemnie, że ja tak narzekałam na tę rodzinę, ale nie miałam innej rady. Każdy jeden chciał przeżyć tak samo i ja[k] to było [w] 1943, ten dzień pamiętam dokładnie. Te bandyci przyszli do lasu, opijani byli nienormalne. Ja [i] ta druga dziewczynka i jej siostra [brak tekstu – J.G.]. Staszek był taki zboczejcza¹⁸, że on należał do wariatów. On był niebezpiecznym człowiekiem, on zawsze trzymał w prawej ręce rewolwer i w lewej drugi. Tak on chodził cały czas, ta siostra była w schronie [z] jednym bandytą i ja [i] ta dziewczynka byliśmy na polu z nimi. Oni nas chcieli

opić, ale my wylali na ziemi[ę]. Oni nic nie zauważyli, ten Staszek poszedł do schronu i zastrzelili tę dziewczynę i jednego z tych bandytów. My byli[śmy] bardzo przestraszone i natychmiast my poleciali[śmy] do Mendla i opowiadałam mu całą [hi-] historię. Mendel zabrał swoją rodzinę i mnie, i tę drugą dziewczynkę, zaczęliśmy lecieć. Było między nami starsi ludzi[e], ale tak się leciało jak ptaki, nie wiem, jak myśmy mieli taką siłę, ale z Boską pomocą myśmy się schowali i złączyli z drugą grupą i zaczęli czekać na tych bandytów. Każdy z nas był bardzo wzruszony, pomimo wszystko nie było czasu, każdy jeden wiedział, że teraz jest czas, żeby ich wygonić. Zaczęła się walka przez parę godzin. Te bandyci uciekli i więcej nie wrócili do lasu. Ja była[m] bardzo przygnębiona, bo zabili moją gospodynię, to było tragiczne. Nie wiedziałam, co mam zrobić, ona była taka dobra do mnie, i tak i Bóg skarał.

Tymczasem był jeden, który się nazywał Fienek, i on przyszedł do mnie i mówi: Ja będę twoim opiekunem, ja cię utrzymam, ale ty musisz gotować. Dla nas ten Fienek otrzymał jeszcze jednego człowieka, on się nazywał Haskiel. Ten Haskiel to był z tego samego miasta co ja, [je]go znałam bardzo dobrze, bo on mieszkał na tej samej ulicy co ja i jego córka chodziła ze mną do szkoły. Jak ten Fienek mnie to powiedział, to ja się bardzo rozplakałam z radości. Wiedziałam, że teraz będzie mi dobrze, że Haskiel mnie znał, i to był kuzyn Fienka. Przeprowadziliśmy się na drugą stronę lasu, zaczęliśmy na nowo budować schrony. Było lato, piękne pogody, ale było bardzo niebezpiecznie, bo Niemcy robili dużo obław.

My byli[śmy w] jednym schronie z moją znajomą, ona też była z mojego miasta. Czułam się bardzo dobrze, każdy mnie znał. Ja miałam duży obowiązek – musiałam gotować i bardzo się starałam, ale nie wiedziałam jak. Ta znajoma mnie uczyła gotowania, po trochu się douczyłam. Fienek i Haskiel bardzo mnie dobrze traktowali. Oni byli o wiele starsi ode mnie, tak mnie traktowali jak siostrę. Fienek był nadzwyczajnym chłopcem, on nigdy mnie nie obraził. Bardzo się starał, żeby[m] się dobrze czuła u niego. Ten Fienek nie tylko był dla mnie dobry, tylko do każdego jednego. Fienek poszedł na zakupy raz w tygodniu i tam na wieś. Miał znajomego chłopca, który mu wszystko [s]przedał. Jak Fienek [i] Haskiel poszli na wieś, to ja całą noc nie mogłam spać, bo ja byłam taka przestraszona. Byłam bardzo nerwowa, tak prosiła[m] Boga, żeby Fienek był zdrowy, więcej jak dla mnie. Dostaliśmy gazetę, wiedzieliśmy, że tak prędko wojna się nie skończy. Było to w lecie, deszcze były. To było bardzo niedobrze dla nas, bo woda zeszła do schronu. Myśmy pracowali całą noc, doprowadziliśmy schron do porządku. Zrobiliśmy ogień na polu i suszyłam moją suknię i płaszcz. [W] dzień my zeszli[śmy] do kryjówki. Zaczęły się upały, było brak wody. Fienek z Hasklem szukali, gdzie kopać doły na wodę. Fienek mi przyniósł książki do czytania. Dzień był w lecie bardzo długi, można było zwariować, ale moja znajoma dodała mi

otuchy: Ja wiem, jak by twój Ojciec był z tobą, to jestem pewna, że on [by] ci nie dał stracić nadziei. Zobaczysz, że ty przeżyjesz, i Tata przeżyje też, to się trzymaj, tylko proś Boga, żebyś była zdrowa, żebyś to mogła wytrzymać. Ta znajoma była starsza ode mnie, ja zawsze poważalam starszych ludzi. Raz ja szłam fartuch i nożyc[ami] skaleczyłam sobie rękę, i cała ręka mi spuchła. Groziło mi, żebym dostała zakażenie, nie wiedziałam, co ma[m] robić. Wzięłam igłę, przebiłam, i tyle ropy było. Fienek poszedł do pana[, który] dał mu jodynę, i tak sama się leczyłam. Jakby to było w normalnym czasie, to bym ja już była w szpitalu. Raz Fienek poszedł do chłopca kupić prowiantu, to ten pan mu powiedział, że wójt jemu powiedział, że ma być wielka obława, że ktoś Niemcom doniósł, że chowają się dużo Żydów. Fienek przyszedł do nas nad ranem, myśmy weszli do kryjówki, w tej kryjówce były 4 osoby, tak my leżeli[śmy] jak śledzie bez powietrza. To naprawdę był cud Boski, jak my się nie udusili[śmy] tak.

O 11 godzinie myśmy słyszeli głosy niemieckie; strzelali, ale my nie wiedzieli[śmy], czy kogoś załapali, czy tylko tak czekają. Chodzili dookoła naszej kryjówki, a jeden Niemiec powiedział: Mnie się zdaje, że ja coś słyszałem. Zaczęli pukać dookoła i wzięli szable, zaczęli szukać. Moja znajoma prawie leżała koło drzwi i ta szabla dotknęła jej twarzy i o mało jej nie przebiła. Nie wolno było się ruszać, jeżeli nie, [to byli]byśmy zgubieni. Tymczasem jeden Niemiec mówi: Słyszałem, jak ktoś leci, i wyjął szablę i [po]leciał, tymczasem inny Niemiec mówi: O Boże, to jest zajac! Myśmy zostali w schronie przez całą noc, tak my byli[śmy] przejęte, że nie wiedzieliśmy, czy to jest dzień, czy noc. O 5 nad ranem Fienek przyszedł do nas i nam mówił, że i on bał się wyjść na pole. Wyszliśmy [we] troje, odpoczęliśmy i zabraliśmy [się] do jedzenia. [Potem] poszliśmy z powrotem do kryjówki i tam my siedzieli[śmy] przez dzień, a w nocy my wyszli[śmy] do schronu, zagotowali kartofle z rosółem, dobrze my zjedli[śmy] [i] poszliśmy spać, bo każdy był bardzo wyczerpany. Następnego dnia już było cicho [i] już my się swobodnie kręcili[śmy] po lesie, ale zawsze my byli[śmy] na warcie – a nuż ktoś nadejdzie. Mężczyźni grali w szachy i kobiety czytały, żeby mieć jakie[ś] zajęcie. Fienek i Haskiel raz wyszli na zakupy, to ten pan był bardzo uprzejmy dla nich [i] dał im wszystko za darmo, i mówi do Fienka: Ja muszę wam pomóc, mnie jest bardzo was żal. Jak coś potrzebujesz, to przyjdź do mnie, to ja zawsze będę gotowy pomóc. To Fienek odpowiada: Ja nie chcę za darmo, ja ci zapłacę. [Tamten] mówi: Jak często przychodzisz na zakupy? Fienek odpowiada: Raz na tydzień, czasami raz [w] miesiącu. Ten Pan mówi do Fienka: Przyjdź na drugi tydzień, to ci przygotuję całą świnie. Fienek przyszedł do domu taki wesoły, że znalazł takiego dobrego człowieka, że on musi być aniołem. Każdy się cieszył, a Fienek i Haskiel nie mogli się doczekać, żeby ten tydzień przeszedł.

Jak przyszedł ten czas, Fienek i Haskiel poszli do tego pana. Jak tylko przyszli blisko [do] tego chłopca, to Fienek ujrzał, że ktoś zaświecił elektryczną

lampę. Zaraz zobaczył pełno Szwabów, wokół zaczęli strzelać na Haskla i Fienka. Haskiel został zraniony; cała ręka była przestrelona, a Fienek miał kulę w nodze. Jak przyszli do schronu, to ja myślałam, że zemdleję. Krew się lała, byli tak przestraszeni, że nie mogli wymówić ani słowa. Natychmiast zdarłam swoją halkę i zrobiłam bandaże [i] tak mocno ścisnęłam rękę, że krew przestała [lecieć]. Równocześnie zabandażowałam Fienka, [który] był zraniony w nogę. Mendel poszedł do apteki, przyniósł jodynę, gazę, różne apteczne rzeczy. Zaczęło się bardzo źle, ja miałam cały obowiązek, wiedziałam, że teraz jest czas, żeby[m] się odwdzięczyła dla Haskla. Było bardzo źle, bo on miał kulę w środku, i to było niebezpieczne, bo ręka zaczęła puchnąć. Codziennie wyjęłam kawałki kości i wycisnęłam ropę i bardzo czysto trzymałam. Myłam borową wodą¹⁹ i trochę pomogła. Fienek nie był tak ranny, zrobiłam okłady i jemu było lepiej przez krótki czas. Tymczasem Fienek się postarał, żeby mnie zabrać na wieś na zakupy, i chodziłam z Mendlem. Przyniosłam mleka i chleba, dla chorych miałam 1 butelkę mleka na cały tydzień. Co dzień Fienek [i] Haskiel pił trochę, żeby im starczyło na tydzień.

Tymczasem Fienek czuł się lepiej, ale zrobiło go kaleką, dotykał²⁰ nogą. Dla niego to była tragedia, bo on był nieżonaty, on zawsze miał takie poczucie samoniższości. Tymczasem Haskiel był bardzo chory, miał gorączkę, musiał leżeć, nie mógł nawet podnieść głowy. Ale on miał taki humor, że on sobie nic nie robił z tego i zawsze mówił: Złemu nic nie będzie. Dużo [z] naszej grupy pomogli Hasklowi, ale jest bardzo źle, jak w takich warunkach się jest chory[m]. Ja co dzień wygniotłam ropy, ta ropa tak śmierdziała, że to było nie do wytrzymania. Dzięki temu, że się codziennie robiło opatrunki, to on został przy życiu. Jak by się nie trzymało czysto, to by był dostał gangreny. Widocznie miał lata do życia. Była taka sama [hi]istoria: jeden został przestrelony [w] rękę, to własna córka nie miała czasu dla niego.

Męczył się dosyć długo i umarł, ale to jest cud Boski, bo w normalnym czasie jak ktoś jest raniony, to zaraz trzeba pójść do szpitala. Jak się jest za późno, to jest niebezpiecznie, ale jednak się widzi[, że] bez lekarzów, bez szpitala on został wyleczony, ale kula jeszcze była w środku. Po wojnie dopiero zrobił operację.

Tymczasem Fienek zaczął z powrotem chodzić na zakupy, było normalnie, tak jak przedtem. Trzeba było być więcej ostrożnym, tak że było nie tak łatwo. Jedzenie było ograniczone: parę kartofli na dzień i kawał chleba, ale mimo wszystko każdy był zadowolony, że się wiedziało, że wojna nie zawsze będzie, że jest bliżej jak dalej. Fienek bardzo się zmienił od czasu[, gdy] był chory. Stał się wielki egoista, nie wiem dlaczego, ale jednak był lepszy od innych. Tymczasem Haskiel lepiej się czuł po tych opatrunkach, nie miał już gorączki, już nie leżał. Starał się jak najwięcej zebrać się i pójść na wieś, żeby mógł przynieść jedzenia dla

nas. On nie wymagał, żeby Fienek pracował na niego. Ja bardzo chciałam, żeby Fienek mnie zabrał, ale on nie chciał, bo to było niebezpieczne, bo ja nie znałam drogi, o ile bym się była zgubiła. Haskiel raz mówi do Fienka, że jest już czas, żeby on poszedł na zakupy, i Fienek mówi: O ile ty myślisz, że ty masz siły, to proszę bardzo. Fienek i Haskiel zabrali się i poszli. Po największej części trwało 4 godziny, tym razem coś przeczulałam bardzo groźne[go], ale ja nie chciałam nic mówić, zanim oni przyszli do domu. Tymczasem przeszło 7 godzin, ja byłam bardzo zdenerwowana, myślałam najgorsze. Tymczasem Fienek przyszedł do schronu sam, bardzo przygnębiony. Każdy go pytał, gdzie jest Haskiel. On zaczął płakać i mówi, że Haskiel się zgubił i że on nie może go szukać, że było bardzo ciemno, że jeden drugiego nie widział. Fienek miał wielkie wyrzuty, ale nic nie było co robić. Zaczęła się straszna panika. Zabrali[śmy] wszystkie rzeczy i przenieśliśmy się na drugą stronę, bo każdy się bał, że Niemcy go złapali. Tymczasem Haskiel poszedł do znajomego Polaka i on go ukrył aż do końca wojny. I Haskel jest w tym samym mieście, co ja jestem.

Tymczasem dla nas w lesie się zrobiło niedobrze, bo front się zbliżał i [wielu] Niemców było dookoła, tak że każdy dzień musieliśmy siedzieć w kryjówce i w nocy my wyszli[śmy] na powietrze. Tymczasem Fienek niedobrze się czuł i było mu ciężko iść na wieś. Zaczął mi dokuczać, ja zaraz zrozumiałam, że on widocznie nie chce się mną opiekować, to ja nie czekałam, żeby Fienek mi [to] powiedział. Doszłam do niego i mówię w bardzo ładnym tonie, że ja jestem bardzo wdzięczna [za to,] co on dla mnie robił dotychczas, ale ja widzę, że to dla niego jest wielki obowiązek, że ja jestem przygotowana być dla siebie, o ile on mnie zabierze na zakupy. Fienek był bardzo zadowolony, poznać było po twarzy. Ja byłam bardzo przygnębiona, ale [tego] nie wykazałam. Wiedział, że o ile ja się zgubię, jak pójdę na wieś, to ja jestem zgubiona, ale takiej sytuacji każdy się patrzy [na] siebie, każdy jest wielki egoista.

Tymczasem poszłam mieszkać na drugą stronę lasu i mi się nie podobało, ale nie miałam innej rady, ja myślałam, że to jest mój koniec, ale nigdy nie trzeba tracić nadziei. Przypomniałam sobie, co mój Kochany Ojciec mi powiedział, i to mnie trzymało przy życiu. Tymczasem dookoła okolicy ludzie ewakuowali się do lasu, bo Rosjanie się zbliżali. To Polacy uciekali, było bardzo dużo ludzi w lesie, to dla nas było lepiej. Ale Niemcy wiedzieli, że Żydzi się chowają w lesie, to raz przysłali jednego Niemca i on mówił po polsku, i mówi do nas, że on nam chce pomóc, że on nam przyniesie wszystkiego, ale było się bardzo ostrożnym. Fienek i Mendel zawsze się spotkał z tym Niemcem, on naprawdę nam przyniósł chleba, cukru i wszystkiego. Ale ja byłam sama dla siebie, dla mnie było lżej, że było dużo ludzi w lesie. Miałam jeszcze z domu pierścionek od Mamusi, to mi się dobrze przydało. Poszłam do jednej polskiej rodziny i mówię do nich, czy oni chcą kupić pierścionek. To ta pani mówi: Co ty chcesz za to. To ja odpowiadam: Nie mam

butów i płaszcz i trochę chleba. Oni się na mnie popatrzyli i pani mówi: Gdzie są twoje rodzice, czy ty jesteś sama w lesie? Ja odpowiadam, że moi rodzice nie żyją, że ja jestem ze znajomymi. Ta pani miała litość [dla] mnie i dała mi dobry płaszcz i cholewy, i dała mi 3 chleby i kawałek margaryny. Ja byłam szczęśliwa, że przynajmniej mogłam sobie dać trochę rady. Przyszłam do naszej grupy, zaczęłam tak płakać, że przynajmniej będę miała buty, że mi nie będzie zimno w zimie i moje stare buty były już zdarte. Fienek doszedł i pyta się: Gdzieś ty wzięła te rzeczy? To mu powiedziała[m] i on na mnie krzychał, że nie powinna[m] była pójść sama, bo mogli mnie poznać, że ja jestem Żydówka, i mówi do mnie: Jak ty chcesz pójść do tej pani, to ty mnie musisz zabrać. Fienek nic nie myślał, to było dla mojego dobra. Ja chciałam się dzielić z Fienkiem, ale Fienek mówi: Trzymaj ten chleb, ty jesteś sama, ja zawsze mogę sobie dać rady. Mnie to bardzo bolało, że on nie chciał nic wziąć ode mnie. Cały dzień my siedzieli[śmy] zamaskowani, nie mogliśmy się swobodnie ruszać w lesie, ale dużo z nas, kobiet, tylko ubraliśmy chustki na głowę, i tak my chodzili[śmy] i kupowali różne rzeczy, przeważnie prowiant. Zaczęłam się czuć doskonale, wiedziałam, że nie jestem zależna od nikogo, i to było cudne uczucie.

Tymczasem front się zbliżał, coraz dalej strzelali cały czas i było niebezpiecznie chodzić na polu, ale każdy był już taki zrezygnowany, że się nie zwróciło uwagę na niczego. Raz przyszedł rozkaz od Niemców, że każdy który jest w lesie, żeby wyjechali, że mają czasu cały tydzień, że po tygodniu jak ktoś się znajdzie w lesie, to będą strzelać. Ta Pani, co mi dała chleba, to mnie zawołała i mówi: Ja wiem, że ty jesteś Żydówka, ale nie chciałam nic mówić, ja ci chcę pomóc. Jak coś potrzebujesz, to mi powiedz, to się postaram, o ile mi będzie możliwe, to ci dam. Ja się zastanowiłam chwilę i odpowiadam: Tak, ja jestem Żydówką. I ona mówi do mnie: Nie bój się, ja cię nie wydam. Dała mi dużo chleba i szmalcu, trochę i kartofli, i to było dla mnie wielkie szczęście. Ten tydzień tak przeleciał, nie było ani żywej duszy w lesie oprócz nas, 28 ludzi. Myśmy się rozdzielili, każdy poszedł [do] innej kryjówki. Ja [i] jeszcze 4 ludzi my[śmy] byli w kryjówce i każdy był zadowolony, bo myśmy się dobrali, ale myśmy nie wiedzieli, że Fienek pokazał temu Niemcowi tę kryjówkę. Ten Niemiec zaczął chodzić do Fienka, pomógł mu, dał mu rewolwer, granaty. Ten Niemiec był taki mądry, że nikt w życiu nie mógł się spodziewać, że on nas wydał, ale Mendel zawsze mówił do Fienka, że on nas wyda. Jak jeszcze raz przyjdzie, żeby go nie wypuścić, że on musi być z nami. O ile on znajdzie wszystkie schrony, to on nas wyda. Ale Fienek był bardzo uparty i nie chciał nikogo słuchać. Każdy powiedział do Fienka: Ty masz rewolwer, ciebie nie złapią, jak zrobią obławę, to będzie bardzo źle. Mendel mówił do Fienka, ja jestem pewna, że ten schron, co oni tam leżą, to Niemiec wie o tym. Ja to słyszałam, to byłam bardzo wzruszona, ale nic nie mówiłam, ja sobie myślałam: o ile ja mam przeżyć, to i tak przeżyję. Czułam wielki żal do Fienka.

Nic nie wykazałam, byłam bardzo dumna i nie zależało mi na żadne konsekwencje. Tak przeszło, przez cały tydzień raz myśmy wyszli na pole, żebyśmy mogli trochę odetchnąć. To ja usłyszałam straszne krzyki po niemiecku, natychmiast my weszli do kryjówki. Jak tylko zamaskowałam kryjówkę, to zaczyna się strzelanie. Bardzo mi serce biło jak kowadłem, jeden patrzył się na drugiego, każdy milczał. Słyszeliśmy okropne krzyki: *Raus*, o ile nie wyjdziecie z kryjówki, to wrzucamy granat. Każdy z nas był jak [s]paraliżowany, jeden się patrzył na drugiego. Tymczasem zaczęli strzelać do góry, żeby nas przestraszyć. Natychmiast otworzyłam drzwiczki, które były zamaskowane tak pięknie, że to nie było możliwe poznać. Niemcy krzyczeli: Ręce do góry i jak ktoś ma broń, to wszystko wyrzucić. Myśmy wyszli, każdy był blady jak trup²¹. Ja specjalnie czułam się okropnie, tak długo byłam w lesie, na końcu mnie złapali. To było w roku 1944. Dookoła było szalenie dużo Niemców. Ja nosiłam takie piękne oficerki, to jeden Niemiec mi zerwał buty i powiedział: Ty możesz pójść boso, i tak niedługo będziesz żyła, bo cię zastrzelą. Zabrali nas na komendę i tam był zrobiony piękny schron, tak jak pokoje. Dopiero widziałam, jak daleko Niemcy byli od nas – tylko 2 kilometry. Myśmy siedzieli w schronie, tam byli wielki [?] oficerowie i zaczęli nas przesłuchiwać. Tymczasem oglądałam się, to mi się źle zrobiło: złapali prawie nas wszystkich, tylko Fienia i Mendla i jeszcze parę ludzi nie widziałam. Między nami było dużo starszych i jedno dziecko, ono miało 6 lat, i to dziecko było takie mądre, że on nas pocieszał. Niemcy zaczęli nas wypytywać i mówi[li] do nas, czy my wiemy, co nam grozi, że był rozkaz, że wszyscy ludzie muszą wyjść z lasu: o ile wy tu jesteście, to jesteście spajami²². To jedna się odzywa: Jak my możemy być spajami, przecież widzisz, że tu są starsi ludzie i dzieci, i sama była bardzo młoda, że nawet ślepy widział, że to jest niemożliwe.

Jeden oficer zaczął mnie wypytywać, dlaczego ja się chowałam w lesie, jak długo, [w] jaki sposób my[śmy] żyli, jak my[śmy] gotowali. Ja mu odpowiadałam jednym słowem: Ja jestem Żydówką i chciałam przeżyć wojnę, dlatego jestem w lesie. On mi uwierzył, ale to nie był jeszcze koniec. Posłał mnie jeszcze do innego Niemca i on był jak pies strasznie ostry. Powiedział do mnie: Ty musisz być spajem, bo my[-śmy] dali rozkaz, żeby ludność cywilna wyniosła [się] z lasu. On miał te papiery, co mu tamten Niemiec dał, i mówi do mnie: Ja tu widzę, że ty jesteś za mądra, ja nic nie mam czasu dla ciebie. Zawołał jednego Niemca i mówi do niego: Zaprowadź ją do generała, co on postanowi, to ja się zgadzam. Napierw ten Niemiec wszedł do schronu i powiedział do mnie: Ty tu czekaj, aż ja cię zawołam, wszedł do środka. Ja czekałam 5 minut, wszedł jeden Niemiec, starszy człowiek, wysoki, z brodą, wyglądał jak Żyd. Mnie się lepiej zrobiło na sercu. Wszłam do schronu; tam był długi stół z krzesłami, 4 łóżka, redło [krzesło?], maszyna do pisania, różne mapy wisiały na ścianie, telefon, bardzo dużo rewolwerów, różne wojskowe rzeczy, maski gazowe. Ja się oglądałam dookoła i

strasznie się czułam, i mówię do nich: Ja pana bardzo proszę, o ile ty musisz mnie zastrzelić, to proszę cię, żebyś mi natychmiast dał kulę w głowę, bo ja już nie jestem w stanie wytrzymać bez jedzenia i tak zimno bez butów, ja widzę, że wy bardzo nas będziecie męczyć. I tak umrzemy z głodu, to lepiej skończ [ze mną] na miejscu. Ten Niemiec milczał przez minutę i odpowiada: Wy wszyscy macie szczęście. I ja go pytam dlaczego, to on mi odpowiada: Parę tygodni temu my[śmy] dostali rozkaz od naszego Führera Hitlera, żeby nie strzelać. Ja ci nic nie zrobię, ale muszę cię posłać do więzienia, bo wiosna się zbliża i nam nie wolno trzymać tutaj prywatnych ludzi. Nie jesteście spajami, ale papiery pójdą jako spaj. Był w bardzo niedobrym humorze, bardzo smutny, poznać było po nim, że Niemcy źle trzymają przy froncie. Nie było, co jest, każdy jeden wyglądał jak śmierć, każdy z nich bał się gadać ani słowa.

Zabrali nas wszystkich, co nas złapali, do jednego budynku. Tam były puste pokoje i bardzo zimno, nic nie dawali nam do jedzenia, przez całą noc 6 Niemców nas pilnowało. Razem ze mną złapali jedną dziewczynę. Ona się nazywała Celina. Jak się zrobiło ciemno, to doszła[m] do Celiny i bardzo ją prosiłam, o ile ona ucieknie, to żeby mnie zabrała ze sobą. Ona była z mężem. Celina odpowiada: Czyś ty zwariowała, jak ty możesz tak myśleć, ci coś wpadło do głowy. Myśmy prawie przez cały czas byli razem w lesie, to byłam pewna, że mówi prawdę. Nie wiedziałam, że człowiek może być taki egoista. Ja zasnęłam na ziemi, obudziłam się nad ranem ogłodniała, i dookoła widzę, że Celiny i jej męża nie ma. Nic nie mówiłam, ale bardzo mnie bolało. Tymczasem każdy z nas się obudził, każdy patrzył jeden na drugiego i to samo my[śmy] mieli na myśli, tylko ten mały chłopczyk spał. Jego matka była zadowolona, że to dziecko przynajmniej się wysypia. Ta matka od tego dziecka bardzo prosiła tego Niemca, żeby przynajmniej dał kawałek chleba dla tego dziecka. To ten Niemiec odpowiada: Tobie by było za dobrze, jak ja bym ci dał chleb. Ja mam rozkaz, żeby nic nikomu [nie dawać], tak to prędzej umrzecie. Ten chłopczyk jeszcze spał, myśmy już mieli wyjść na pieszo do Mielca, to było 20 kilometrów²³. Ja nie miałam butów i było bardzo zimno, 20 stopni mrozu. Z daleka widziałam[w] worek [od] kartofli, to zabrałam ten worek, rozerwałam go na dwie części i zawiązałam nogi. Każdy jeden z nas się dobrze okręcił, czym miał, najgorsze się było przypatrzeć na to małe dziecko. Zaczął płakać, że jest bardzo głodny, że nie ma siły chodzić, i mówi do matki: Ty jesteś niedobra, jak ty mi nie dajesz jeść, jak ty możesz wytrzymać w taki sposób, trzeba tych Niemców zabić. To dziecko mówiło po polsku dobrze, że on nie zrozumiał. Później przyszli paru Niemców, jeden miał kawałek chleba i dał temu chłopcykowi. To dziecko nazywało się Dawid. Te Niemcy wywołali nas i ustawili nas parkami, związali nas ze sznurami, żebyśmy nie mogli uciec. Jeden Niemiec siedział na koniu i ten Niemiec trzymał ten sznur. Było ich cztery Niemcy i dwa olbrzymie niemieckie psy, ja byłam młoda i zdrowa i nerwy mnie nosiły, to

leciałam tak prędko za koniem, ale ta matka i Dawid nie mogli dogonić. Matka trzymała to dziecko na ręce. Jak nie mogło gonić jak ten koń, to [za] każdym razem dostała bicie, ale każdy chciał przeżyć. To ona się starała, żeby nie być wyjątkiem.

Dosyć długo trwało, jak my[śmy] doszli do Mielca, mnie nogi tak zmarzły i było mi tak zimno, że cała się trzęsła[m] z zimna. Nareszcie my doszli[śmy] do miasta na policję i natychmiast nas dali do więzienia; przynajmniej [w] tym więzieniu było ciepło. Zaraz nam dali do jedzenia zupę i kawałek chleba, każdy był szczęśliwy. Ta cela [to] była duża sala, tam był tojlet²⁴, jedno okno, stół i długie ławki, i koce i poduszki. Myśmy wszyscy razem siedzieli, mężczyźni i kobiety. Z nami był jeden pan, on dostał atak nerwowy i strasznie dokazywał. Bardzo chciał żyć, chciał się ratować przy drzwiach, aż jeden eses[man] [u]słyszał i przyszedł do nas, i tak go zbił, że on był nieprzytomny²⁵. Nad ranem usłyszeliśmy kroki i tak mi serce biło, że nie była[m w] stanie pomówić ani jedno słowo. Ten Niemiec otwierał drzwi i zaczął się nas pytać [o] nazwisko, i zaczął nas liczyć, ile nas jest. Ten esesman doszedł do mnie i pyta się: Jak ty się nazywasz, mnie się zdaje, że cię znam. To mu mówiłam moje nazwisko. Ja widziałam, że ten człowiek bardzo zbladł, i mówi: Ty wiesz, kto ja jestem? Ja odpowiadam: Jesteś bardzo podobny do jednego policjanta, Janisław[a]. On milczał sekundę i odpowiada: Ja właśnie jestem Janisław, co ty tu robisz, gdzie cię złapali? Boże, ja ci chcę pomóc, ja znałem bardzo dobrze twoją babkę. Ona była bardzo dobra d[la] mnie, to ja się chcę [z]rewanżować, ale nie bierz mi to za złe, że ja pracuję [z] Niemcami, nie miałem innej rady. Ja mu nic nie odpowiedziałam, bałam się jego. Tymczasem nadszedł drugi esesman i zabrali nas do kolei, i tam wszyscy my weszli[śmy] do wagonu. Każdy jeden usiadł i mówili nam, że jedziemy do Tarnowa. Ten Janisław usiadł koło mnie i mówi: Ja ci chcę pomóc; ja mam rozkaz wstawić [cię] do więzienia do Tarnowa. Ja jestem pewny, że tam [jest] bardzo ostra ta komenda, i jest jeden esesman, który się nazywa Jan Maluczki²⁶, on jest jak zwierzę. Ja ci dam adres, żebyś uciekała, ja będę strzelać do góry, ale żebyś się nie bała. Ja mu odpowiedziałam, że ja nie jestem zainteresowana [dać] się utrupić, bo ja już miałam dosyć w lesie. [W] sercu sobie inaczej myślałam; ja wiedziałam, że o ile ja się zdecyduję na taką propozycję, to ja jestem zgubiona. Byłam pewna, dlatego że jestem młoda i ładna, i on mnie chce wykorzystać, i później mnie zastrzeli. I mówię do niego: Wybierz sobie z głowy takie rzeczy, ja tam pójdę, gdzie moi znajomi. O ile chcesz, to możesz [się] ukryć. Powiedziałam całą [hi]storię mojej znajomej Chajce i [ta] natychmiast się zgodziła. I mówi do Janisława: Ja wam dam duży dajmontowy²⁷ pierścionek. Janisław bardzo się zdenerwował, zaczął na mnie krzyczeć, i mówi do mnie: O ile ty nie chcesz się ukryć, to jest [w] porządku, ale ty nie masz prawa mi powiedzieć, co ja mam zrobić. Był bardzo zły na mnie i później mi opowiadał, że rabina córka jest ukryta u niego przez cały czas, ale ja mu nie wierzyłam, ale to była prawda. Po wojnie ja spotkałam moją kuzynkę, to i [jej

o]powiedziała całą [hi]storię. To mi powiedziała, że to jest prawda, że ona wie o tym²⁸.

Tymczasem my wszyscy przyjechali[śmy] do Tarnowa. Zaraz nas zabrali na przesłuchanie na gestapo i tam był właśnie jeden esesman, który się nazywał Jan Maluczki. Ja o nim słyszałam bardzo dużo, że on jest wielki sadysta. On zastrzelił mojego męża brata. Jak ja go widziałam, cała się trzęsłam. Byłam strasznie blada i on się pyta: Dlaczego ty tak zbladłaś? Ja odpowiadam: Ja nie jadła[m] cały dzień i jest mi bardzo zimno. To ten Jan Maluczki się pyta: Ty chcesz chleba? To ci dam, bo ty tu musisz mieć dużo siły do gadania. Wziął kawałek chleba i rzucił mi jak do psa. Ja [z]łapałam ten kawałek chleba, ugryzłam malutki kawałek i resztę schowałam na później. Zaczął mnie wypytywać, co ja robiłam w lesie, jak ja się dostałam i [ilu] ludzi było, a ile jeszcze zostało. Ja mu wszystko odpowiadałam, ale on nie był [ze] mnie zadowolony. Jan Maluczki zawołał jednego esesmana i mówi do niego, żeby mnie zabrać do więzienia. Reszta ludzi, co z nami złapali, to byli gdzie indziej. Ten esesman przeprowadził mnie przez ulice [w] Tarnowie, to każdy się za mną oglądał. Jedna pani mówi do esesmana: Proszę cię, czekaj, to i dam buty. Zdjęła swoje lakierki i chciała mi je dać, to ten esesman odpowiada: O ile ty jesteś taka dobra, to i [ty] pójdiesz, gdzie ta Żydówka idzie, i wyjął [pistolet], i chciał ją zastrzelić. Odsunęła [się] na szczęście. Doprowadził mnie do więzienia i zaprowadził mnie do celi, gdzie sami polityczni ludzie siedzieli. Tam [w] tej celi byli kobiety, bardzo dużo London England, dużo Rosjan, same spiony, i ja między nimi, ja byłam najmłodsza od nich. Zaraz wiedziałam, że mi grozi śmierć. Każdy się bał gadać słowo, to było okropne uczucie. Nie trwało długo, to jeszcze przyprowadzili naszych ludzi, co nas złapali w lesie. Ja się bardzo cieszyłam, przynajmniej było z kim pomówić słowa. Przed wieczorem ksiądz przyszedł nas odwiedzić, porozmawiał z nami przez godzinę czasu, i pyta się, czy my naprawdę jesteśmy spionami, żeby mu powiedzieć prawdę, to nam może pomóc. Ja mu powiedziałam, że ja byłam w lesie, bo chciałam przeżyć wojnę, że ja jestem Żydówką, dlatego ja się ukryłam w lesie. Ten ksiądz wszystko napisał i się [pod]pisałam mo[im] nazwiskiem], i to zaniósł na gestapo.

Co dzień my szły[śmy] na przesłuchanie. Było w naszej celi może 15 kobiet, za każdym razem jedna nie wróciła. Reszta, co złapali z nami razem, to byli w innej celi, ale nas razem przesłuchiwali. Raz przyszedł jeden esesman i moje nazwisko wołał i zabrał mnie na gestapo. I przez przypadek Jan Maluczki mnie zawołał na przesłuchanie i mówi do mnie: Mówili mi twoi znajomi, że ty jesteś z tych pierwszych ludzi w lesie, że ty wszystko wiesz, gdzie są schrony, ja chcę, żebyś ty poszła z nami do lasu i pokazać, gdzie reszta ludzi się chowają. Ja mu odpowiadam, że ten, który ci to mówił, to on nie wie, co gada, nie czekał ani minutę, wyjął gum[ową] pałkę i tak mnie zbił, że zemdlalam. I jak się obudziłam, to leżałam na ziemi cała mokra, widocznie oblali mnie wodą. Kazał mi wstać i

mówi do mnie: Teraz ty już mi wszystko powiesz, o ile nie, to jeszcze gorzej cię zbiję. Ja zaczęłam strasznie płakać i histerycznie zaczęłam krzyczeć: Ja o niczym nie wiem, ja ci mówię prawdę, ja nie mam pojęcia, gdzie są schowane reszta ludzi. Widocznie ten Jan Maluczki sam już nie miał siły wysłuchiwać mnie i posłał mnie z powrotem do celi. Jak weszłam, każdy zaczął płakać – byłam cała sina na twarzy, zbita. Ja byłam cała chora, taka słaba, że nie mogłam chodzić na nogach. Przed spaniem ksiądz przyszedł do nas mówić, jak mnie zobaczył, to on był bardzo wzruszony i pyta mnie się, co się stało. Ja mu wszystko opowiadam. On się postawił, żeby mnie zostawić przez parę dni. 3 dni leżałam w łóżku i [w] czwartym dniu nad ranem usłyszałam kroki esesmana i drzwi się otworzyli. Wszedł esesman i woła moje nazwisko. Ja się prędko ubrałam i poszłam z nim. Na ulicy słońce świeciło, było tak pięknie, ludzie chodzili po ulicach. Było jak normalny czas dla niektórych ludzi, ja bardzo zazdraszczałam, że mogli chodzić, gdziekolwiek tylko chcieli, mogli się napić wody, zjeść, co sobie życzyli. Ja zaczęłam chodzić bardzo pomалу, żebym trochę skorzystała [ze] świeżego powietrza. Każdy się za mną oglądał, bo ja chodziłam bosą na takie zimno, i śnieg padał. Byłam pewna, że nie wrócę do celi. [Gdy] przyszłam na gestapo, to Jan Maluczki na mnie czekał, ja już nie miałam siły na takie tritmen²⁹. Tymczasem jak weszłam, to ten gestapo do mnie mówi: Jak się czujesz? Ja jestem pewny, że ty teraz już mi powiesz całą prawdę, o ile nie chcesz mieć tę samą lekcję. Ja nie mogłam więcej mówić, bo mnie tak[i] strach ogarniał[, że] cała się trzęsłam. Jan Maluczki był wielki sadysta, jak on widział, że tak jestem wzruszona, to zabrał maskę gazową i ubrał mnie. Ta maska mnie tak dusiła, że nie mogłam oddychać, i on mnie wziął za rękę i zaczął mnie tak rzucać na ziemię, tak się przelękałam, że straciłam przytomność. Jak się obudziłam, to leżałam w wannie, rzucałam się jak wąż. Maluczki zawołał innych gestapo i zaczęli się śmieć. Naraz telefon dzwoni, Jan Maluczki rozmawiał przez 10 minut, powiesił telefon. Natychmiast rozebrał mi gazową maskę i zawołał esesmana i powiedział do niego: Zabierz ją do celi. Na ulicy jak szłam z powrotem do celi, poznać było, że coś podeszło. Jak przyszłam do celi, to wszyscy się pakowali i mówili do mnie: Jutro jedziemy do Krakowa, do więzienia. Jedna mówiła do mnie, że jej się zdaje, że Rosjanie się [po]suwają bliżej nas. O ile ja nie dałam żadnej odpowiedzi, bo nie wiadomo było, do kogo się gada na drugi dzień.

Zabrali nas wszystkich, co nas złapali w lesie, i zawieźli nas do Krakowa, do więzienia na Montelupi[ch]. Między nami była i ta matka, i ten chłopczyk, bardzo my się ucieszyli[śmy], że każdy z nas żyje. Na drodze my jechali[śmy] wojskowym autobusem. Przez cały czas nie wolno było nam gadać, tak my siedzieli[śmy] przez całą drogę. Nareszcie my przyjechali[śmy] do Krakowa i na Montelupi[ch], i tam my stanęli[śmy] tak długo, aż nas wywołali, nasze nazwiska. T[o] więzie[nie] [to] był olbrzymi budynek, kraty dookoła budynku. Chodziły dookoła budynku dziesiątk[am]i niemieckie psy. Te psy były takie duże jak dziesięcioletni[e]

dziecko, każdy jeden był zdenerwowany, ale się nie miało innej rady. Najwięcej żał mi było, jak Dawid zaczął płakać i mówi do swojej matki: Przecież ja nic złego nie zrobiłem, dlaczego oni nas tak męczą? Przecież ja tylko mam 6 lat, co oni nas tak męczą, jak ja przeżyję wojnę, to ja im pokażę. Matka zaczęła mu tłumaczyć, że nie wolno tak gadać, o ile gestapo usłyszy, to cię zabiją, ale Dawid nie chciał wiedzieć o niczym. Nareszcie zabrali nas do celi i tam już było parę kobiet [z] Krakowa. Oni tam siedzieli już 3 miesiące, te kobiety byli trzeciego pokolenia od Żydów³⁰. Jedna siedziała z nami, co ona w ogóle nie wiedziała, że ona pochodzi ze Żydów, ale Hitler wiedział lepiej. Wieczorem weszła jedna dziewczyna. Ona była Żydówką, ale miała papiery jako Polka, i ją złapali w tym samym dniu, co nas przywieźli do tej celi. Ta cela [to] był mały pokój, okno wyszło na podwórze i tam wszyscy kryminaliści poszli na spacer. Raz na dzień w nocy każdy dostał kawałek szmaty, żeby się przykryć, i tak się leżało na ziemi.

Dawid zaraz zasnął, on był bardzo zmęczony. Ten biedny chłopczyk nie jadł cały dzień, tylko było żal się popatrzeć na tę matkę. Światło się zgasło, każdy znalazł miejsce i położył się spać, ale jestem pewna, że nikt nie spał, każdy się pytał jedno i to samo: co będzie z nami. Nikt nie miał odpowiedzi, ale człowiek, który żyje, to mu nie wolno stracić nadziei.

Nad ranem przyszedł jeden wachtarz³¹ i zabrał toaletu³² i przyniósł wody do mycia i godzinę później przyniósł kawałek chleba i kawę do napicia [się]. Ja bałam się zjeść cały kawałek chleba, połowę schowałam do kieszeni. A na obiad przynieśli nam zupy, ale ta zupa była taka [po]solona, że nie było możliwe zjeść. Równocześnie się pytali, kto chce pójść do pracy do miasta. Jedna z nas się zgłosiła i zabrali ją do pracy. My siedzieli[śmy], zimno było i głodne, to są dwie dobre rzeczy dla człowieka. Jest silny jak zwierzę. Ja w domu byłam bardzo słaba, moja Matka zawsze mnie karmiła, bo ja nie miałam apetytu, i tak się bała, żebym się nie przeziębila. Ale to jest niemożliwe do uwierzenia, że ja chodziłam bosą na taki mróz i nigdy nie byłam chora, byłam taka silna. Wieczorem ta dziewczyna, co się zgłosiła do pracy, to mi przyniosła buty na wysokim obcasie, nie umiałam chodzić, wykręcała[m] obie nogi. To było bardzo dobrze dla mnie, bo ja wyglądałam wyższa. Dzień był dla nas jak rok czasu. Dawid był szalenie mądre dziecko, on nas pocieszył. Dawid mówił do nas: Ja mam przecucie, że nas nie zastrzelą, bo ja jestem między wami, przecież ja nie jestem nic winien, ja nikomu nic złego nie zrobiłem. Każdy milczał, nikt nie miał żadnej odpowiedzi. Wieczorem jak ta pani wróciła z miasta, to ukradkiem przyniosła gazetę. My wiedzieli[śmy], że ta wojna niedługo potrwa, tylko myślałam, jak ja mogę uciec, ale ja siedziałam na 3 piętrze i było bardzo ciężko się wydostać, bo było dużo ludzi na celi. Nie wiadomo, czy wszyscy byli kryminaliści, każdy się bał słowa wygadać. Prawie że co dwa dni przyszły różne komisje esesmanów. Raz jedna z nas wyszła do pracy i więcej nie przyszła z powrotem. Każdy z nas cierpiał, tak nas pilnowali, że nie mogliśmy

pójść do klozetu, to było bardzo niedobre uczucie, ale się nie miało innej rady. I tak się prosiło Boga, żeby się przeżyło wojnę, każdy mówił, dlaczego ja mam przeżyć wojnę, co ja jestem lepsza od mojej matki albo od mojego brata, dlaczego, każdy jeden się pytał jedno i to samo, ale niestety nie było żadnej odpowiedzi. Raz nas wzięli wszystkich na przesłuchania, najwięcej nas, co przyszli z lasu, tak nas katrupili. Ale przez przypadek Dawida zostawili, jak my wrócili do celi, to Dawid zaczął tak płakać, on myślał, że coś złego zrobili matce. On tak długo płakał, aż jeden Niemiec przyszedł i nabił go, i przez wielki strach przestał płakać.

Nareszcie nadeszła noc. My byli[śmy] szczęśliwi, że w nocy nas nie będą mordować. Ta noc przeszła bardzo prędko, nad ranem zawołali nas wszystkich i mówią, że na drugi tydzień to nas przeprowadzą do Płaszowa, i tam są sami Żydzi, my nie możemy was trzymać. Ten tydzień przeszedł bardzo szybko. [W] poniedziałek rano gestapo przyszli do celi. Było ich 4 osoby, każdy z nich wyglądał jak zbójca, ani słowa do nas nie mówili. Mieli duże auto i tam nas osiedli jak zwierzę, jedno na drugie, nawet nie pozwolili iść do ustępu. Jeden gestapo mówi do mnie: Przypatrz się dookoła, jak[i] świat jest piękny dla niektórych ludzi, ale dla ciebie to są ostatnie godziny, ta cała grupa idzie na śmierć. O ile ty masz gdzie się ukryć, to uciekaj. Ja mu nie dałam żadnej odpowiedzi, bo się bałam, że mu powiem tak, to on wyda na gestapo. To wołałam pójść z naszymi ludźmi. Nareszcie my przyjechali[śmy] do Płaszowa. Dookoła były druty elektryczne, nie wolno było dotknąć, jak nie, to człowiek zaraz [się] spalił. Ten lager był mały, było pełno baraków i była wielka kuchnia. Ten lager był poza miastem, żeby ludzie nie mogli uciec. [W] Płaszowie jak ja przyjechałam, to był komandir, on się nazywał Szupki33, on był starszy człowiek. Jak my przyjechali[śmy] do lagru, to na mnie zrobiło okropne wrażenie. Każdy nosił pasiaki i tam w tym lagrze byli prawie że sami młodzi ludzie, każdy pracował. W ten dzień co przysłam do lagru, to nie widać było żywej duszy i Szupki nam [o]powiedział tę całą sytuację. Szupki zawołał nas wszystkich na apel i tam nas segregował. Ustawił jeden szereg, zaczął wywoływać samych młodych i zdrowych ludzi i ja byłam [skierowana] między zdrowych ludzi. Ta matka i Dawid, dużo starszych ludzi poszli gdzie indziej. I nasza cała grupa poszła do łaźni i tam myśmy się wykąпали i dali nam do ubrania świeże rzeczy. [W] tej łaźni byli ludzie z lagru, co pracowali przez dłuższy czas. To byli heftlingowie. Ja doszłam do jednej kobiety, powiedziałam, że ja przysłam z tą grupą z Montelupi[ch], czy ona ma pojęcie, gdzie reszta ludzi pojechali. Ja mówię do niej: Tamta grupa byli starsi i nie takie zdrowe, i było jedno dziecko i matka. Ta kobieta nie dała mi żadnej odpowiedzi. I zmieniła temat. Zaczęła się pytać, skąd ja pochodzę, ile lat ja mam, gdzie ja byłam przez cały czas. Ja jej odpowiadam: Przecież ty mi nie dała[ś] odpowiedzi na moje pytanie. Ona odpowiada: Co ci mam powiedzieć, że ich zastrzelili, ta cała grupa poszła na śmierć. I mówi do mnie: Przypatrz się przez okno, co ty tam widzisz. Ja odpowiadam: Ja widzę dym. Co

jeszcze widzisz, kto tam stoi dookoła dymu? Ja odpowiadam: Pełno esesemanów. Ja o niczym nie miałam pojęcia, bo byłam jak oszołomiona, wiedziałam, że jest coś nie [w] porządku, ale nie mogłam sobie wyobrazić takiej wielkiej tragedii. Nie mogłam t[eg]o zrozumieć, jak to może być prawda. Zaczęłam płakać i byłam bardzo wzruszona, bo Dawid był między tymi ludźmi, ale było już późno na wszystko. Ta pani, która pracowała w szatni, to mi powiedziała, żebym przestała płakać, bo mnie jeszcze zabiorą, żebym się zebrała, jak mi jest możliwe, bo zaraz przyjdzie esesman i mnie zabierze do baraków. Ale jak możesz się tak maskować, jak żyjesz [z] ludźmi przez cały czas i naraz ktoś mówi, że ich zastrzelili. Nie mogę określić to uczucie, myślałam, że dostanie szła[u].

My wszyscy się wykąпали[śmy], dali nam godzinę czasu. Przyszła sztulenelteste³⁴, ona przypadkowo była z naszych ludzi i była możliwa do gadania. Ona do nas mówiła, żebyśmy każdy z nas mówił, że mamy zawód. Ja powiedziałam, że jestem krawcowa. To zaraz mnie przydzielili do pralni. Ta sztulenelteste zabrała nas do baraków i tam nas rozdzielili, ja poszłam, jeszcze parę z nas było, co nas złapali w lesie. Jak przyszłam do baraku, dookoła były prycze, mnie przydzielili na górze spać. Musiałam się drapać po czymś łóżku, zanim ja weszłam na moje łóżko. Ten barak był postawiony [z] drzewa. Było malowane na biało. U nas było duże okno. [W] tym samym pokoju było 30 kobiet. Tak śmierdziało, że nie było możliwe być [w] tym kierunku, ale jak się mówi, to wszystko jest dobrze. Każdy jeden był taki zrezygowany, nie miały ochoty do życia, każdy z nas myślał, że wojna nigdy się nie skończy.

Ja się przespałam i nad ranem każdy musiał budzić się o 6 nad ranem i ubrać się, i wyjść na apel. Przeliczył, nik[ogo] z nas nie brakowało, to my z powrotem poszli[śmy] do baraku i zjedli kawałek chleba i tymczasem przyszedł jeden esesman i zabiera dziesięć kobiet do pracy, i mnie między nimi. I zaprowadził nas do londry³⁵, do prania i prasowania, i tam z nami była jedna aufrejer³⁶. Ona nam dała rozkazy, dla mnie to było bardzo ciężko się przyzwyczaić. Nie mogła[m] sobie podarować, że dałam się złapać przez tych Niemców. Nie mówiła[m] słowa do nikogo, ale ja myślałam, że najpierwsza okazja, to ja ucieknę. Każdy mnie wypytywał, jak wygląda, czy wojna przestanie, to ja odpowiadałam: Czy ty wiesz, kiedy wojna przestanie? Nic się nie odezwała i odeszła. Przed wieczorem my wszyscy przyszły z powrotem do baraku i tam my zjedli[śmy] zupę. Ta zupa [to] była sama woda i w środku zupy było troszeczkę makaronu. Głód był straszny. Ja poszłam spać bardzo zmęczona i głodna. To jest okropne uczucie, jak się nie ma co zjeść. Całą noc nie mogłam spać z głodu, ale wiedziałam, że tak musi być. Zaczęłam chudnąć, moja spódnica już się nie trzymała na mnie.

Tymczasem zapoznałam jedną dziewczynkę w moim wieku. Ta dziewczynka nazywała [się] Sabina. Ta Sabina ona była z tych najpierwszych ludzi w lagrze i zaczęliśmy się koleżankować. Sabina pracowała w kuchni. Ona sobie zawsze miała

coś z kuchni, dla mnie to było bardzo dobrze, że ona jest szczerą. To do niej mówiłam, czy ona chce uciec, o ile będzie okazja. To Sabina bardzo [się] dziwiła: Jak ty możesz tak gadać, przecież to jest niemożliwe, jak ty możesz tak myśleć, jak kto będzie słyszał, to nas wyhaczą. Ja nadal pracowałam w pralni i Sabina w kuchni. Raz przyszedłam do pracy, to zauważyłam, że koło naszej pralni pełno wojska są dookoła i kopią schrony. Ja wiedziałam, że się front zbliża i mówiłam do tych dziewcząt, co razem z nimi pracowałam, to mówiły, że ja marzę [o] niemożliw[ych] rzecz[ach] i nie wiem, co gadam. Jak przyszedłam do baraku, zaraz doszłam do Sabiny i powiedziałam całą [hi]storię. I ja mówię do niej, żeby zorganizowała jak najwięcej chleba, o ile nas przeprowadzą, żebyśmy mieli chleba. Sabina mnie wierzyła, ona wiedziała, że ja się orientuję. Na drugi dzień poszłam do pracy, starałam się, żebym była ostrożna. Wiedziałam[, że] o ile ja będę jeszcze gadać za dużo, to nie będzie dobrze ze mną. Cały czas milczałam, ale bardzo dobrze obserwowałam każdy krok, co Niemcy robią. Ptaszki tak cudnie śpiewali, tak się dobrze czułam, wiedziałam, że jest blisko końca wojny, ale czułam się jak ptaszek w klatce. Tak ja siedziałam w tej pralni, chodziłam dookoła, tylko marzyłam, w jaki sposób ja się mogę wydostać. Raz doszłam do okna i zaczęłam skrobać okno, tak robiłam, żeby nikt nie zauważył. Miałam prawie [w] połow[i]e otwarte, tymczasem czułam, że jeden Niemiec mi przystawił rewolwer i mówi do mnie: Czy ty chcesz uciec? Dobrze – on mówi – gdzie ty pójdziesz? Dookoła są nasi ludzie. Za karę ty tu już nie będziesz więcej pracować, ja powiem naszemu Führerowi, to cię wyśle do Auszwic [Auschwitz]. Ja zaczęłam tak płakać, że ten Niemiec miał litość [dla] mnie i powiedział do mnie: O ile ty mi przyrzekasz, że nie uciekniesz, to nikomu nic nie powiem. Dałam mu słowo i on mi [u]wierzył. Ja nadal chodziłam do pracy, ale się bałam ruszać z miejsca.

Tymczasem rozgłośniki dookoła lagru mówią, że każdy, który jest przy pracy, żeby natychmiast wrócił do lagru, bo każdy jeden z nas żeby być przygotowany na podróż. Dla mnie nie nowości, bo ja się spodziewałam coś takiego. Tymczasem te dziewczęta, które pracowali ze mną razem, to oni natychmiast do mnie doszli i bardzo mnie przeprosili, że teraz wiedzą, że ja mówiłam prawdę, i tak zaczęli histerycznie płakać, co my będziemy robić, gdzie Niemcy nas zawiozą. Teraz musimy wspólnie coś prędko pomyśleć, czy można gdzie się schować, ale ty musisz nam pomóc. Ja się nic nie odzywałam i odkręciłam się. On[a] do mnie mówi: W takiej sytuacji ty gniewasz się z nami. Ja odpowiadam: Ja się w ogóle nie gniewam, ale teraz już jest za późno, teraz już trzeba czekać na rozkaz tych Niemców.

Przed wieczorem przyszedłam do lagru. Każdy z nas był okropnie wzruszony, każdy z nas wiedział, że Rosjanie są bardzo blisko, ale nikt nie mógł nic zrobić, to jest przecież nie do opisanego. Każdy jeden z nas się przygotował do podróży. Ja i Sabina my razem się trzymaliśmy. Mnie było bardzo źle, nie miałam dobre buty.

Sabina miała chleba i kupiła u jednej Polki parę butów i dała mi je. I ja tak się ucieszyłam, że całowałam te but[y]. Na drugi dzień cały lager został wysiedlony³⁷. Dali nam po całym chleb[ie] i trochę cukru. I zaczęliśmy [i]ść pieszo z Płaszowa. Na drodze każdy się ustawił [w] 4-kę, i tak my chodzili[-śmy]. Dookoła byli esesmani, pilnowali nas. Jak ktoś był zmęczony i nie mógł chodzić, to na miejscu strzelali. Każdy z nas nie był w stanie pójść pieszo, nie było możliwe wytrzymać, ale każdy z nas walczył ze śmiercią. Ja i Sabina my chodzili[śmy] razem. Sabina mi dała dużo otuchy i mówi do mnie: Przecież tyś była w lesie, musisz się trzymać. Przeszliśmy przez Krak[ów], każdy się za nami oglądał. Jedna starsza pani mówi do nas: Uciekajcie, bo Rosjanie są bardzo blisko. Tak was prowadzą jak bydło do szlacht[owania], co jest z [w]ami, nic nie robicie. Na to chodziliśmy przez cały dzień i w nocy myśmy usiadli na polu koło Auszwica i czekaliśmy, aż się zrobiło jasno, i zaczęliśmy się zbierać cała komanda i zawozili nas do Auszwica. Olbrzymie bramy się otworzyły, dookoła były elektryczne druty, dookoła stały esesmani. Myśmy przejechali bardzo pomału i oni nas obliczyli, ile nas jest, i rozdzielili nas. Przez cudem przypadek ja i Sabina zostałam razem. Zaprowadzili nas do sauny, tam nas badali. Jak ktoś był chory z nas, to ich zabrali gdzie indziej. Auszwic było żywe piekło. To było olbrzymie lager, ludzie tam poumierali, na ulicach każdy wyglądał jak żywa śmierć. Na mnie zrobiło [to] okropne wrażenie, nie mogłam sobie darować, że ja się dałam złapać. Od tych Niemców wiedziałam, że to jest czas, że nie wolno nic mówić. Nareszcie zaprowadzili nas do baraku. W tym baraku było 80 kobiet, te krzyki były okropne, jeden drugiego chciał zabić. Tymczasem przyszła jedna esesmanka i rozdzieliła garnuszki z łyżką. Za chwilę jedna przyszła z kuchni, rozdzieliła zupę. Ta zupa była zrobiona z takiej dużej trawy i [w] środku był jeden makaron. Było więcej wody jak tej całej zupy. Każdy złapał tę zupę. Ja nie mogłam jej wziąć do ust, czułam, że się otruję, ale natychmiast wiedziała[m], o ile ja nie będę jadła, to pomału zginę. Sabina zaczęła na mnie krzyczeć: Co ty sobie myśli[sz,] nie jesteś u mamusi, musisz to jeść, co oni ci dają. Sabina stała przy mnie, ja myślałam, że się skończę. Zjadłam i schowałam garnuszek i łyżkę. Położyłam się na pryczy i rozglądałam się dookoła. Tam były bardzo duże okna z kratami. Prycze były złamane, czarne koce były i tak śmierdziało, że to nie było do opisanania.

Każdy jeden był taki egoista, jeden drugiego byłby zabił; kto był mocniejszy, ten przeżył. [W] takiej sytuacji się poznaje człowieka. Każdy jeden był jak zwierzę, to jest niemożliwe do uwierzenia, jak ludzie mogą się zmienić. Ja sama się pytałam, czy świat się skończy; nie mogłam sobie wyobrazić, jak ludzie tak mogą żyć, ale tak jest widocznie, kiedy każdy z nas chciał przeżyć. Ja i Sabina my byli[śmy] razem. Wieczorem dali nam kawałek chleba. Ja się bałam jeść, co parę minut patrzyłam, czy ktoś mi nie ukradł. W nocy byłam bardzo głodna, zjadłam malutki kawałek, bałam się wszystko zjeść – a nuż nas zawiozą gdzie indziej. Nad

ranem była pobudka; każdy wyszedł na apel i tam my stali[śmy] bardzo długo na polu. Było bardzo zimno. Ja pamiętam, że miałam papier scykorju38 i ten papier był czerwony. Ja sobie zawsze malowałam policzki; byłam taka blada, bałam się, że mnie wyślą do chorych. Zwolnili nas [z] apelu, poszliśmy do baraków, [gdzie] dali nam śniadanie: kawałek chleba i wody. Po dziesiątej ja i Sabina my wyszli[śmy] na pole, chciałam widzieć, jak ten lagier wygląda. Dookoła leżały konający ludzie [i] prosili, żeby ich ratować, ale każdy z nas był jak półkonający. Mówiłam do Sabiny: O ile nas przeprowadzą jeszcze raz, to musimy się ukryć, ale to gadanie było tylko na mnie, bo stamtąd to było niemożliwe uciec. Ja sobie zawsze przypominałam, co mój Kochany Ojciec mi powiedział przed pójściem do lagru, wiedziałam, że trzeba walczyć o życie. Postanowiłam, że ja muszę przeżyć wojnę, że mi nie wolno stracić nadziei. W Auszwicu każdy musiał się trzymać czysto, każdy jeden z nas się starał, żeby się myć. Jak ktoś z nas dostał krosty, to go zabrali na chorą listę. Ja miałam kawałek chleba, to sprzedawałam za wodę, żebym się mogłam umyć. Ja nosiłam spódnice, to musiałam związać ze sznurem, bo ta spódnica nie miała się na c[zym] trzymać.

Starałam się jak najwięcej być na polu, szukałam w śmietniku i marzyłam, żebym znalazła coś do jedzenia. Ale nikt nie był głupi, żeby wyrzucić. W ogóle się nie wiedziało, czy jest koniec wojny. Każdy bał się gadać [o] polityce, nie było gazety ani radia, ale poznać było po tych Niemc[ach], że jest nie [w] porządku. Te esesmani już nie tak krzyczeli, jedna esesmanka do mnie doszła, żebym ja [jej] dała moje ubranie, to ona mi da dużo chleba. Ja nosiłam sweter i spódnice, i czarny płaszcz. Ja to miałam z lasu. Ja się ją pytam: Co ty mi dasz do ubrania? To ona odpowiada: Mój esesmański płaszcz. Zaraz się zorientowałam, że jest bardzo blisko do końca. Zawołałam Sabinę i mówię do niej, że musimy być przygotowane, że my nie będziemy tutaj w Auszwicu długo, że o ile będzie okazja, żebyśmy się ukryli. O ile nie będzie [to] możliwe razem, żeby przynajmniej jedna się uratowała.

Ten lager ja nigdy nie zapomnę, tak brudno było, tak nas traktowali jak zwierzę. Te płacze i krzyki to było nie do wytrzymania. Ja myślałam, że wszyscy się tam skończą. Ja zawsze się pytałam, dlaczego ja mam tu być. Ja zawsze stałam na polu i tak obserwowałam tę całą sytuację, i mówiłam do Sabiny, dlaczego my się tak dajemy prowadzić za nosem, czy my nie jesteśmy żywe, że tak się dajemy od nich. Trzeba ich pobić z powrotem, ale ja tylko [tak] gadałam. Jak Niemcy przyszli, to się stałam jak [s]paraliżowana. Nie miałam czym się bronić.

Dookoła lagru były same Niemcy. Słońce świeciło, nie było tak zimno, i tak pięknie było, ale my nie mogli[śmy] skorzystać z tego pięknego świata. Tam było bardzo źle, ludzie poumierali z głodu, dużo zachorowało na tyfus. Leżeli bez opieki lekarza, aż się skończyli.

Nad ranem przyszedł jeden esesman i powiedział, żeby się przygotować, bo ci, co przyszli ostatnim transportem, żeby być gotowymi, że nas zabiorą do innego

lagru. Zabrali nas do pociągu i tam my[śmy] czekali przez cały dzień, aż się zrobiło ciemno, to nas zabrali na towarowe wagony i tam my[śmy] siedzieli jedno na drugim. My nie mieli[śmy] miejsca wyciągnąć nogi. Z nami razem siedli Niemcy. Oni byli jak sadyści, nie pozwolili nam pójść do klozetu. Po prostu my[śmy] nie mogli oddychać, każdy z nas [miał] bóle brzuszne. Jak jedna chciała się o co[ś] zapytać, zanim zaczęła coś mówić, to dostała po głowie szablą. Sabina miała [tak] straszne bóle, że nie mogła wytrzymać, tak zaczęła krzyczeć i mówi do tego Niemca: O ile ty mnie nie wypuścisz, to ja cię zrobię tak, że ty nie będziesz mógł spać całą noc. Nie wiem, co mu się stało, ten sadysta powiedział: Dobrze, i wyszła do klozetu. Później ona się czuła o wiele lepiej. My jechali[śmy] całą noc, od czasu do czasu słychać było strzelanie. Samoloty leciały tam i z powrotem, bombardowali niedaleko nas, ale nasz wagon nie został uszkodzony. Ja byłam bardzo szczęśliwa, że bombardowali, jednak widziałam, że mamy nadzieję, że wojna się skończy, ale każdy w naszym wagonie był niespokojny. Specjalnie esesmani stali się tak histeryczni, że było niemożliwe do wytrzymania. Jeden Niemiec krzyczał tylko: Przez was to ja muszę tu być, ja was wszystkich wystrzelam, co sobie wy myślicie, ja nie zginę przez was. I zaczął nas bić, że nie było do wytrzymania. Ja mówiłam do Sabiny: Musimy coś zrobić, do tego ja się nie dam tak [za]katrupić. Wyskoczyłam z wagonu i doszłam do Niemca, i mówię do niego, że mnie się zdaje, że jeden z waszych ludzi się opił, że tam wyprawia niemożliwe. Ten Niemiec nie był w mundurze, widocznie on był ta[j]ny. On do mnie mówi: Który jest twój wagon? Ja go zaprowadziłam i otworzył wagon, i on zabrał tego esesmana i dał innego. Myśmy weszli, każdy jeden z nas przynajmniej mógł oddychać. Myśmy go prosili, żeby nam dał trochę wody. Ale on odpowiada: Ja sam nie mam [nic] do jedzenia ani trochę wody, ale wyjdę i zobaczę, co ja mogę zrobić dla was.

Wyszedł i wrócił natychmiast, i mówi do nas: Nie mamy czasu, musimy wyjechać natychmiast, bo Rosjanie są w Krakowie. Ja się pytam: Właściwie gdzie my jedziemy? To on mi odpowiada: do Rawensbrik39, tam jest olbrzymi lager dla samych kobiet; tam są sto tysięcy kobiet. Mnie się źle zrobiło, wiedziałam, że mi nie wolno nic mówić, że nie jestem zadowolona, ale [na] sercu mi było bardzo źle. Nie mogłam sobie darować, że miałam taką okazję, jak wyskoczyłam z wagonu, i nie uciekłam, ale było już za późno – pociąg zaczął jechać i nie miałam odwagi wyskoczyć. Ale wiedziałam, że muszę robić najlepsze z tego i być trzeźwa.

Okropnie bombardowali; my[śmy] jechali parę dni, nareszcie my nadjechali[śmy] przed lager i zaprowadzili nas do lasu, bo tam był olbrzymi las. Było bardzo zimno, te drzewa były olbrzymie, był okropny wiatr. Każdy z nas myślał, że już nie wyjdzie stamtąd. Strach nas ogarniał, mnie natomiast wpadło na myśl, że ja i Sabina się umówimy, żebyśmy razem [się] schowali. Jak zaczęłam rozmawiać do Sabiny, to eses[man] doszedł do nas i mówi: Ta droga prowadzi nas

do lagru, żeby wam nie wpadło na myśl się schować, bo tu nie ma gdzie się ukryć. Ja mu odpowiadam: [Jak] coś [takiego] ci wpadło na myśl, dlaczego ja się mam ukryć. I on odpowiada: Dobrze, ja ci wierzę.

Każdy z nas nie mógł więcej pójść pieszo, bo my[śmy] byli głodne i bardzo słabe, każdy z nas wiedział, że musimy się zebrać całą siłą; o ile nie, to nas zastrzelą na miejscu, ale w takiej sytuacji człowiek staje się jak zwierzę, każdy tylko patrzył dla siebie, to jest nie do uwierzenia, że my[śmy] mogli tak żyć. Widocznie człowiek jest tak stworzony. Na drodze było pełno śmieci. Jedna doszła i znalazła kartofla, i każdy z nas doleciał do śmietnika, każdy jeden zjadł łupiny kartofli, ale temu Niemc[owi] się zdawało, że nam jest za dobrze, i zastrzelił jedną dziewczynkę i zaczął krzyczeć, każdy jeden żeby się ustawił we dwójkę, że to jest jeszcze daleko do lagru, że musimy tam być przed [pią]tą. Ta dziewczynka, która została zastrzelona, to ją zostawił tak leżeć, nikomu nie wolno było dojść; o ile ktoś dojdzie do niej, to to samo robi. Myśmy chodzili parę godzin, każdy z nas bał się pomówić ani słowa. Nareszcie my przyszli[śmy] do lagru, dookoła były same kobiety. Esesmani obliczyli nas i kazali nam wejść do środka i kazali nam czekać. Ten Niemiec poszedł z powrotem, te kobiety esesmanki były okropne, zaraz zaczęły nas katrupić w niemożliwy sposób. Ten lager był jak całe miasto, dookoła były olbrzymie baraki, w jednym baraku mogło wejść 500 kobiet; nie wszystkie baraki były takie duże.

Naszą całą grupę dali do największego baraku. Jak my[śmy] weszli, to tam już było dużo ludzi, same młode kobiety. Była [to] olbrzymia hala, wody tam nie było ani toilet. Każdy leżał na ziemi, nie było miejsca nawet gdzie się wykręcić, nogi musiały być skurczone, bo nie było miejsca. Jeden leżał na drugiego, ja się trzymałam z Sabiną. Ona była bardzo obojętna i mówi do mnie: Ja widzę, że my się tutaj skończymy, nie mam już żadnej otuchy, przecież widzisz, że tu nas skończą. Ja sama już nie miałam siły wytrzymać. Ale jedno pamiętałam – słowa, co Kochany Ojciec mi powiedział, i mówię do Sabiny: Teraz musimy się bardzo starać przeżyć, bo Rosjanie są już w Krakowie, to tym bardziej musimy mieć otuchę.

Godzinę później jak my przyszli[śmy] do lagru, to nam dali zupę. Ta zupa była okropna, nie do jedzenia, ale jak się jest głodnym, to się wszystko je. I dali nam po kawałku chleba; ten chleb ja sobie schowałam na drugi dzień. Tymczasem ja zasnęłam i ktoś mi ukradł ten chleb. Jak się obudziłam i zaraz zauważyłam, że nie mam chleba, to mówiłam dookoła mnie: Ja tylko życzę, żeby się udusiła tym chlebem. Ja z Sabiną wyszłam dookoła lagru, rozglądałam się i widziałam, że naprzeciwko nas jest barak, że tam jest woda. My weszli[śmy] i napiliśmy się dobrze, i o[b]myłam się. Jak ja tak stałam, to doszła jedna Niemka i mówi do mnie: Co ty tu robisz, czy ty wiesz, że ci nie wolno wejść tutaj? Ja odpowiadam: Dlaczego? Ta Niemka mi mówi, że ci, którzy przyjechali tym transportem, to oni

niedługo będą, bo ta cała grupa ma jechać do innego lagru, ale jak będą segregować, jak kto[ś] z nas będzie się dobrze trzymał i będzie czysty, to tych ludzi zostawią.

Ja wyszłam do naszego baraku i siedziałam tak zamyślona, odkręciłam głowę na drugą stronę, widzę, że mój kawałek chleba leży. Ja się bardzo ucieszyłam, zabrałam ten kawałek chleba i poszłam z powrotem do tego baraku, i poszukałam tę Niemkę i dałam [jej] kawałek chleba, i mówię do niej: Weź ten chleb i pozwól mi się o[b]myć, żeby[m] nie dostała krosty. Ona mi pozwoliła się umyć i o wiele lepiej się czułam. Ona do mnie mówi: O ile ty chcesz sobie coś wyprać, to daj mi twój chleb, to ci pozwolę nabrać wody, ile chcesz. Czekałam aż na drugi dzień, jak dostałam chleb, doszłam do niej i pozwoliła [mi] wyprać. Nie miałam gdzie suszyć tę kombinację [?] i bi[u]s[t]nik40, to położyłam na ziemi przed barakiem. W ten dzień był wielki mróz i ja nie miałam w co się ubrać. Jak nas zawołali do apelu, to ja sobie ubrałam zmarzniętą koszulę i tak stałam przez całą godzinę. Tak mi było zimno, że się cała trzęsłam, ale nie mogłam pomówić ani słowa. Zaraz dostałam gorączkę i byłam chora. Sabina przyniosła mi dużo herbaty i lepiej się czułam przez dzień. Raz eses[man] przyszedł, że musi mieć 60 kobiet do pracy. Ja z Sabiną się zgłosiłam, my wszyscy pracowaliśmy] w lesie. My obcięliśmy duże drzewa, ale ja nie myślałam, że o ile ja wyjdę z lagru do pracy, to ja będę mogła uciec. Tymczasem dookoła były takie duże psy, że jak ten pies tylko się popatrzy na ciebie, to każdy zemdłał. My kopali[śmy] doliny też, Niemcy robili schrony, bo było już blisko końca wojny, ale każdy z nas był tak nastawiony, że nikt nie chciał uwierzyć, że ta wojna się kiedy[ś] skończy. Każdy z nas wyglądał tak zniszczony, każdy miał zmarszczki tak jak 40-letnia kobieta. Najstarsza z nas miała 25 lat. Poznać było po nas tę tragedię, co my[śmy] przeżyli. W naszym baraku każdy był chory, leżały jak trupy, to jest cud boski, jak my[śmy] mogli wytrzymać, nie do uwierzenia.

Ja, Sabina i jeszcze [inne] kobiety my chodzili[śmy] do pracy. Przeszliśmy przez miasto. Życie dla ludzi było normalne, każdy chodził elegancko ubrany. Ja się sama siebie pytałam, dlaczego Bóg nas tak skarał, przecież ja nic złego nie zrobiłam. Taki los był dla nas. Każdy jeden z nas się pytał [o] to samo, ale nie było żadnej odpowiedzi. Ja tak zazdraszczałam, że ludzie są wolni, że mogą pójść, gdziekolwiek sobie zyczą, a ja jestem pod klatką. W ten dzień słońce świeciło i było zimno, ja chodziłam głodna, ponura, zrezygnowana, tylko było dla nas popełnić samobójstwo. Jak ja wróciłam do baraku, myślałam, że jestem w piekle, było niemożliwe wytrzymać, była beznadzieja. Myślałam, że ja tam już skończę, ale w takiej sytuacji to człowiek jest silny jak kamień.

Gadało się, że Rawensbrik ma być wysiedlony, że sam[y]ch] młod[y]ch] i zdrow[y]ch] ludzi zabiorą. Ja się starałam jak najlepiej wyglądać, wiedziałam, że gorzej jak w Rawensbriku nie może być. Raz przyszła jedna eses[manka] i

powiedziała, że my mamy być przygotowane, bo nas przeniosą do innego lagru. Każdy z nas sobie zostawił porcję chleba, żebyśmy mieli na drogę. Ja byłam pewna, że tym razem jak nas przeniosą, to ja z Sabiną ucieknę, ale nie jest tak, jak człowiek wyobraża. Zawołali nas do apelu i powiedzieli nam, że na drugi dzień my pójdziemy pieszo, że pociągi są zbombardowane. Każdy z nas dostał chleb i na drugi dzień nad ranem cała grupa wyszła pieszo. Każdy z nas się ustawił po 4 osoby, dookoła nas było pełno esesman[ów]. My wszyscy byli[śmy] bardzo zdenerwowane, bo my wiedzieli[śmy], że ta podróż jest torturą, której nikt z nas nie jest w stanie wytrzymać. Ale ja się bardzo starałam, żeby się dobrze trzymać, żebym nie była zdenerwowana, żebym się nie zgubiła. Nie miałam butów. Na drodze znalazłam worek i podarłam zębami, bo w rękach nie miałam siły. Okręciłam nogi workiem i tak chodziłam. Uszliśmy jeden kilometr i doszli[ś]my do miasta, nie pamiętam, jak to miasto się nazywało, czy to było Rawensbrik. Każdy jeden się oglądął za nami. Jeden Niemiec, starszy człowiek, mówi do nas: Dlaczego wy jesteście tacy naiwni, dlaczego wy nie uciekacie? Nie za długo będzie po wojnie. Ja tylko chciałam nowinę usłyszeć. Każdy z nas się oglądał, czy eses[mani] nie słyszą, tymczasem doszedł do nie[go?] eses[man] i zastrzelił, i mówi do nas: To ma za to gadanie. Każdy z nas się bał wypowiedzieć ani słowa, my dziękowali[śmy] Bogu, że nam daje spokój. Ja i Sabina my razem szły[śmy] jedna za drugą, tymczasem noc się zbliżała, ja byłam już [tak] zmęczona, że sobie nie czułam nogi. Nareszcie my doszli[śmy] do stodoły, tam było dużo słomy i było bardzo wysoko wejść na górę. Ta stodoła była bardzo wysoka, była zrobiona [z] des[ek], te szpary były takie duże, że można było włożyć całą rękę. Tej nocy był wiatr, było tak zimno, że nie było możliwe wytrzymać. Zakryłam się słomą i tak leżałam całą noc. Nie mogłam zasnąć z głodu, całą noc marzyłam, jak ja mogę zostać w tej stodole. Nad ranem zrobili pobudkę. Każdy z nas był złamany, nie mógł się ruszać z miejsca. Jak ten eses[man] widział, że my tak prędko nie jesteśmy gotowe, to natychmiast wziął zapalniczkę i podpalił tę słomę. Zrobiła się taka panika, każdy z nas walczył tak jak zwierzę. Myśmy wszyscy wyszli, nam nic nie szkodziło. Ustawiliśmy się we dwójkę i tak my chodzili[śmy] do dziesiątej. Widocznie ten Niemiec był sam zmęczony, my doszli[śmy] do rzeki i tam siedzieli[śmy]. Każdy z nas napił się wody, ja o[b]myłam [się] i o wiele lepiej się czułam. Ten Niemiec nam powiedział, że jak ktoś ma coś zjeść, to może się najeść, bo nas czeka wielka podróż. Ja miałam niebieski litrowy garczek i łyżkę. Natychmiast weszło mi na myśl, żebym urwała zwykłą trawę i żebym zrobiła ogień i z tego żebym zrobiła zupy. Narwałam pełno trawy i wody miałam z rzeki, i robiłam ogień i nagotowałam. Ta zupa była doskonała. Myślałam, że jak człowiek zje trawę, to już umrze, ale widocznie ten organizm jest bardzo silny, że człowiek może wszystko wytrzymać. W normalnym czasie o ile się nie je wszystko normalnie, to człowiek się czuje chory, ja sobie sama zadaję pytanie, w jaki sposób

w takich warunkach ja mogłam żyć. Ale mnie się zdaje, [że] na to nie ma odpowiedzi. Każdy z nas zjadł, co mógł, i zaczęliśmy chodzić bez końca, aż my doszli[śmy] do małego miasteczka. Ja nie wiem, jak to miasto się nazywa. Każdy na nas się oglądał, j edni mieli litość, to nam rzucili chleba, ale ten eses[man] zabrał dla siebie. W tym miasteczku nie poznać było, że jest wojna. Sklepy były otwarte, żyło się normalnie. Ale poznać było, że jest blisko po wojnie, ale dla nas nie było różnicy. Bo my już nie mieli[śmy] siły więcej chodzić. Dużo z nas zemdla[ło] z głodu, nie mogli więcej chodzić. To ten eses[man] zabrał tych ludzi i zastrzelił ich i on do nas mówi: Ja nie mam czasu się z nimi hadrować⁴¹.

Chodziliśmy przez cały dzień i prawie że przez całą noc. Nad ranem my weszli[śmy] do olbrzymiego budynku i tam my byli[śmy] przez cały dzień. Przynieśli nam chleba i rozdzielili nam po kawałku chleba. Ja wzięłam ten kawałek chleba, tylko jego wahałam, bałam się jeść, o ile jak nie zostanie przydzielone, i tak będziemy musieli pójść pieszo i nie jeść, to są dwie dobre rzeczy. W tym budynku lecieli tam takie duże myszy jak psy, tam tak[że] był taki brud, widocznie oni nigdy tam nie sprząkali. Myśmy się położyli na ziemi, światła nie było, strach mnie ogarniał. Ja byłam pewna, że my w tym budynku się zostaniemy. Na drugi dzień zaczęliśmy chodzić, aż my doszli[śmy] na komendę wojskową. Oni mówili do esesmana: Po co ty z nimi chodzisz, my potrzebujemy takich młodych ludzi jak ty jesteś. Niedaleko nas jest lager dla tych Żydów, ten lager się nazywa Malchow⁴². Ten Niemiec zawołał nas, żeby się przygotować na drogę. Zaczęliśmy chodzić i chodzić bez końca, ja już nie miałam siły, tak mnie nogi bolały, że nie mogłam wytrzymać, ale zawsze pamiętałam te słowa, co mi mój Kochany Tatuś powiedział, że mi nie wolno stracić nadziei. Trzymałam się ostaniami siłami, nareszcie my doszli[śmy] do Malchowa.

Ten lager – dookoła były elektryczne druty, o ile się dotknął, to został spalony na śmierć. Na środku był zrobion[y] z drzewa taki mały budynek i tam była warta dzień i noc. Nikt nie mógł uciec. Jak weszłam do środka lagru, dookoła były baraki zrobione, na polu były zrobione klozety i kuchnia była zrobiona z jednej strony. Jak ja weszłam do lagru, to mnie z Sabiną przydzielili w jednym baraku. W jednym baraku nas było 30 kobiet, między nami było bardzo dużo Polaków i bardzo dużo z Francji, z różnych krajów. Każdy z nas rozmawiał innym językiem, nie mogłam [się] porozumieć, było mi bardzo przykro. Ja i Sabina myśmy się trzymali jak siostry, ale byliśmy bardzo ostrożni, żeby nic nie gadać, bo nie wiadomo, kto leżał na drugim łóżku. Ja byłam bardzo szczęśliwa, że przynajmniej mam gdzie spać, i przed wieczorem przynieśli nam do jedzenia. Każdy się ustawił w kolejkę, dostałam tę zupę. Ja byłam taka wygłodzona, tak prędko zjadłam, myślałam, że mi dadzą trochę więcej. Doszłam do tej dziewczyny i pytałam się, o ile ma jeszcze zupy, to ona mnie zawołała i mówi: Co, ty chcesz zupy, chodź, to ci dam. Wzięła chochlę i trzasnęła mnie po głowie, i krew mi

zaczęła lecieć, ale się nie przestraszyłam. [Ta,] co u niej było trochę krwi, zabrała mnie do szpitala i tam mi zrobili opatrunek. Jedna mówi do mnie: Nie zrób się za chorą, bo cię zaraz wyślą. Pytali się, czy ja się dobrze czuję, to odpowiedziałam: Jawohl. To mnie zaraz posłali z powrotem do baraku.

Sabina czekała na mnie niecierpliwie, bardzo była zdenerwowana, myślała, że mnie wyślą. Zaraz poszłam na pryczę i tam leżałam jak trup. Byłam taka słaba, że cały barak się kręcił, nie mogłam podnieść głowy. Tymczasem Sabina doszła do jednej Francuzki i pyta się, czy ona nie wie, gdzie ona mogła[by] dostać jeszcze trochę zupy. Sabina mówi do niej: Ja mam złoty pierścionek, to bym mogła to dać. Ta kobieta mówi do Sabiny: Zaczekaj, ja się tu kogoś spytam. Dała pierścionek i ona się postarała [o] zup[ę], i dała jej chleba. Sabina natychmiast mi przyniosła garczek zupy i mówi do mnie: Ja mam coś dobrego dla ciebie, otwórz oczy, to ci pokażę. Nie miałam siły sobie wziąć, to mi Sabina pomogła. Usiadłam i zjadłam całą zupę i trochę lepiej się [po]czułam. Noc się zbliżyła, zaczęło się ciemno robić. Sztuleneteste43 zrobiła światła. Te, co były już długo w lagrze, to już byli przyzwyczajeni, ale dla nas to było żywe piekło. Ja się bałam nocy, tak się czułam, że to jest już koniec mojego życia. Czułam się okropnie słaba, nie miałam pary w sobie, straciłam nadzieję. Nie mogłam sobie wybaczyć, że ja byłam przez najgorsze czasy ukryta, [a] na koniec mnie złapali. Sabina zaczęła doda[wa]ć otuchy, żebym dobrze pamiętała, że jest blisko końca wojny, że głowa musi być do góry. Przez cały czas my rozmawiali[śmy], aż zgasili światło. Każdy z nas był spokojny, ja nie mogłam usnąć, leżałam tylko [i] marzyłam, jak dobrze być wolnym, ale [to] tylko było marzenie. Tak zazdraszczałam tym znajomym, którzy zostali w lesie. Sama zada[wa]łam sobie pytanie, dlaczego mnie złapali, co ja jestem gorsza od nich, dlaczego Pan Bóg mnie tak skarał. Ale na to nie ma odpowiedzi.

Dookoła leżały kobiety. Tak cicho, że można było [u]słyszeć muchę przel[atu]jącą. Tymczasem głowa zaczęła mnie strasznie boleć, [to] było nie do wytrzymania. Obudziłam Sabinę i ona mi przyniosła wodę, i dołożyłam sobie [okład] na głowę, aż zasnęłam, ale niedługo przyszła pobudka. Ja nie byłam w stanie podnieść głowy, ale ze wszystkimi siłami zebrałam się i ubrałam się. Każdy jeden zrobił się gotowy do apelu, my wyszły[śmy]. Jedna mi powiedziała: Tu jest jedna esesmanka, ona się nazywa Ganc [Ganz?], ona jest jak sadystka, jak ona zobaczy, że ty się źle czujesz, to ci[ę] ona jeszcze dobije. Ale dzięki Bogu przeszło w porządku. Policzyła nas i mówi, że możemy się [udać] z powrotem do baraku. Ja i Sabina my się zawsze trzymali[śmy] razem. Poszłam się umyć i o wiele lepiej się czułam, i poszłam z powrotem do łóżka, bo nie było coś innego robić. Tymczasem przyszła ta sama, co mnie trzasnęła po głowie, i rozdzieliła śniadanie. Każdemu dała po kawałku chleba i jak przyszła do mnie, to mi rzuciła dwa kawałki chleba i nic do mnie nie gadała. Na ten chleb tylko się popatrzyłam, to [już] miałam zjedzone. Tak prędko zjadłam, aż cała się trzęsłam. Później byłam bardzo zła na

mnie, że nie zostawiłam na czarną godzinę. Cały dzień wyglądał jak rok, było tak monotonnie, każdy jeden był zrezygnowany. Ja miałam sąsiadkę, która była o wiele starsza ode mnie. Ona była z Paryża, ona była cała filozofka, ona mówiła, że już niedługo będziemy w obozie, że najważniejsze, żeby tylko być zdrowym, to przeżyjemy. Słońce świeciło tak pięknie, [gdy] ja, Sabina [i] jeszcze inne dziewczęta my stali[śmy] koło drutów, to przeszli dziewczęta i chłopcy i tak się śmiali, były takie wesołe. Tak jakby cały świat był ich. Nasz lager był przed miastem, widocznie to byli farmerzy. Każdy z nas im zazdraszczał, każdy z nas się pytał jedna drugiej, czy my będziemy tak chodzić jak oni. Jedni mówili: Jeszcze przyjdzie czas dla nich, że Niemcy będą tak siedzieć jak my teraz. Ja miałam spódnicę, ta spódnica spadła – nie miała gdzie się utrzymać, byłam same kości. Każdy się oglądał, jak zrobić znajomości z tymi ludźmi, co przeszli przez nasze druty. My zaczęli[śmy] do nich gadać, ale oni odkręcili głowy, bali się nawet na nas popatrzeć. Oni myśleli, że jesteśmy jakie zboczeńcy. Po długim czekaniu to była kolacja, ale po kolacji to było się takim głodnym jak przedtem. Po kolacji jedna przyszła z kuchni, kto chce iść do skrobania kartofli. Ja się natychmiast zgłosiłam i weszłam do kuchni jak do rajy. Było [tam] wszystkiego, co tylko pod słońcem. Ta Niemka co mnie zabrała, to zaraz mi dała skrobać kartofle, ja sama siedziałam. Więcej zjadłam t[ych] surowych] kartofl[i], jak zdążyłam je skrobać. Tak się najadłam, że aż mi stomek⁴⁴ pękał, ale trwało [to] parę godzin. Skończyłam moją pracę, tymczasem ja sobie nabrałam pełno kartofli i marchewki i przyszłam do baraku, i Sabina bardzo się [u]cieszyła, że będziemy mieli co zjeść. I dałam też tej Francuzce i ona całowała mi ręce i mówi: O ile ja przeżyję, ja zrobię [ci] złote buty, bo my mamy fabrykę butów. Ja nie zwróciłam uwagi na to gadanie, wiedziałam, że to jest żart. Schowałam parę marchewek. Na drugi dzień pierwszy raz przez dłuższy czas byłam najedzona. Nad ranem przyszła ta komendantka. Ona mówi do nas, kto chce się zgłosić do pracy; nie powiedziała gdzie. Ja i Sabina, i jeszcze inne dziewczęta się zgłosiły[śmy]. Przyszła jedna esesmanka i nas zabrała. To było w mieście. Ustawiliśmy się we dwójkę, wyszliśmy i musieliśmy spiewać przez cały czas, jak przeszły[śmy] przez miasto, żeby pokazać Niemcom, że nas się dobrze traktuje. Nareszcie m[yśmy] doszły do tej fabryki, to był olbrzymi budynek, dużo było Niemców, Polaków, Żydów. To była fabryka amunicji, tam było niebezpiecznie pracować, musiało się być bardzo ostrożnym, po pierwsze, żeby nie zrobić jaki[egoś] bł[ędu], ale to nam groziło śmier[cią]. Po drugie, tam były takie chemiczne rzeczy, że można sobie było urwać ręce. Było pełno Niemców, chodzili cały dzień, tylko się patrzyli, czy ktoś nie robi jakiś błąd, my robili[śmy] kule do rewolwerów. Po największej części były [tam] ludzie, co ich Niemcy złapali do pracy. Oni nie byli heftligami, oni byli na wolności. Koło 5 godziny my przestali[śmy] pracować. Jeden eses[man] zabrał nas wszystkich do lagru. W tym miasteczku było cicho, nie widać było, że jest wojna. Niemcy żyli w

tym mieście normalnie. Ja tylko chciałam wiedzieć, czy ja mam nadzieję się gdzieś schować albo zrobić znajomości z tymi robotnikami. Ja jeszcze nosiłam pierścionek, co mi Mamusia dała przed śmiercią. Ten pierścionek [to] dla mnie był[o] wszystko, bo to była jed[y]na rzecz, co miałam z domu. Doszłam do Sabiny i mówię do niej: Coś mi wpadło na myśl. I ona odpowiada, co ja mówię, ja teraz nic nie mogę gadać, bo każdy będzie słyszał. I ja mówię do niej: Chodź na pole, to ci wszystko powiem. Wyszliśmy przed barakiem i powiedziałam, że ja mam pierścionek od mojej matki i jak pójdę na drugi dzień do pracy, to się postaram zrobić jakie[ś] znajomości z Polką, która pracuje przy jednym stole. Sabinie to się nie podobało, ona mówi do mnie: Czy ty wiesz, jak[ie] to jest niebezpieczne, o ile ona cię wyda, to będzie bardzo źle, nie potrzebuję [?] ci powiedzieć, co ci grozi. Ale ja się nie przestraszyłam i zaczęłam rozmawiać z tą panią. Ta pani się nazywała Frania, zaczęłam się wypytywać, skąd ona pochodzi. Ona mi mówiła, że ona pochodzi z Rzeszowa, że jej ojciec umarł na wojnie, że ona z matką została sama, że ją złapali do pracy i matka została w Rzeszowie, że ona jest bardzo nieszczęśliwa, ale ona musi tu pracować, że nie ma innej rady. Tymczasem eses[man] przeszedł i nie dał nam ani słowa wymówić. Musiałam być ostrożna, bo on nie spuścił oka [ze] mnie i pyta się: Co ty tyle gadasz, przecież ty wiesz, że przy tej pracy nie wolno gadać, o ile ty zrobisz błąd, to będzie źle z tobą. Przy drugim stole pracowała Sabina, ona była bardzo pilna, ona tak się bała, że nawet nie odkręciła głowy. Raz jeden eses[man] zauważył, że jedna z robotników nie zrobiła porządku, zaraz ją zabrał i tak ją zbił, że była cała czarna, cała twarz z sin[iak]ami. Tak ona krzyczała, że to było niemożliwe usłyszeć. Każdy z nas się tak bał, że było niemożliwe pracować, ręce tak się nam trzęsły, że my byli[śmy] całe chore, ale trzeba było się uspokoić, bo jak nie, to czekało jeszcze gorzej od niej. [Gdy] my wrócili[śmy] do baraku, bałam się wymówić słowa. Zjadłam kolację, zaraz poszłam spać. Przez całą noc nie mogłam spać, jak tylko zasnęłam, to mi się śniły różne rzeczy tylko o tej pani. Ona mi stała przed oczami. Na drugi dzień my zjedli[śmy] śniadanie i poszliśmy do pracy. Każdy jeden z nas sobie życzył, żeby nie iść, ale nie było innej rady. Weszliśmy do pracy, ta kobieta nie była przy pracy i ten eses[man] powiedział, [że] to będzie nauczka dla innych ludzi. Każdy z nas milczał. W tym d[niu] każdy pracował dobrze, baliśmy się oglądać.

Chodził jak straszdyło, ten dzień był jak rok czasu, my już dziękowali Bogu, że była 5 godzina. Jak my przyszły[śmy] do bramy koło lagru, to nas przeliczyli i jedn[ej] z nas brakował[o]. Ja nawet nie zauważyłam, kiedy ta ruska dziewczyna uciekła, ja sobie myślę: ja tylko dużo gadam i ktoś inny robi do rzeczy.

U nas była jedna Niemka, ona się nazywała Dana, ona była [jak] zwierzę. Zaczęła tak [jak] szalona, tak nas biła i ryczała, że nie było możliwe wytrzymać. Nas wszystkich posłała do lagru, za to nie dała nam kolacji, każdy z nas był głodny. Zaczęli ich szukać przez cały dzień, tymczasem my nie poszli[śmy] do

pracy.

1 Radomyśl Wielki – Rywka pochodzi z tego samego miasteczka co Chaja.

2 Dąbrowa Tarnowska.

3 W 1940 r. w okolicach Dąbrowy Niemcy stworzyli kilka obozów pracy, tzw. Julagów (Judenlager).

4 Chodzi o bagnety.

5 Opisane przez autorkę sceny dotyczą pierwszej akcji likwidacyjnej w getcie w Dąbrowie Tarnowskiej. Akcja ta, opisywana też przez Chaję, rozpoczęła się o świcie 22 lipca 1942 r.

6 W Mielcu na terenie byłych Zakładów Lotniczych powstał obóz pracy przymusowej, tzw. podziemne miasto.

7 *Judenrein* (niem.) – oczyszczone z Żydów, tzn. ma nastąpić ostateczna likwidacja getta.

8 Las dulecki jest położony na zachód od Radomyśla Wielkiego, a na wschód od Dąbrowy. Las ten został wcześniej opisany we wspomnieniach Chai Rosenblatt, zob. też mapa.

9 Czyli szałas na Święto Szałasów (Sukot), upamiętniające wędrówkę Izraelitów po ucieczce z Egiptu.

10 Niemcy i polska policja granatowa wiedzieli, że w lasach duleckich ukrywają się spore grupy Żydów zbiegłych z gett. Od czasu do czasu organizowano więc obławy, w których brali udział mundurowi oraz miejscowi chłopci wraz z rodzinami. Opisywany przez Rywkę „esesman” był zapewne po prostu jednym z okolicznych chłopów, który mógł donieść na policję o lokalizacji bunkrów.

11 Mieszkańcy bunkra sporządzili specjalne podkładki pod buty, które miały zostawiać na śniegu ślady imitujące tropy zwierząt i ptaków.

12 Między Dąbrową a Mielcem grasowała od pierwszych miesięcy wojny banda niejakiego Wojciecha Idzika. Nieco później w lesie duleckim pojawiła się również banda Kosieniaka (Kosiniaka) – wzbudzającego postrach w okolicy mordercy i złodzieja.

13 Szpiegują (z ros. *szpionit'* – szpiegować, *szpion* – szpieg).

14 Złoczyńcy.

15 Mendel Schenker (1916-1943), jedyny brat Rywki, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, żołnierz Wojska Polskiego, uczestnik kampanii wrześniowej, zginął w lasie duleckim.

16 Być może chodzi o wcześniej wspomnianego bandytę Idzika.

17 W zimie 1943 r. Idzik, który wówczas przemieszkował razem z ukrywającymi się Żydami, w pobliskim bunkrze Amsterdamów, został zabity przez swojego kompana Stanisława Kosieniaka, jednego z przywódców „leśnych” bandytów. Samego Kosieniaka zabili siekierami miejscowi chłopci w grudniu 1943 r.

18 Złoczyńca.

19 Może chodzić o płyn Burowa lub o roztwór kwasu borowego, zwany potocznie wodą borową; oba te środki stosuje się m.in. w stanach zapalnych skóry.

20 Utykał.

21 Rywka została schwytała w tej samej obławie co Chaja Rosenblatt, w listopadzie 1944 r.

22 Szpiegami (z ang. *spy*).

23 Mielec był już wówczas wyzwolony. Rywkę oraz resztę schwytych Żydów prowadzono do Dąbrowy Tarnowskiej.

24 Toaleta.

25 Jak wynika z dalszej relacji Rywki, złapanych Żydów w Dąbrowie strzegli nie esesmani, lecz polscy policjanci granatowi.

26 Otto von Malottki, gestapowiec z Mielca, zob. przypis 34 do wspomnień Chai, s. 141.

27 Diamentowy (z ang. *diamond*).

28 Nie udało mi się ustalić tożsamości tego policjanta.

29 Traktowanie.

30 Rywka siedziała na Montelupich z grupą aresztowanych zasymilowanych Żydów, którzy aż do tej chwili ukrywali się w Krakowie.

31 Strażnik.

32 Wiadro służące jako ubikacja.

33 SS-Obersturmführer Kurt Schupke był komendantem obozu w Płaszowie od września 1944 do stycznia 1945 r.

34 Właśc. *Stubenälteste* – przełożona sali w obozowych barakach.

35 Do pralni (z ang. *laundry*).

36 Właśc. *Aufseherin* (niem.) – strażniczka w obozie.

37 Obóz koncentracyjny Płaszów został zamknięty w pierwszych dniach stycznia 1945 r., a resztę więźniów popędzono w „marszu śmierci” do Auschwitz.

38 Być może chodzi o kolorową bibułę.

39 W obozie koncentracyjnym w Ravensbrück więziono ponad 120 tysięcy kobiet.

40 Autorka prawdopodobnie ma na myśli koszulę połączoną z majtkami, czyli tzw. kombinację, i stanik.

41 Użerać się (z niem. *hadern*).

42 KZ Malchow to jeden z podobozów Ravensbrück.

43 Zob. przypis 34, s. 198.

44 Żołądek (z ang. *stomach*).

===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0o+WzdZMB4+dzMTJB0qGCkeLA===

Fotografie do wspomnień Rywki Schenker

FOTOGRAFIE

DO WSPOMNIEŃ RYWKI SCHENKER

(z archiwum rodzin Schenkerów i Goldfingerów)



Mendel Schenker (1916–1943), brat Rywki, zginął w lesie duleckim



W środku Mojżesz Schenker (ojciec Rywki), Radomyśl Wielki, 1930 [?] r.



Rywka, fotografia z formularza imigracyjnego do Kanady, 1948 r.



Rywka i Chaskiel Goldfinger, zdjęcie ślubne, 1945 r.

W Serii BIBLIOTEKA ŚWIADECTW ZAGŁADY:

Szumł Rozensztajn, *Notatnik*, przekład, redakcja naukowa i wprowadzenie Monika Polit, Warszawa 2008.

Perec Opoczyński, *Reportaże z warszawskiego getta*, przekład, redakcja naukowa i wprowadzenie Monika Polit, Warszawa 2009.

Stanisław Gombiński (Jan Mawult), *Wspomnienia policjanta z warszawskiego getta*, redakcja naukowa i wprowadzenie Marta Janczewska, Warszawa 2010.

Symcha Binem Motyl, *Do moich ewentualnych czytelników. Wspomnienia z czasu wojny*, redakcja naukowa i wprowadzenie Agnieszka Haska, Warszawa 2011.

...Tęsknota nachodzi nas jak ciężka choroba... Korespondencja wojenna rodziny Finkelszteinów (1939-1941), redakcja naukowa i wprowadzenie Ewa Koźmińska-Frejłak, Warszawa 2012.

Mietek Pachter, *Umierać też trzeba umieć...*, redakcja naukowa i wprowadzenie Barbara Engelking, Warszawa 2015.

Sny chociaż mamy wspaniałe... Okupacyjne dzienniki Żydów z okolic Mińska Mazowieckiego, redakcja naukowa i wstęp Barbara Engelking, Warszawa 2016.

W przygotowaniu

dziennik Klary Kramer z Żółkwi
dziennik Tadeusza Obrębskiego pisany w ukryciu po aryjskiej stronie
Warszawy
dzienniki Mirki i Kopła Piżyców prowadzone przez ojca i córkę w ukryciu
po ucieczce z getta warszawskiego

Redakcja:
Beata Bińko

Korekta:
Dorota Białas

Transkrypcja dzienników:
Bogumiła Jarosz-Jeziarska

Mapa na wyklejce:
Paweł Wespiański

Skład i projekt graficzny:
Marianna Cielecka

Na okładce wykorzystano zdjęcia ze zbiorów rodzinnych autorek pamiętników.

Dokumenty reprodukowane w książce przechowywane są w zbiorach rodzin Appelbaum, Rosenblatt-Lewi, Schenker i Goldfinger.

Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów
00-330 Warszawa; ul. Nowy Świat 72
e-mail: stowarzyszenie@holocaustresearch.pl
www.holocaustresearch.pl

Handwritten text in a cursive script, likely a diary entry or letter, partially obscured by the text overlay.



Handwritten text in a cursive script, continuing from the top section, partially obscured by the text overlay.

Na książkę składają się trzy teksty, napisane przez trzy niezwykle kobiety, którym przyszło żyć w strasznych czasach. CHAJA ROSENBLATT i RYWKA SCHENKER urodziły się na początku lat dwudziestych i w wojnę weszły jako młode, lecz już dorosłe kobiety, MELANIA WEISSENBERG natomiast była od nich znacznie młodsza – w 1939 r. miała zaledwie dziewięć lat. Chaja i Rywka spisały własne wspomnienia wkrótce po wojnie, a Melania prowadziła swój dzienniczek na bieżąco, od wiosny 1942 aż do wyzwolenia w styczniu 1945 r. Melania pochodziła z Krakowa, a Rywka i Chaja – z małego małopolskiego sztetla. Rodziny Rywki i Chai były głęboko religijne, Melania zaś dorastała w domu stosunkowo dobrze zasymilowanym. Mimo różnicy wieku i odmiennych typów narracji trzy prezentowane teksty łączą się i uzupełniają na wiele sposobów oraz na wielu płaszczyznach.

Przede wszystkim losy Chai, Rywki i Melanii spięli wspólną klamrą Niemcy, którzy skazali je – wraz z resztą polskich Żydów – na śmierć. Łączyła je też geografia – w momencie gdy rozpoczęto likwidację skupisk żydowskich na terenie Generalnej Guberni, wszystkie trzy znalazły się w getcie w Dąbrowie Tarnowskiej, małym miasteczku położonym kilkanaście kilometrów na północ od Tarnowa. W obliczu nadciągającej Zagłady każda z nich obrała inną strategię przetrwania...



Cena 40 zł



www.holocaustresearch.pl

